

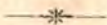
~~18156~~

B. P. im. L.

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



## WARUNKI PRENUMERATY

w W SZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odnośzenie do domu 15 kop. kw.

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie . (26 tomów) „ 6

Kwartalnie . (12 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —

Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —

Kwartalnie. (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

*Franc. Jul. Granowski,*



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670  
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 276.

PODRÓŻ DO JAPONII.

# Spółeczeństwo Japońskie.

PRZEZ

ANDRÉA BELLESSERT.

Dzieło uwieńczone przez Akademię Francuską,

przekład wolny

J. P.

—————  
Cześć I.  
—————



Cena 40 kop.  
W pren. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja  
47. Nowy-Świat 47.

—  
1903.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
DEPARTMENT OF THE HISTORY OF ARTS  
AND ARCHITECTURE  
CHICAGO, ILLINOIS

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
DEPARTMENT OF THE HISTORY OF ARTS  
AND ARCHITECTURE

CHICAGO, ILLINOIS

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
DEPARTMENT OF THE HISTORY OF ARTS  
AND ARCHITECTURE

CHICAGO

**SPOŁECZEŃSTWO JAPOŃSKIE.**

1000072534



1059



144935



ANDRÉ BELLESSERT.

PODRÓŻ DO JAPONII.

# SPOŁECZEŃSTWO JAPONSKIE.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIEJĘ FRANCUSKĄ.

PRZEKŁAD WOLNY

J P.

Część I.



WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.



Дозволено Цензурою.  
Варшава 31 Марта 1903 года.



324034 / 1

308 (520) „18” : 930.85 (520), 1



## W S T Ę P.

---

— Wracasz pan z Japonii: opowiadaj nam zatem o Grozie Żółtej.

— Japonia to kraj zachwycający.

— A przedewszystkiem należy go brać na seryo.

— O tak, niewątpliwie: można nie kochać Japończyków, ale się zawsze ulega ich urokowi. Ojczyzna ich czaruje nas jak kobieta. Gdy się ją opuści, pociąga nas ku sobie więcej, niżbyśmy tego pragnęli i pozostawia w duszy ślad niezatarty.

— Bardzo pięknie, ale ta uwodzicielka uzbraja okręty wojenne i może powołać do walki setki tysięcy ludzi: czyż więc nie ztamtąd grozi Europie niebezpieczeństwo?

— Istotnie wyrugowali już nas z wszechwładztwa na swych morzach; nie możemy już wydierać sobie bez ich pozwolenia lub udziału w zyskach szmatów ziemi chińskiej, ani osadzać ministrów w Korei. Biedna Europa, ciężkie dla niej nastały czasy.

— Ale Anglia wdzięczy się do nich. Ta pyszna wyspa, której synowie z taką pogardą traktowali Japończyków, dziś zbliża się do nich pierwsza, traktuje jak ludzi, poszukuje przyjaźni, znajdując obok niewątpliwych korzyści materyalnych pe-

wne odszkodowanie za klęski gdzieindziej ponie-  
sione.

— Zdaje mi się, że żałować należy ludów sprzymierzonych z Anglią. Japończycy będą narzędziem polityki angielskiej, ale Anglia z pewnością nie będzie myślała o interesach Japonii. Zresztą przymierze tych dwu państw wydaje się nam rzeczą wielkiego znaczenia; o wynikach jego trudno dziś jeszcze mówić, przypuszczam jednak i obawiam się zarazem, że „małych Japs'ów” (tak Japończyków nazywają w Londynie) może rozsadzić pycha.

— Nim to nastąpi, czy nie uważa pan, że przemysł nasz może być zalany powodzią miernych ale pomysłowych przedmiotów, któremi Japończycy zapełniają wszystkie rynki Dalekiego Wschodu?

— To prawda, że celują oni w zręczności i dowcipie, a w naśladownictwie są poprostu niezrównani. Pamiętajmy jednak o ich ubóstwie i o tem, że pudełka od zapalek nie wystarczają do podbicia świata. Ta łatwość naśladownictwa, która tak przeraża naszych przemysłowców, powinna ich właśnie uspokoić. Naśladują nas, a więc... bądźmy dobrej myśli. Groza Żółta istnieje, ale wśród rasy żółtej, gdzie się nazywa Grozą Białą. Bismarck rzekł niegdyś do pewnego dygnitarza japońskiego: „Jakto, dajecie ludowi parlament, nie czekając, aż wam położy nóż na gardle? To szaleństwo!”—A mąż stanu mu odpowiedział: „Wy przecież macie parlament: czemuż więc my go posiadać nie możemy?”—Po otwarciu parlamentu posłowie szachrowali skandalicznie. „Jaka hańba!” wykrzyknęli starzy Japończycy, zahartowani w surowości obyczajów. A zwolennicy nowych reform odparli: „Czyż w Ameryce i Europie posłowie nie robią nadużyć?” — W Japonii pozakładano fabryki i rękodzielnie. Nasi robotnicy urządzają strejki i syndykaty. Proletaryat japoński rozpoczął już walkę z właścicielami. Jutro, pojutrze, za lat

pięćdziesiąt, Japonia, nie tylko będzie miała do załatwienia te same trudności i niepokoje, które dzisiaj mącą staruszkę Europę, ale jeszcze będzie musiała rozwiązać najważniejsze zagadnienia, jakie mogą powstać w duszy narodu. Niemożna *praw człowieka* ogłosić bezkarnie narodowi, który przez wieków dwadzieścia dźwigał jarzmo poddania jednostki państwu, i wskutek tego poddania właśnie przystosował te jednostki do pewnej określonej miary: te *prawa* rzucają ziarna buntu i boleści.

A ponieważ pomyślny rozwój przemysłu japońskiego kraju jest tylko jedną stroną jego zdrowia moralnego, nie sądzę więc, by Japonia, tak urobiona i przekształcona w stosunkach społecznych, rodzinnych i politycznych, mogła być groźną współzawodniczką potężnego mechanizmu Stanów Zjednoczonych, lub wydarła zwierzchnictwo nad światem starej Europie. W obecnej chwili—a prawdopodobnie i w najbliższej przyszłości—Japonia odgrywa rolę drobnego, ale bardzo chytrego fabrykanta, który, kolportując swój lichy towar, wciska się pomiędzy Anglików i Niemców, zabawiając klientelę tombakowym dźwiękiem swych świecidełek. W ten sposób powstają nieraz wielkie bogactwa. Nasz kolporter powinien być oszczędnym, wytrwałym i obok gorączkowej pogoni za złotem musi mieć także odpowiednią pomysłowość. Zdawało mi się jednak nieraz, że jego ruchliwość wynika przeważnie z niespokojnego usposobienia. Przez stosunki z cudzoziemcami Japończyk wszczepił w swój organizm zarazki chorobotwórcze, które się rozwijają przy ognisku domowym, a których objawy czytamy jasno w jego oczach. Wierzy on w swoje zdrowie, ale ja widzę nurtującą go truciznę. Wreszcie, mogę jeszcze dodać, że przebyłem około roku w Japonii, żyjąc całymi miesiącami życiem tego kraju, badając go od południa do północy, a myśl o Grozie Żółtej, jak my ją pojmujemy, nie narzu-



ciła się memu umysłowi silniej, niż np. umysłem doświadczonych rezydentów europejskich.

Wynikiem mojej podróży są te studia o społeczeństwie japońskim. Właściwie są to tylko notatki turysty, pragnącego uporządkować swoje wrażenia. Jaką wartość posiada nowy ustrój polityczny Japonii? Czy i o ile Japończycy przygotowani byli do przyjęcia idei zachodnich? Jaką pomoc znajdują w religii wśród ciężkich walk ekonomicznych i moralnych, które im los przeznacza? Jaką pociechę ten naród artystów może znaleźć w swej sztuce? Zamiłowany w życiu rodzinnym, jakie pojęcie wytworzył sobie o cnotach domowych? Jakimi są ludzie, którzy mu przewodzą? Jakie są jego bóstwa, marzenia, miłości, rozkosze i nędze? Czem się jego dusza, ta dusza tajemnicza Dalekiego Wschodu, różni od naszej?

Zuchwalstwem z mej strony byłoby twierdzić, że rozwiązałem te pytania, starałem się jednak znaleźć na nie odpowiedź; przy próbach tych często ze smutkiem wracałem myślą do nas samych.

Pewien lekarz niemiecki, zamieszkały w Tokyô od lat dwudziestu, miał zwyczaj powtarzać: „Gdy Japończyk wychyli kieliszek *Chartreuse'y*, zdradza wszystkie symptomy szkarlatyny”. Wyobraźmy więc sobie tego samego człowieka po pochłonięciu *Umony społecznej*, historii rewolucyi francuskiej, teoryi równości i indywidualizmu, którą Europa mu przysłała... Istotnie, nie podejrzewałem nigdy, że nasze ulubione likiery zawierają tyle trucizny.

Co prawda, mogą mi zarzucić, że nasze idee nie są utworzone dla tych nowych adeptów cywilizacji. Niech mi wybaczą biali, ale starodawna cywilizacja japońska nie wydała mi się niższą od naszej. A nawet twierdzić można z pewnością, że poziom jej moralności przeciętnej był wyższy, wytworzył bowiem dusze zadziwiająco subtelne. Japończycy należą do narodów najbardziej zharmonii-

zowanych w świecie. Otóż nasze idee paczą tych ludzi więcej, niż oni idee te spaczyć potrafią. Jeżeli są zepsuci, to dlatego, że pierwiastek rozkładowy, zawarty w naszych ideach, rządzi nimi samowolnie.

W każdym razie widok Japonii współczesnej, tej Japonii, która, tak długo bezwładna, dziś rozwija się z szybkością zdumiewającą i w ten sposób, że przewidzieć nie można granicy ani kierunku tej ewolucji, wydał mi się niezmiernie zajmującym, pouczającym i pozostawił wspomnienia niezatarte. W zadaniu podjętem przezemnie nie brakło mi rady, pomocy i wskazówek. Nie obawiałem się korzystać z prac moich poprzedników, zaczynając od starego Niemca, Kaempfera, pisarza z końca XVII wieku, aż do współczesnych nam pp.: Layrle, Bertin'a i Bousquet'a. Szczególną wdzięczność winienem Chamberlain'owi, autorowi „*Things Japanese*”; dzieło to stanowi podręczną książkę dla każdego, kto chce poznać Japonię. Dużo też zawdzięczam wielkiemu artyście Lafcadio Hearn'owi, którego arcydzieła przechowują w umyśle ludzkim rozkoszną wizję Japonii pierwotnej i bohaterskiej. Obficie czerpałem z „*Transactions of the Asiatic Society*”, najbogatszego źródła studyów, dotyczących wszelkich kwestyj japońskich i wreszcie z „*Revue française du Japon*” której istnienie, niestety, było bardzo krótkie, pomimo to, że ks. Evzard i Péri zdążyli umieścić w nich karty wielkiej wartości. Uciekałem się nieraz do wybornego *Słownika historycznego i geograficznego* ks. Papinot'a. Ks. Roussel oddał do mego rozporządzenia wyciągi z dzienników japońskich, zbieranych przez niego od lat dziesięciu, a p. Arrived użył mi swych rękopisów wyjątkowej wartości. Więcej jednak, niż z książek, skorzystałem z rozmów poufnych; dlatego nie wymieniam żadnego nazwiska. A przede wszystkim by-

wałem u Japończyków, przyjrzałem się ich życiu, starałem się je zrozumieć i pokochałem tych ludzi.

Pozostaje mi jeszcze złożyć podziękowanie Brunetière'owi; jemu zawdzięczam poznanie Japonii i zaznajomienie czytelników *Revue des deux Mondes* z moją podróżą. Niech mi wolno będzie wyrazić mu moją wdzięczność, która, śmiem twierdzić, równa się wyświadczonemu mi przez niego zaszczytowi.

---



# KSIĘGA I.

## *Pierwsze wrażenia.*

---

### ROZDZIAŁ I.

---

#### W drodze do Japonii.

Co ja wiedziałem o Japonii? Bardzo mało, ale rozgłos, który otacza tę nazwę, echo sprawozdań podróżników, sława cudownego prawie przewrotu wewnętrznego, głuchoe odgłosy niedawnej wojny, wystawy naszych sklepów, wszystko to wytworzyło w naszych pojęciach obraz narodu niezrównoważonego, lecz umiejącego zachować pewną miarę, rewolucyjnego, ale posłusznego, rozkosznie fantastycznego, a mimo to tak dbającego o swe interesy, że nieraz obudzał niepokój narodów cywilizowanych.

To dziecię tajemnicze i tak długo dzikie, wychowywane w przepisach starodawnaj grzeczności, a zrywające nagle płaszcz swój utkany z mgieł, aby rzucić dumne wyzwanie wszystkim teoryom o rasach, któremi uczenie opancerzamy naszą próżność,

przedstawia jeden z większych cudów naszego wieku. Wykonało ono czyn niezwykle w dziejach rodu ludzkiego. A nam, ludziom Zachodu, cud ten wydaje się jeszcze większym — urok jego potęguje teren oddalony i oświetlenia czarodziejskie.

Małe istoty przystrojone w jedwab szeleszczący i barwny, przepadające za wielkimi szablami i małeńkimi gracikami, pełne kurtuazyi i krewkości, zazdrośnie przywiązane do swych wzgórz kwiecistych, na których się modliły do bogów fantastycznych, przyjęły nasze armaty, koleje żelazne, telegrafy, kodeksy prawne, instytucye parlamentarne. Wysilają się ciągle, aby nam dowieść, że mniemana wyższość nasza, którą się tak chlubimy, nie jest bynajmniej właściwością naszej natury.

Zdają się dążyć, jakby do połączenia cywilizacji europejskiej i azjatyckiej w jedną całość, twierdzą nawet, że chociaż reformatorzy i politycy natrafiają na trudności znaczne, to wdzięk i uprzejmość ich córek zwycięża zawsze.

— Jedziesz pan do Japonii—zapytywano mnie na wybrzeżu Marsylii—o szczęśliwy turysto; Japonia, to kraj Japonek.

W kilka dni później zawiązałem rozmowę z pewnym dygnitarzem japońskim, którego mieliśmy zaszczyt zaliczać do towarzyszków naszej podróży. Był to człowiek z oczkami małemi, przymrużonemi, wąsikami najeżonemi i czołem wysokiem.

Dowiedziałem się, że znał Gambettę, był z nim w przyjaźni i że Gambetta nie szczędził mu słów najgorętszej zachęty; dalej, że od lat piętnastu prowadził zaciętą walkę w imię postępu, że w walce tej postradał swój spokój i majątek, że w roku zeszłym przeprowadził w senacie pięć uchwał; tak, pięć, tyle, ile palców u ręki, że założył dwanaście towarzystw politycznych, że ze wszystkich książek napisanych o Japonii, tylko dzieło Guide Murray'a, wydaje mu się niezupełnie pozbawionem sensu. Wreszcie zakończył:

— Jestem ubogim dzisiaj, ale mniejsza o to, skoro Europa i Stany Zjednoczone nie mogą już nas stawiać na równi z Chińczykami i Juchusami.

I wzrokiem zaczął szukać w tłumie podróźnych wysokiego Indusa, obróconego do nas plecami. Gdy go odnalazł, zmierzył łaskawie od stóp do głowy i wyrzekł:

— O, my nie jesteśmy Indyanami!

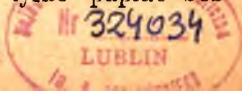
Senator ten miał ruchy wytworne i z uprzejmością hidalga ofiarował do mego rozporządzenia swój dom, swych przyjaciół i towarzystwa polityczne. Duma jego wydawała mi się tak bezgraniczną, że nie mogłem przebywać spokojnie w jego towarzystwie. Robił na mnie wrażenie człowieka małego, obarczonego olbrzymim ciężarem, pod którego brzemieniem upadał.

Pewnego wieczora zapytałem naszego Indusa, co myśli o Japończykach. Uśmiechnął się i z miną filozofa, który czasami raczy zniżyć się do wypadków świata znikomego odparł:

— Japończycy? Ba, oni się burzą. Rozumiem dobrze, komu ich burzenie się działa na nerwy: Anglikom z Hong-Kongu i wogólności wszystkim Europejczykom Dalekiego Wschodu.

W miarę tego, jak się zbliżałem do kresu mojej podróży coraz mniej dziwiła mnie gwałtowna antypatya, jaką obudzało dokoła samo wspomnienie Japończyka. Anglik okazywał im większą dozę pogardy, niż reszcie świata. Hiszpanie z wysp Filipińskich wyznaczali im ostatnie miejsce w szeregu narodów cywilizowanych. Japonia wydała mi się, sądząc z ich rozmów, krainą cudną, ale zaludnioną złośliwymi małpami.

Mówiono mi nieraz: „Strzeż się pan, nie ufaj grzecznościom tych barbarzyńców, są oni mistrzami w sztuce oszukiwania swych gości. Bawią ich, pieścą, schlebiają im i wyśmiewają dowoli. Próżność ich niema granic; umieją tylko paplać bez-





myślnie. Wyobrażają sobie, że dosyć jest uczesać się po europejsku, ażeby odrazu stanąć na naszym poziomie; ci Lilipuci są wspaniali; naśladowają nas ślepo, ale przytem nienawidzą; pomimo umiejętności oszukiwania nie udaje się im zamaskować tej nienawiści”.

Na nieszczęście jednak interlokutorzy moi dawali: „Spojrzyj pan na Chińczyków, oto są ludzie uczciwi”.

W jednym kantonie chińskim więcej jest powagi i prawdziwej inteligencji, niż w całym państwie chińskim. Duma ich jest przesadzona, ale logiczna. Nie pożyczają od nas naszej zdyskredytowanej duchowej puścizny, ażeby stanąć na jednym poziomie z nami; nie kradną naszych podręczników filozofii, ażeby wplatać do swego żargonu źle zrozumiane frazesy pozostają zawsze sobą i są wybórnymi służącymi, kucharzami i niezrównanymi robotnikami.

Szkoda tylko ogromna, że znoszą skandaliczne, przepojone rutyną rządy swych mandarynów.

A ja myślałem w głębi duszy: „O szczęśliwa rutyno i jeszcze szczęśliwsze zepsucie”. Im mniej byliby godni pożałowania, tem większą wzbudzałby obawę. Bez energii cywilnej, bez patriotyzmu, bez wojska, cóż dziwnego, że obudzają w nas tak wielką czułość? Ach, jaki to dzielny naród, który nam pozwala wdzierać się na swe terytoryum i daje koncesye na przeprowadzanie kolei żelaznych. Pozwólmy sobie na łatwą przyjemność wyśmiewania scholastyki jego uczonych, łuków żołnierzy, a przede wszystkim nie szczędźmy mu opium. Japończycy jednak, którzy nie chcą się truć dobrowolnie, władają najlepszą bronią palną, wytworem naszej cywilizacji, czytają nasze książki i nasze dzienniki, fortyfikują swoje wybrzeża i sami budują u siebie koleje żelazne, są i mogą być tylko małpami.

Pewien Hiszpan zapewniał mnie, że podczas

wojny z Chinami Japończycy nieraz bezczelnie naśladowali rycerskość hidalgów kastylskich; zkażinąd znów dowiedziałem się, że podczas ostatniej zarazy w Hong-Kongu lekarze japońscy nie tylko pielęgnowali zarażonych, ale zuchwałstwo swoje posunęli do tego stopnia, że ośmielali się umierać z takim bohaterstwem, jak gdyby się byli urodzili w Europie, należeli do rasy białej i wychowali w zasadach chrześcijańskich.

Przeciwnie metysi z wysp Filipińskich: Tagalowie, Malajczykowie i inni azyaci, rozproszeni w posiadłościach europejskich spoglądają na Japończyków, jak bracia młodszy i nieznani, na brata starszego, którego sława spływa i na nich. Przy zamkniętych drzwiach i okiennicach obdzierają go z zasług, roztrząsając krytycznie jego wartość; lecz, skoro się tylko znajdują wśród cudzoziemców, odwołują się wnet do pokrewieństwa, przypisując wspólności krwi wyjątkowe powodzenie brata starszego.

Wzięcie przez Japonię udziału w polityce międzynarodowej, postęp wyjątkowy tego kraju, uznanie jego niepodległości były dla ludów azjatyckich, zdolnych do myślenia, rodzajem trymfu moralnego i wewnętrznej pociechy. Przykład Japonii podniósł te ludy w ich własnych oczach. W dniu, kiedy ujrzeli, że ludzie pochodzący z tego samego pnia, posiadający zdaniem nieomylnego zachodu te same skazy umysłowe i moralne, zagarnęli korzyści i przywileje, które dotąd zdawały się być wyłącznym udziałem zwycięzców, doznawali mniej więcej takiego uczucia, jakieby ogarnęło bohaterów Homera na widok swych towarzyszy, przywdziewających niespodziewanie hełmy i zbroje bogów, zbroje, pod których ciężarem ugięłyby się osie ich wozów. Widok ten mógłby ich pozbawić złudzeń co do własności tego boskiego ryszunka, albo też napełnić otuchą co do potęgi ich własnych ramion. Zdawało mi się, że właśnie te dwa uczucia splecione dostrzegłem w du-

szy powstańców filipińskich, którzy mówili mi o Japonii z pewnym rodzajem walecznej dumy. Wspinałość naszej cywilizacji wywiera na nich mniejsze wrażenie od czasu, kiedy się w nią przystrajają Japończycy. Zamiast nam powinszować tego pokojowego podboju, wyciągają zeń raczej argumenty przeciw nam, a dla siebie znajdują powód do pychy i zaufania we własne siły. Chętnie marzyliby oni o jakimś panazyatyzmie, o opozycji skonfederowanego Dalekiego Wschodu wobec zaborszych zachcianek Europy. Marzenie niejasne, prawie, nieziszczalne, które się po raz pierwszy naszkicowało w głowie upojonego Japończyka, ale odtąd buja swobodnie po morzach.

— Ach—mówił do mnie pewien Tagal—gdyby Chiny wiedziały, a Japonia mogła, nie znosiłibysmy dłużej waszego zuchwalstwa, a ziemia, na której wzrosliśmy, do nasby należała. Ostatecznie bowiem, chociaż jesteście zwycięzcami, nie poszukujecie bynajmniej walk, a wasze interesy handlowe godzą się łatwo z porażkami miłości własnej.

Wystarczy to wam zupełnie, że Japonia zamówiła u was okręty i zakupiła armaty, ażeby wasz zły humor złagodniał, a wasza polityka stała się mniej wyniosłą.

Jutro, wy, chrześcijanie, przystaniecie na to, że wasi rodacy będą sądzeni przez urzędników buddyjskich. W przeciągu 20-tu lat Japończycy więcej zdziałali dla dobra naszej rasy, niż wszyscy filozofowie, głoszący równość wszystkich ludzi. Drwiecie z nich, ale się ich boicie. Mówią nawet, że niejedno z waszych państw bardzo drogo okupiłoby ich przymierze.

Nie bądźcie zatem zdumieni, że podziwiamy ten naród czynny, pomysłowy, patriotyczny i wojowniczy, zmuszający do zachowania zewnętrznych form szacunku i jedyny na całym wschodzie, który się mści nareszcie za nasze długie upokorzenia i zniewagi wiekowe.



I wtedy Japonia wydała mi się ziemią, gdzie się przygotowuje straszny odwet ze strony Azji.

Co się zaś tyczy Chin, to chociaż się tam organizuje partya młodych reformatorów, nie sądzę jednak, ażeby ta masa olbrzymia zdolną jeszcze była do ruchu.

Japończycy bręczeli im około uszu i kłuli wnętrzości, ale oni okazali się mało wrażliwemi na ukłucia i na brzęczenia.

Jeżeli jednak mowa, zwyczaję, ostentacyjnie przyjęte przez sąsiadów, wydają im się maskaradą niegodną Azyatów, bardzo jest możebnem, że ostatnie powodzenia dyplomacyi japońskiej przy rewizyi traktatów obudziły jeszcze większą pogardę dla Zachodu. Czyż mogą nie stawiać siebie wyżej od Europejczyków, skoro ci, którzy byli ich uczniami i wobec których zachowali zawsze w swem przekonaniu stanowisko mistrzów, mają pretensyę umieć to samo, co my i chcą nas pokonać naszą własną bronią?

Gdy mowa o Japończyku, twarz Chińczyka wydłuża się w minę pogardliwą, a potem rozjaśnia się szerokim uśmiechem.

Jednakże kupcy z Hong-Kongu zapewniali mnie z całą powagą, że ich zwycięzcy wczorajsi są to przeważnie żebracy i oszuści.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

### Symbol Japonii współczesnej.

Po chwilowym pobycie w Kobe i Jokohamie przybyłem właśnie do Tokyo; było to w drugiej

połowie grudnia. Wzgórza Japonii wrażliwe są na zimno, kłony bowiem były już огоłocone ze swych czerwonych liści; kamelie zaś miały wkrótce zakwitnąć. Niwy zasiane jęczmieniem i rzepakiem pokryły się zielenią; na polach stożkowate wiązki zeschnięj słomy zwieszają się z drzew na podobieństwo dzwonów, robiąc zdaleka wrażenie wielkich blado-złocistych plam, rzuconych wśród stożków choiny i cyprysów; krzaki pożółkłych i szarawych bambusów rozdmuchiwały na wietrze lekki pyłek, zabarwiony różowemi promieniami jutrzenki. Powietrze było chłodne, niebo przejrzystego błękitu.

Wiedziałem, już, że wózek japoński zowie się—*kuruma*,<sup>1)</sup> a ciągnący go ludzie—*kurumaya*, długie szaty z szerokimi rękawami—*kimono*, szerokie pasy—*obi*, fałdziste spodnie—*hakama*, jedwabne płaszcze—*haori*, a drewniane łyżwy—*geta*. Wiedziałem również, że wyraz *chaya* oznacza herbaciarnię, a *tatami*, są to maty, któremi wyściełają posadzki. Gdy wspomiano przy mnie o *hibachi*, rozumiałem doskonale, że mowa tu o drewnianem, lub miedzianem naczyniu, w którym trzymają rozżarzone węgle. Japończycy klękają zwykle dokoła *hibachi* i rozgrzewają sobie skostniałe ręce.

Słyszac wyraz *Geisha*, wyobrażałem sobie małą kobietkę ubieloną i uróżowaną, bogato wystrojoną, wiezioną śpiesznie w wózku dwukołowym na schadzke; powiedziano mi także, że te małe damy uprawiają starannie sztuki piękne, śpiewają i akompaniują sobie na *shamisenie*; jest to rodzaj skrzypiec, o trzech strunach, sprowadzony z Manilli w końcu XVII-go wieku.

1) u wymawia się u

g	—	"	g
ch	—	"	cz

Jest to jedyna ortografia poprawna i oddająca wcale dobrze wymowę japońską. Wszystkie rzeczowniki japońskie nie zmieniają się w liczbie mnogiej.

Zauważyłem również, że gety (właściwie rodzaj drewnianych sandałów, czy chodaków, w których zamiast przyszw znajdują się grube sznurki, oddzielające wielki palec od innych), podtrzymujące z obu stron stopy ujęte w pończochy z osobnem wgłębieniem na wielki palec, mają czasem formę źle obciosanych podeszew, a czasem małych ławek. *Kimono* uderzyły mnie podobieństwem swym do naszych szlafroków; *hakamy*, wywierały na mnie wrażenie szerokich spódnic, a *haori*, widziane z tyłu, przypominały mi czarne worki, zwane opończami, w które nas niegdyś przystrajał krawiec licealny.

Wiedziałem jeszcze dużo innych rzeczy. Japończycy rozkładają swe książki inaczej, niż my to czynimy; czytają od prawej strony ku lewej, zaczynając od ostatniej stronicy, aż do słowa *koniec*, umieszczonego na — pierwszej. Wychodząc z kąpeli wycierają się wilgotnym ręcznikiem. Oznajmiamą nam o śmierci swych rodziców lub dzieci z uśmiechem na ustach. Widziałem, jak cieśle przy pracy zwracali hebel ku sobie. Słyszałem też, że szwaczki zamiast przebiegać igłą skrajany materiał, poruszają właśnie materiałem, a igła pozostaje nieruchomą; igła tu jest stanowczo paradoksalną, sama bowiem poszukuje nitki, nie tak, jak nasze igły, które trzeba nawlekać. Grzeczność u Japończyków polega nie na odsłonięciu głowy, ale na zdjęciu obuwia. Przywołują siebie tym samym ruchem, który u nas wyraża pożegnanie.

Cóż to za naród niezwykły! I jaki materiał bogaty do gier towarzyskich! „Gdyby pan był Japończykiem, jakby pan otworzył książkę?” — „Tak, jak ci krytycy, którzy czytują tylko spis rzeczy.” — „A w jaki sposób nawlekałby pan igłę?” — „Wodziłbym nią dopóty, dopóki by nie natrafiła na nitkę.” „Jakby pan wyraził swoje uszanowanie gospodarzowi wchodząc do jego mieszkania?” — „Zdjąłbym kapelusz”... — „Przegrał pan, proszę o fant!”



Nie wystarczał mi jednak ten zasób wiadomości ucieśnych. Zazdrościłem podróżnikom, którzy od pierwszej chwili pobytu na ziemi japońskiej pograżyli się w błogim upojeniu. Jeden z nich zaraz po wylądowaniu, błogosławił bogów starożytności, że wskzesiły Helladę. Patrzył na biednych kurumayów z wydłużonym stanem z cienkimi nogami, biegnących po wybrzeżu i zdawało mu się, że jest na Olimpie. Inni, mniej rozmiłowani we wspomnieniach sławnej przeszłości, doznawali jednak nie mniej dziwnych wrażeń. Budząc się na antypodach światów znanych, gubili się w małym światku żarcików najdziwniejszych i wymysłów cudownych. Inni wreszcie zaledwie stąpili na tę ziemię zachwycającą ulegli wiejącemu z niej urokowi, który niby obłok zaczarowany spowił ich duszę. Co do mnie, to może zbyt prędko pozbyłem się zdumienia i zachwyków, przypominam sobie jednak doskonale, że tylko przyroda zdawała mi się wybiegać po nad poziom przeciętny. Omackiem prawie szukałem drogi poza kołem sztuczek płochych i cacek mikroskopijnych, które zwykle pochłaniają całą ciekawość podróżników.

Pierwsi Europejczycy, których odwiedziłem, dali mi uczuć nie tyle swemi słowami, ile wymownem milczeniem całą trudność mego zadania. Okryli się tajemniczością od stóp do głowy, a kiedy im wyrażałem swoją chęć zaznajomienia się ze sprawami japońskimi, czytałem w ich oczach potępienie mej zarozumiałości.

Jeden z nich zapewnił mnie, że jeżeli ktoś przybywa do Japonii, dlatego, żeby coś o niej napisać, 15 dni wystarczy mu do nabazgrania złej książki, mającej szanse podobania się publiczności; trzeba jednakże koniecznie lat 15-stu, żeby stworzyć dzieło pomnikowe, przepełnione błędami, pełne erudycyi i zresztą dosyć nudne. Zapewniłem go, że nie będę mieszkał tutaj lat 15-tu, ale mam nadzieję zabawić dłużej, niż 15 dni.

Inny, który siedząc przy biurku, prowadził studia nad społeczeństwem japońskim, odmalował mi jakąś krainę tajemniczą, zastawioną siódmymi, gdzie cudzoziemiec nie może się odważyć na zrobienie jednego kroku bez zachowania niezliczonych ostrożności, krainę, która pozostanie dlań nieodgadnioną, jeżeli nie posiadzie klucza do jej odczytania. Przytaczano mi, co prawda, dwóch albo trzech od reszty świata odosobnionych, prawie nieprzystępnych alchemików, którzy prawdopodobnie odnaleźli ten kamień filozoficzny: grunt charakteru japońskiego, wątpiono jednak, czy w razie, jeżeli mi się uda zobaczyć z nimi, zechcą otworzyć swe usta.

Ze wszystkich tych rozmów wynikało, że Japończycy są narodem najdziwniejszym, najbardziej niepochwytym, zagadkowym, wprawiającym innych w zdumienie.

Rozumiem, mówiłem z westchnieniem, ale na czem polega przyczyna ich zagadkowości?

Czy na tem, że noszą pończochy z osobnem wgłębieniem na wielki palec i chodzą na małych taburetach? A może to nas zdumiewa, że jednym skokiem przebywają przestrzeń między matą, na której jedli kolację, a kadzią, w której się kąpią? Czy są tak niezrozumiali dla tego, że mają konstytucyę i obalają swych ministrów?—Nie odgadłeś pan.—Są niezrozumiali, ponieważ nie dają się pojąć i straciłbyś pan tylko czas, chcąc ich wyrozumieć.—Czy jadłeś pan obiad w restauracyi japońskiej?

— Czy próbowałeś pan surowej ryby?

— Nie.

— Czy widziałeś pan taniec gejsz?

— Nie.

— A byłeś pan na pogrzebie księcia?

— Czekaam, aż który umrze.

— Czy targowałeś się pan o fantazyjne gracki?

— Nie dbam o nie.

— A czy podziwiałeś pan w Yoshiwara wystawę uczciwych dziewcząt, które się sprzedały dla zapewnienia szczęśliwej starości swym rodzicom?

— Wolę najpierw być obecnym na posiedzeniach parlamenta, zwiedzić szkoły i koszary, zmieszać się z tłumem i, jeżeli to będzie możliwe, osobiście ocenić postęp idei europejskich w duszy starej Japonii.

— O panie, pozbawiasz się wielkich przyjemności.

Jednakże pewien stary rezydent, który się przysłuchiwał tej rozmowie, przyznał mi słusność. Był to człowiek mało znany, żył na uboczu, czytał dużo i rozkoszował się dowcipami swego ironicznego umysłu.

Przekonałem się z czasem, że ta ironia zastrzała jego obserwację, nie pacząc jej wcale, a dowcipy, nieraz świetne, nigdy zjadliwe, często zabarwione były lekką dozą poezji. Lubił Japończyków i kazał im płacić za tę miłość.

Wracaliśmy razem do domu; w drodze rzekł on do mnie:

— Wyłożę panu rzecz całą w kilku słowach. Stań pan w oknie i otwórz oczy. Oto właśnie zbliża się symbol dzisiejszej Japonii. Zbliża się bez pośpiechu, nie zwracając uwagi, ani na mnie, ani na pana, ani na nic, co go otacza.

Mój symbol jest bardzo młody. Można by mu dać najwyżej lat 25, ale twarze japońskie zawodzą nas nieraz i ten ma co najmniej 40, to znaczy urodził się około połowy bieżącego wieku, w chwili, gdy kraj przygotowywał się do rewolucji; w dzieciństwie i młodości wychowywał się jak wszyscy *samurai*'owie. Proszę, niech pan zauważy, jak dziwnie nieestetycznym jest jego kostium, którego części poszczególne są zupełnie niedobre; za każdym



krokiem pięta wygląda mu z butów, których gumy się rozluźniły. Nie jest to bynajmniej oznaką ubóstwa, dowodzi tylko, że obuwie europejskie wskutek konieczności zdejmowania go przynajmniej razy 50 dziennie, wyszło z formy, stając się czemś w rodzaju nowych *geta*; chociaż więc przyjął nasze mody, ale nie zna się na ich elegancyi.

Zamilczę o jedwabnej w pasy *hahamie*, której mogłyby pozazdrościć spódnice naszych kobiet i o *haori* z czarnego jedwabiu, krótszym, niż te które noszą Japonki; wspomnę chyba, że gatunek ich i krój są wyrazem gustu japońskiego w najczystszyim stylu; szerokie, ciemne, skromne, nie robią wrażenia kosztownych; przyćmione ich bogactwo pozwala ludziom średnio zamożnym, nie różnić się strojem, przynajmniej na pozór, od zamożniejszych obywateli.

Zresztą, gdy powiew wiatru podniesie poły *haori*, zdziwisz się pan często widokiem podszewki jaskrawej, białej w złote pasy, szkarłatnej, albo lila, różowej z bardzo kosztownego jedwabiu. Zechciej pan przytem zauważyć, że całe ubranie odznacza się czystością nieskazitelną. Nim się zajmujemy kapeluszem, na który specjalnie chcę zwrócić pańską uwagę, rzuć pan okiem na jego pas oryginalny. Niegdyś wisiały na nim dwie szable, odejmujące temu kostiumowi lekki odcień kobiecości, dzisiaj zwiesza się zeń futerał od fajki i kieszonka z tytoniem. Co się tyczy okrągłego, filcowego kapelusza, tandety amerykańskiej, czy też angielskiej, to zwróć pan przede wszystkim uwagę na rondo zatłuszczone i pokryte kurzem, aż do opasującej go taśmy. Znać odrazu, że właściciel go lekceważy, nawet nim gardzi. Przywdziać kapelusz uważa za punkt honoru— jest to niby rewolucyjna czapka frygijska. Ale ponieważ nienawidzi jej o tyle, o ile jest z niej dumny, więc owo pokrycie głowy nie otrzymuje żadnych względów, ani pociągnąć szczotką i cały niewidzialny brud Japonii, ukrywający się przez długie wieki,

osiadł na nim, ukazując się wreszcie jawnie na widok publiczny. Ulice bywają czasem źle wymiecione, a czas prędko pokrywa domy barwą posępną, nigdy jednak gospodynie holenderskie nie nadają więcej połysku swym rondlom, a marynarze lśniącej czystości swym kajutom, jak Japończycy przedmiotom codziennego użytku.

Maty, belki na suficie, drzwi z okienkiem ruchomem o szybach papierowych, imbryk brązowy i naczynia miedziane do węgli rozżarzonych—wszystko nosi odbicie porządku zadziwiającego i drobiazgowego strzepywania kurzu. A zatem, drogi panie, połóż na lśniącej powierzchni *tatami*, albo zawieś na błyszczących belkach hotelu sprzęt europejski zwany kapeluszem, a przekonasz się, że ómy zasłaniające w noc ciemną abażur lampy, są mniej liczne, niż plamy oliwy, tłuszczu, wosku, popiołu i kurzu, mogące zniesławić nieszczęsnego oberwańca na całe życie.

Teraz sędzę, że jesteś już pan dostatecznie oświecony na punkcie nowożytnych Japończyków. Zapożyczoną od nas cywilizację przytłaczają i zanieczyszczają. Depczą ją, ale mimo to wywieszają jej sztandar. Obniża się ona w ich głowach i wraca pod ich stopami do dawnych form japońskich. Napisz pan artykuł o *kapeluszach*, jeżeli zechcesz, będzie to studjum o polityce, administracyi, ministeriach japońskich ubranych po europejsku.

Wszystkie pomysły kapeluszników XIX-go w. zgromadziły się jakby na wielki kongres, ale wszystkie są pomięte, powyginane, połamane, pozbawione połysku i zakurzone.

W końcu nie zapomnij pan o *hakamie* i *haori*, nacechowanych jakimś odrębnym wdziękiem i miękkością, przechowujących dotąd w swych fałdach brzęk odrzuconych szabel. Pamiętaj pan także, iż podszewka ubrań japońskich jest zawsze ładniejsza od wierzchu. Po dłuższym pobycie w Japonii, dłu-

gi i cienki futerał przypięty do pasa za pomocą dużego guzika z kości słoniowej, na którym artysta wyrzeźbił śmiejącą się potworną głowę małego boga, obudzi w panu wspomnienie ślicznych gracików, któremi ci ludzie rozweselają prostotę i skromność swego życia.

Symbol Japonii oddalił się już dawno i znikł na horyzoncie.

Odparłem po chwili milczenia:

— Jeżeli dobrze zrozumiałem słowa pańskie, w takim razie wszystko, czego się możemy dowiedzieć o Japonii, sprowadza się do ruchów i ubrania. Niewątpliwie te kapelusze, dzięki pańskiemu humorowi, nabierają życia i stają się bardzo wymowne. Ale co się dzieje w głowach, które te kapelusze okrywają?

— Tego się pan nie dowiesz nigdy — odparł na moje pytanie. — Bywam u Japończyków od lat szesnastu przeszło, a jednak nic o tem powiedzieć nie mogę. Czasem komuś się zdaje, że dążą do anarchii, czasem, że zmierzają ku republice, a czasem znów, że się cofają przed najazdem europejczyków, ażeby wrócić ku odrębności pierwotnej.

— Czyż nigdy nie można odgadnąć ich myśli?

— Rzadko.

— Cóż mi pan powiesz jeszcze?

— Umysł ich jest skłonny do wykrętów i drobiazgowości chińskiej, dziwnie kapryśny, nielogiczny, albo obdarzony logiką, której my dostrzedz nie możemy, dziecinny, ciekawy, bystry, przenikliwy, chytry, złożony, prosty...

— Skończ pan, przez litość!

— Czyż nie sprzedałem pana, że są to ludzie nieodgadnieni?



## ROZDZIAŁ III.

Interview o przyrodzie, miastach i ich  
mieszkańcach.

Po powrocie do hotelu dowiedziałem się, że oczekuje na mnie jakiś dziennikarz. Był to młodzieniec w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat; policzki miał różowe, a zęby wystające; podszedł do mnie, schylił się we dwoje, potem wyciągnął rękę i ścisnął moją krótkim ruchem. Łączył w ten sposób pozostałość dawnej grzeczności japońskiej z sympatyczną szorstkością yankeesa. Z po za szkieł okularów zaledwie można było dostrzedz pod nabrzmiałemi powiekami dwie linie ukośne i ciemne jego oczy.

Położył kapelusz na parkiecie i wyciągając z kieszeni notes i ołówek poprosił mnie o pozwolenie na interview; następnie wyliczył wszystkie pytania, na które dziennik jego pragnął otrzymać odpowiedzi: „Co pan sądzi o przyrodzie Japonii? o miastach japońskich? o Japończykach? o ich polityce?”

Podziękowałem mu za uczyniony mi zaszczyt i obiecałem, że jeżeli się zwróci do mnie za pięć lub sześć miesięcy, wypowiem mu swoje zdanie, dziś jednak nie zdążyłem go jeszcze wyrobić; wiem tylko, że przyroda jest cudowna, miasta malownicze, a naród zachwycający. Zapisał pośpiesznie moje słowa, szkicując istotę rzeczy.

— A nasza polityka? — zapytał mnie znów. Czy pan sądzi, żeśmy się bardzo zeuropeizowali?

Przyglądałem się czarnemu surdutowi, obcisłkającemu jego wązkie piersi.

— Bezwątpienia—odparłem.—A pan?

Wciągnął z sykiem przez zęby długi łyk powietrza.

— Zdaje mi się—odparł — że pozostaje nam jeszcze dużo do zrobienia.

A kiedy ja ze swej strony zacząłem go wypytować, odrzekł, podkreślając swym dziwnym sykiem każde z wypowiedzianych zdań:

— Naród nasz jest zacofany, trochę głupi i za mało interesuje się sprawami rządu. Mamy wprowadzić parlament, podobnie jak wy, ale skarżę się ogólnie, że nasi mężowie stanu zapomnieli o moralności. Szkoły nasze podobne są do waszych; naszym profesorom jednak brakuje wyższego wykształcenia. Jesteście uczonymi, i Japończycy potrzebują waszego pobłażania. Staramy się również usilnie zreformować nasz buddyzm, którego kapłani często ciemni, albo niemoralni nie cieszą się „poważaniem”. Co się tyczy naszych kupców, to nie ufaj pan im zbyt, nie mają bowiem jeszcze pojęcia o uczciwości kupieckiej.

— Na szczęście — odparłem — pozostaje wam jeszcze cesarz, którego świętość nienaruszona sięga początków świata.

— To prawda—przyznał — pomimo to jednak stoimy niżej od Europejczyków.

— Pocóż jednak zaprzętać sobie głowę kwestyą wyższości lub niższości? Jesteście tylko inni, niż my. Zamieszkujecie najpiękniejsze wyspy świata; budujecie miasta, które zdumiewają podróżników, a wasze zwyczaje wywołują nasz podziw. Chińczycy wiedzą już o doskonałości waszego uzbrojenia. O, jakże trudno was zadowolić!

Zapisał starannie moje słowa.

— Przedewszystkiem—rzekłem jeszcze — nie poddawaj mi pan swego przekonania o waszych politykach, profesorach, kupcach i bonzach.

— Nie obawiaj się pan, zaczekam kilka miesięcy.

— Jesteś więc pan bardzo pewnym, że okaże się równie surowym?

— Mam tylko nadzieję, że nadzwyczajna łaskawość pańska powstrzyma go od wypowiedzenia sądu surowszego.

— Miałem dziś — rzekłem tego samego wieczora do mego starego rezydenta—wizytę pewnego reportera japońskiego, który zdawał się sądzić swych rodaków z bezstronnością prawie nieprzyzwolitą.

I opowiedziałem mu całą rozmowę.

— Przyzwyczajenie nieskalane!—zawołał. — Czyż pan nie wiesz w jaki sposób odbywa się w Japonii prezentacja? Naprzykład przedstawia się żonę w ten sposób: „moja żona, idiotka”, a syna: „mój syn, nierogate stworzenie”. Pański dziennikarz przedstawił panu tylko swoją ojczyznę. Czasem taka grzeczność żółtych może być nazwana uczciwością.

Interview'y mają czasem swe dobre strony.

Po wyjściu dziennikarza starałem się sformułować sobie to, co byłbym mu odpowiedział, gdyby nie był ani dziennikarzem, ani Japończykiem.

Co ja myślałem o przyrodzie Japonii? Dwunastego grudnia, rano, przepłynęliśmy cieśninę Shimonoseki; w oczach stały nam jeszcze błyszczące knajpy Szanghaju, a w uszach dźwięczały rozlegające się w nich ostre, krzykliwe głosy. Statek nasz kołysał się już na falach morza Wewnętrznego Japonii; morze to, tak szeroko wysławiane, jest właściwie tylko jeziorem, a wyspy jego, wedle legendy poczęte przez bogów, rosły powoli przed nami, niby młode dziewczęta lub kwiaty. Słońce świeciło blade, a wiatr północny szumiał po modrych falach.

Duże ptaki latały w kółko, wydając krzyki żałośne. Pełne wdzięku góry, których wypukłości i załamania ginęły w morzu, wysepki, rysujące się na tle nieba, niby ciemne bukiety, półwyspy usiane

tu i owdzie runią rdzawą, drzewa strzelające ku niebu z powierzchni wód, albo czepiające się zboczów skalistych, wybrzeża w zimowem oświetleniu, niby sierpy na pół zardzewiałe wśród jodeł i fal zielonych, wreszcie cały horyzont zamknięty brzegami łądu i archipelagiem, wszystko przносиło mnie do czasów dawnych, kiedy płynąc wzdłuż Ameryki Południowej przerzynałem kanały Shmidta. Była to ta sama przestrzeń, półkolista i zielona. Tylko tutaj, na szczytach gór, nie widziałem śniegów, ani lodowców, które tam, płaszczyzną szeroką i nieruchomą zawisły nad falującymi wierzchołkami lasów dziewiczych.

Nie widać też było na powierzchni fal, spiętrzonej w olbrzymie masy kry lodowej, mieniającej się w słońcu barwą tęczową. Krajobraz był czarujący. Ostre linie gór zdawały się łagodniejsze, a urwiska mniej strome. Równiny, których roślinność nie miała już charakteru niezwykłej bujności, zdawały się przywoływać wspomnienie snu ludów koczujących.

Natura, po daremnych usiłowaniach okazania się dziką, zdawała się odpoczywać, pogrążona w jakimś wdzięku pełnym melancholii.

Słodycz ludzka rzuciła wszędzie swój uśmiech. Pola ryżowe i łąny zboża pokrywały pochyłości wzgórz, zamieniając je w zieloną szachownicę, z której niewiadomo jaki kaprys wygnał linię prostą. Białe latarnie morskie migają na przylądkach, a na ostrych występach półwyspów drewniane kaplice wyginały w górę rogi swych dachów.

W głębi małych zatok, na cichem wybrzeżu, jakby oddzielonym od reszty świata urwiskiem, najeżonym jodłami, tuliły się do skał szare mury wiossek, pokryte ciemnymi dachami lub gęstą strzechą. Małe statki z surowego drzewa i barki wrzynające się w piasek wybrzeża, przemawiały młodzieńczą wesołością desek, dopiero co z kory odartych, wil-



gocia swych lasów rodzinnych jeszcze wilgotnych; prostokątne żagle, wzdęte i pochylone, jak ptaki gotowe do lotu, nadawały wszystkim tym cichym przystaniom pozór wielkich mieszkań nawodnych.

Jednak należy przyznać, że harmonijna całość krajobrazu ucierpiała trochę wskutek drobniawej dokładności szczegółów. Jest to nieprzerwany szereg kolejno po sobie następujących obrazków, z których każdy stanowi całość osobną. Zaczynamy żałować, iż przyroda okazała się zbyt rozsądną i że jej potężna fantazyja nagięła się tak cierpliwie do drobnych kapryśków naszej sztuki. Jakich bóstw wzywać tutaj, wśród tego archipelagu, gdzie wszystko wydaje się nagromadzonem, modelowanem i przerobionem ręką ludzką? Gdyż nie wątpię ani przez chwilę, że to rybacy sami wykopali porty, a ogrodnicy narysowali plan wysepki! Nikt mnie nie przekona, że ścieżki biegnące wzdłuż wybrzeża nie są codzień gracowane, że skały nie są usypane z muszli i z kamieni, że drzewa o dziwacznych sylwetkach, rysujących się na niebie i fantastycznie wyciągających się konarach nie stoją tutaj na rozkaz dekoratora.

Kraj ten zachowuje swą kapryśną i zajmującą poprawność nawet pod pokładem suchych liści i przy podmuchu zimnych wiatrów. A jednak, ten nadmiar sztuczności nie robi wrażenia przesady, nie technie mizdrzącą się kokieterią. Wszędzie należy podziwiać wytrwałość pracy ludzkiej i niepodobna pogardzać narodem, który dla podtrzymania życia i zadowolenia duszy zużytkowuje tak umiejętnie swe góry, wybrzeża, doliny i wysepki.

Dzień zbliżał się ku wieczorowi, a myśmy wciąż odkrywali coraz nowe, lecz zawsze takie same laski, zatoki, wzgórza zaokrąglone lub poszarpane, wysepki, skromne wioski, wody upstrzone małemi żaglami... Zmrok przesłonił szarym pyłem horyzont, księżyc nie było na straży niebios i cie-

mność szybko ukryła przed nami delikatne zarysy tej ziemi, tak dziwnie wulkanicznej, co się wylania z najgłębszych mętów i zdaje się od niepamiętnych czasów być poświęconą bogom rybołówstwa i ogrodów.

Nazajutrz byliśmy w Kobé—nasi przewodnicy zawieźli nas do Wodospadów, ulubionego miejsca przechadzek mieszkańców miasta. Zatrzymaliśmy się przed herbaciarnią; dwie Japonki, dosyć zręczne, których zachowanie się świadczyło, że miały już do czynienia z Europejczykami, pośpieszyły ku nam z uśmiechem i, witając angielskim „good morning”, zapraszały, abyśmy zechcieli ugasić pragnienie; gdyśmy nie skorzystali z wezwania, odeszły, nie okazując najmniejszego niezadowolenia.

Niebo się zachmurzyło; wązka ścieżka, wijąca się w cieniu czerwonawych klonów i ciemnych sosen, prowadziła nas coraz wyżej. W miarę wznoszenia się w górę wyteżalem słuch, aby uchwycić szmer wody, co było zadaniem niełatwym, gdyż zapowiedzianą kaskadę tworzył jedyny strumyczek, spływający po skalnem urwisku.

Najrzęczniejszy z naszych przedsiębiorców nie zdołałby lepiej wyzyskać malowniczości tego cichego wąwozu. Wszystko tu było obmyślane ku zadowoleniu przechodzących się i miało na celu ich przyjemność. Dwie lekkie, z drzewa zbudowane restauracje, zwracały swe werandy w stronę wodospadu, a natrafiąło się na drugą dopiero, przeszedłszy przez pierwszą. Nizkie stoły, pokryte czerwonymi matami, mogły służyć dowolnie za estradę lub ławkę. W zakratowanych niszach, migocących wśród zieleni bladym światłem lampek, siedziały bóstwa z puciołowatemi, dziecinnemi twarzami, uświęcając swą obecnością krajobraz.

Ścieżka nie była pozbawiona planu. Jej zakręty, starannie obmyślane, dążyły zawsze do celu, ukazując naprzemian jakiś stary, powykęcany pień

lub dziwaczny splót korzeni, kawałek błękitu nieba, ujęty w ramę zielonych gałęzi, lub umykające z pod stóp urwisko pomiędzy dwiema grupami drzew

W najbardziej malowniczych zakątkach usadowił się handel: liczne sklepy zaofiarowywały obfity wybór lasek, obsadek, przycisków, kubeczków i fotografij. O pięć tysięcy mil od Europy, odnajdywałem tutaj drobnych przekupniów z doliny Chamonix z ich błyskotliwą tandetą. Czyżby Japończycy byli Szwajcarami Dalekiego Wschodu? Czyżby oprócz licznego zastępu wojskowych i inżynierów, kształcących się w naszych szkołach, wysyłali do Europy kolporterów i oberżystów, ażeby się nauczyli w zdrojowiskach i stacyach klimatycznych jak trzeba za jednym zamachem wyzyskiwać turystę i przerabiać przyrodę?

Na tych ścieżkach samotnych, zapewne wskutek spóźnionej pory, spotkaliśmy tylko jedną rodzinę japońską, złożoną z dwojga starszków i młodej kobiety, której dziecko próbowało stawiać pierwsze kroki. Babka ze zgolonemi brwiami i poczernionemi zębami, dziadek, z chudej, przygarbionej postaci i szyi, oszpeconej wolem, podobny trochę do ptaka marabu, przykucnęli na środku drogi, otwierając ramiona malcowi w pstrej sukience, który posuwał się ku nim kołyszącym się krokiem, osłonięty skrzydłami szerokich matczyńskich rękawów. Młoda kobieta z twarzą różową i zaokrągloną, śmiała się dźwięcznie tym śmiechem radości i tryumfu, co echa dolin i pagórków zbierają po całym świecie z ust matek.

Ani ten obrazek, którego lekki egzotyzm zarbarwiał urokiem nowości starą legendę rodzaju ludzkiego, ani przyroda japońska nie zrobiły na mnie wrażenia niewydanego dotąd dzieła Stwórcy. Przyroda jest ładna, gościnna, w miarę górzysta, skąpana w subtelnem świetle, dzięki któremu lepiej się ocenia plany odległe; potrafi ona, gdy tego po-



trzeba, uwydatnić kokieteryjnie swe wdzięki przez pewne zaniedbanie. Włosy spadają jej nieraz na oczy, lecz ona z poza nich się uśmiecha. Mógłbym zarzucić jej pewną jednostajność niespodzianek, zbyt wyraźny ich przedsmak. Zaczęsto się jej powtarzało, że jest czarującą; zanadto się ją wielbiło; zawiele znaczenia i wartości nadawało tym dziwnym figielkom, co wychodzą z pod jej rąk, a o które sama zazwyczaj niebardzo się troszczy. I oto zapłatą za tyle wdzięków i łask jest, że gdy ją zechcą uczcić, zapominają o słodyczy i dobroci tej matki, mając na względzie jedynie jej biegłość artystyczną.

A cóż mam powiedzieć o miastach japońskich i ich mieszkańcach? Oto, że miasta są okropne a mieszkańcy kpią sobie z naszej estetyki. To nagromadzenie czarniawych bud przypomina olbrzymi skład rupieci i wydaje się jeszcze szkaradniejszem na tle jaśniejących pięknością przystani, w otoczeniu amfiteatru wzgórz, z rozsypanemi tu i owdzie świątyniami, altankami—wobec tych rozległych przestrzeni, zaledwie odbarwionych podmuchem zimny i widniejącej w przejrzystym powietrzu, ubielonej wiecznym śniegiem góry Fuji, której szczyt podobny jest do piramidy świętej. Długo będę pamiętał swój wjazd do Kōbe. Ulice w dzielnicy Europejskiej, zaróżowione chłodnym blaskiem jutrzenki, miały spokojną fizyognomię ulic małego miasteczka. Nad gmachami konsulatów powiewały flagi. Powoli z dalszych dzielnic, zamieszkaných przez krajowców, zaczął dochodzić nas gwar i odgłos drewnianych chodaków, stukających o stwardniałą ziemię.

Za chwilę błędziliśmy już po tem mieście, co się rozciąga daleko jak okiem sięgnąć i wydaje się skupieniem mnóstwa nędznych wiosek, poprzerzynanych drogami krzywemi i pełnemi wybojów. Domy bar-



dzo niskie, otoczone przeważnie kratą i spoczywające bezpośrednio na ziemi, przypominają raczej ptaszniki lub klatki dla królików, niż mieszkania ludzkie. Dachy, kryte gontem lub dachówką, piętrzą się jedne ponad drugimi. Przy każdym domu mnóstwo małych przybudówek, istnych kurników, co sprawia, że chcąc mieć pojęcie o ulicy japońskiej, należy sobie wyobrazić lichą drogę, po której obu stronach rozsypano w nieładzie najrozmaitszych rozmiarów pudełka. Większość sklepów jest utrzymywana przez kobiety. Wartości towaru nie odpowiada bynajmniej staranność w jego ułożeniu; najordynarniejsza tandeta jest na widoku, a drogie tkaniny i wyroby artystyczne leżą w ukryciu, jakby unikając światła.

Dokoła nas „kurumayowie”, odziani w niebieskie spodnie i otwarte z przodu bluzy w duży biały deseń, spleciony z geometrycznych figur, w kapeluszach z Annamu lub lekkich rosyjskich czapczkach, siedzieli pomiędzy hołoblami powozików, i drżąc z zimna, otulali się w czerwone koce, które służą do okręcania nóg pasażerom. Wziąłbym ich za chłopów rosyjskich, gdyby słomiane sandały i podobne do hełmów nakrycia głowy nie przywodziły na myśl podzwrotnikowego słońca. Przechodnie, mijający nas w różnych kierunkach, mieli cerę żółtawą i twarze małpie. Nawpół odsłonięte i krzywoosadzone zęby, nadawały twarzom wyraz surowy, nieprzyjemny; wydatność szczęk przekraczała miarę Syngalezów. Pod względem typu ci ludzie niezbyt się oddalali od Tagalów i Annamitów; drobne ich kształty nie raziły mych oczu, nawykłych już do wątlej budowy rasy malajskiej.

Kobiety, bardzo licznie reprezentowane, zawiadły narazie moje oczekiwania. Strój ich był zbliżony do męskiego; szły drobnym kroczeniem, podskakując trochę, pochylone naprzód, z szyją wyciągniętą; w pasie mają rodzaj poduszeczki,

do której się przytwierdza szarfa, opasująca suknie. Otulone w „haori”, zdawały się podróżować z całą pościelą na plecach. Trochę garbate, trochę koślawe młode wieszczki japońskie, dźwigają na głowie olbrzymie zwoje włosów, napojonych lśniąca pomadą, najeżonych sztyldkretowemi szpilkami, i podobnych do czapki lub hełmu z czarnej laki. Oczy, zeszcpeczone nabrzmiałością powiek, podnoszą się ukośnie ku skroniom; nos i usta nieraz toną w pełnych, czerwonych policzkach. Tłuszcziutki niemowlęta, noszone na plecach, wyglądają ciekawie z poza ramienia matczynego lub odrzucają w tył główki, chwiejąc niemi na wszystkie strony.

Starsze dzieci, ubrane w tkaniny deseniowe, znane mi już były oddawna z półek bazarowych; targowałem je niejednokrotnie i podziwiałem zawsze ich łysą czaszkę z kępką włosów na wierzchu, przypominającą krzaczek mchu morskiego na dużym okrągłym kamyku. Ale nie przypuszczałem, ażeby w tak schludnym kraju mogły mieć do tego stopnia zanieczyszczone noski i to mi psuło tę wdzięczną maskaradę dzieciinną.

Wszyscy, mężczyźni i kobiety, zdjęci chłodem wczesnego poranku, podnosili w górę ramiona, wciągając tym sposobem ręce do szerokich rękawów, które zwieszały się luźno. Było to miasto, zamieszkałe przez bezskrzydłe pingwiny!

Po południu nasi przewodnicy zaprowadzili nas do świątyni szyntoistów. Wchodzi się tam przez cały szereg portyków o poprzecznej belce, lekko, nakształt okrętowego tramu, wygiętej, pomiędzy rzędami latarni drewnianych, kamiennych lub brązowych, umieszczonych na wysokich podstawach. Przybytek bóstw japońskich, pełen arkadyjskiej prostoty, przedstawia dwa pawilony prawie kwadratowe, połączone z sobą wązkim mostkiem. Dach z cienkich, gęsto ułożonych listewek, naśladowujących

słomiane poszycie, wspiera się olbrzymim ciężarem na lśniących kolumnach. Ołtarz bez złoceń i malowideł ukazuje oczom wiernych, jako jedyny symbol bóstwa, zmaćcone zwierciadło i bambusowe wrzeciona, z których zwieszają się w symetrycznych zygzakach papierowe skrawki. Przed ołtarzem, pod szczytem dachu wisi dzwon, opatrzony sznurem i donosi bogom, że ludzie przywołują ich na ziemię. Przychodzą kobiety, dzwonią, pochylają głowy, klaszczą w dłonie, mruczą krótką modlitwę i odchodzą. Powietrze i ptaki mają z każdej strony wstęp do tych świętych kiosków, a w otaczających przybytek ogrodach kołysze się mnóstwo latarni i stoją niezgrabne ołtarzyki. Kilka granatów, złożonych na kamiennych kolumnach i cztery działa, rozstawione po rogach pierwszego pawilonu, trofea ostatniej wojny, przybierają w otoczeniu sielskiem pozór nieszkodliwych rupieci. Wreszcie otoczona latarniami, pod małym, drewnianym daszkiem, leży krowa, ulana z bronzu i pomimo swego pokrewieństwa z bóstwami egipskimi, nie tchnie majestatem ani hieratyczną powagą, podobna zupełnie do zwykłej, poczciwej krowy, nie roszczącej żadnych pretensyj do symbolizowania tajemnych potęg.

Te portyki, latarnie, pawilony, przybytki święte, były obrazem religii bez tajemnic i grozy; nie tej, co wznieca namiętności lub daje rozkoszne zachwyty, lecz pierwotnej, zasadniczej, nacechowanej szczerym naturalizmem religii, zdolnej zaspokoić potrzeby serca dawnych wojowników, kochanków z baśni ludowych i rolników. Domyślałem się wprawdzie jakichś tajemnic ezoterycznych pod pokrywką naiwnego kultu; lecz te drążki, zdobne w papierowe wstęgi, i to zwierciadło, nie uderzały mojej wyobraźni więcej, niż narzędzia praktyki jasnowidzących.

Tłum wiernych roił się dokoła świątyni w po-

szukiwaniu ulubionych rozrywek. Tu skoczek uderzał w hębenek przed namiotem skleconym naprędce z mat, porozwieszanych na drągach; owdzie sklepi-ki cukiernicze i bazyry ogłuszały przechodniów brzękiem dzwonek i grzechotek; najnowsze wynalazki zdobywały sobie całe zastępy poważnie zdumionych gapiów. Widziałem takich, co wkładali do uszu rurki od fonografu, ale z nieruchomych twarzy i mętnego wyrazu oczu, można było wnosić, że chyba żadne dźwięki nie dochodziły ich uszu. Jakiś szarlatan ustawił na swym stole trupa czaszkę, dwa szkielety, lalki anatomiczne, zawierające we wnętrzościach na zielono pomalowane nowotwory, trzy słoiki z okazami tuziemców i wśród tych wszystkich okropności paczkę broszur i stos pudełek z pigułkami. Mówił z szybkością, przyprowadzając o zawrót głowy i laseczką swą wskazywał kolejno którąś lalkę lub słoik, albo dotykał piersi jednego z licznych słuchaczy. Pomimo nieznamomości języka, rozumiałem wcale dobrze jego gadaninę. „Panie—mówił—na obliczu pańskim czytam, że pan pielęgnujesz w swych szanownych wnętrzościach groźnego gada. A ty Pani, zechciej mi wierzyć, powinnaś się wziąć niezwłocznie do leczenia, jeżeli pragniesz uniknąć dla swego szlachetnego łona choroby, której grozę możesz stwierdzić tutaj w całej potędze”. Poczciwi ludzie kiwali głowami, ale o ile mi się zdaje, więcej byli zdumieni wymową przekupnia, niż przekonani o skuteczności jego lekarstw.

O kilka kroków dalej kuglarze, podwinąwszy suknie i odrzuciwszy w tył rękawy, igrali ze szpadami, które niegdyś były może postrachem i chlubą walecznych Japończyków, a dziś, oswojone przez tych szalbierzy, dawały się najspokojniej w świecie połykać w przerwach pomiędzy sztuczkami kuglar-skimi.

— A więc to jest—mówiłem sobie w duchu—ten kraj dziwny, który tak zachwyca wielbicieli nie-



pospolitości, a który za pośrednictwem swej porcelany opowiada nam takie bajeczne historie? Alboż mi nie wmawiano, że nie się tu nie odbywa w zwykły sposób? A przecież wszystko, co widzę i co spotykam, rozwiewa najzupełniej me złudzenia! Mężczyźni brzydcy, kobiety poubierane dziwacznie, zabawy nie różnią się niczem od naszych. Nawet ten strój niezwykle i ta brzydota stanowią drobną zaledwie niespodziankę dla podróżnika, który zwiedził kątek świata i poznał porty Dalekiego Wschodu. Z odgłosem drewnianych chodaków zaznajomiły mnie już kobiety Inkasów, pałeczki, któremi się posługują przy jedzeniu, widziałem w rękach żarłocznych Chińczyków, zewnętrzna strona domów skłania do wniosku, że architekci miejscowi niedaleko odbiegli od pierwotnego budownictwa bo-brów.

I tak, naiwniejszy może w swem rozczarowaniu, aniżeli iżni w swych złudzeniach, popełniałem w kierunku Japonii niewinne świętokradztwa. Lecz gorzej było, gdyśmy się znaleźli w Yokohamie.

Ulice europejskiej dzielnicy, równoległe z wybrzeżem, prowadzą ku skanalizowanej rzece, poczem wdzierają się na zwyczajne, prowansalskie wzgórza, rozsypując wśród gęstych ogrodów liczne wille.

Z wyjątkiem chłopaków japońskich i kilku Niemców, stojących na progu sklepów, spotykałem na razie samych Chińczyków.

Nie wiem, czy upiększa ich powietrze Japonii, czy też zyskują na tle tutejszych mieszkańców, faktem jest, że nigdy jeszcze nie przedstawiali mi się tak korzystnie.

Oczy me spoczywały z przyjemnością na tych postaciach okazałych, sukniach lazurowych, falujących warkoczach i pełnych twarzach, na których malowała się błogość. Lecz ich dzielnica, przylegająca do europejskiej, z domami malowanymi na czer-

wono lub niebiesko, brudna i cuchnąca, robi wrażenie cuchnącego Ghetta.

Na prawo rozsiadło się miasto japońskie.

Ujrzałem przed sobą cały las dachów, masztów i rusztowań, nawpół rozwalone szopy, porozwieszane szmaty; rozległe drogi przecznięte wazkim, biegnącym w zygzak torem kurumy; wystawy sklepów, ujęte w ramy czarnych szyldów, z białemi, jak kreda, napisami chińskimi, przypominały ozdoby naszych karawanów; wreszcie brudny dworzec kolejowy, blizki już ruiny, otwarty gościnnie dla wszystkich wiatrów, przepelniony tłumem ludzi posępnych i stukających drewnianemi chodakami.

Urzednicy w mundurze europejskim, oberwani i nędzni, z tytułu przedstawicieli cywilizacyi starali się utrzymać wśród publiczności karność wojskową. Nikły zapach wody toaletowej i mdła woń ryby unosiły się w powietrzu.

Kobiety roztaczały sztywną elegancję swych olbrzymich fryzur; niektóre miały twarze na sposób wschodni zasłonięte od dołu kawałkiem bladoniebieskiej tkaniny; niejeden mężczyzna, z po za rozchodzących się brzegów swego kimono, ukazywał nogi chude, smagane podmuchem zimowego wiatru.

Skoro tylko podniesiono baryerę, tłum w milczeniu zaczął się tłoczyć ku wyjściu. Łokcie działały na prawo i lewo, jakby pomimo wiedzy i woli swych właścicieli, spoglądających przed siebie z posępną obojętnością, a kamienne płyty przystani zadudniły odgłosem walących o klepisko cepów.

U wstępu do Tokio nowy szereg nędznych wiosek i jeszcze trochę reminiscencyj chińskich.

Dworzec kolejowy w Himbashi okazał się również brudnym, jak w Yokohamie. Naprzeciwko niego, na obszernym placu ujrzeliśmy wśród gęstwin domków jakąś rudere, dźwigającą na sobie coś w rodzaju fotograficznego atelier, z francuskim napisem: „restaurant.” Mały, niski tramwaj, wyblakły,

pokryty rdzą, niechlujny, ciągniony przez parę wy-  
nędzniałych szkap, wykoleił się przed samymi drzwia-  
mi gospody. Na prawo widniały mosty, kanały i sieć  
kamienistych ulic, zabudowanych domkami w stylu  
nieokreślonym.

Rzuciliśmy naszym woźnicom nazwę hotelu  
„Métropole”; odkrzyknęli nam „hé!” i pomknęli  
w drogę.

Przed naszymi oczyma przesuwaly się szybko  
wygięte mosty, warsztaty okrętowe, krzyżujące się  
ulice; gdzieniegdzie wśród bezładnie nagromadzo-  
nych drewnianych domów wznosił się budynek z ce-  
gły, jakby zakłopotany swym śmiałym wzrostem,  
podobny do dużego, niezgrabnego podlotka, który  
się znalazł pomiędzy przygarbionymi starcami.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przy ujściu rzeki,  
w części miasta przeznaczonej dla „dyabłów z za mo-  
rza”, tak przynajmniej należało wnosić z domów, po-  
malowanych różnemi barwami, ogrodów i balkonów.  
Jednak, zdaleka, ujrzałem jakiś okropny dach pagody,  
tak nieumiejętnie sklecony, że pomimo spotyka-  
jących mnie nieustannie zawodów, nie mogłem sobie  
wyobrazić, ażeby Japończyk wykonał coś tak nie-  
wdzięcznego. Dowiedziałem się niebawem, że odpo-  
wiedzialność spada na pastorów anglikańskich, któ-  
rzy tu udzielali przytułku jednej z reformowanych  
sekt.

Weszliśmy do hotelu; właściciel restauracyi,  
zakłopotany, spocony, zdyszany wymierzał liczne  
szturchańce służącym, a oni, gdy się odwrócił, mru-  
gali oczami i wyciągali języki, w sąsiednim zaś po-  
koju cykliści angielscy urządzali hałas piekielny.

Chociaż pierwsze wędrówki po Tokio nie po-  
godziły mnie jeszcze z Japonią, muszę wyznać, że  
miasto objawiło mi się w ogromie, którego nie prze-  
czuwałem, że rozmiary tej olbrzymiej siedziby ludz-  
kiej przeszły me pojęcie.

Ta równina, te wzgórza i pagórki pokryte nie-



zliczonem mnóstwem wiosek, połączonych ze sobą za pomocą drewnianych lub żelaznych mostków, te parowy, ukazujące w swych szczelinach chatki i altany, pustynne przestrzenie, a na ich skraju rojące się ludzkim mrowiskiem przedmieście, ta zbieranina kramików, ruder i nędznych domów, objęta licznymi ramionami kanałów, w których woda znikła pod brzemieniem tratw i statków, aby się ukazać dalej błotnistą smugą pomiędzy wysokimi nasypami, co zieleniały wśród szarzyzny domów; ta sieć splątanych zaułków, a tuż obok szerokie ulice, o domkach niziutkich, zagłębiających się w ziemię, te bulwary udające Europę i mury lepione z gliny ze słomą, podobne do krzyżów, lub kilkoramiennych szubienic słupy telegraficzne, parki, zarośla, pola ryżowe uwieszone wśród zabudowań, ogrodzenia, w których obrębie książęta powznosili ukryte pałace i posiadają rozległe przestrzenie, a mury, co je zamknęły, obejmują więcej gruntu, niż potrzeba na założenie miasta; dzielnice na modłę europejską zabudowane, ludnością i architekturą tak różne od japońskich; ta rzeka, rojąca się statkami, po za którą tłoczy się cały las niekształtnych budynków i kominów fabrycznych: wszystkie te obrazy rozproszone, bez określonego kolorytu, o rysunku niewdzięcznie zamazanym, na pierwszy rzut oka wywołują wstręt i przygniatają swą monotonna różnolitością, później jednak zaczyna się ciekawość i nie pozwala kapitulować przed tą jarmarcznią zbieraniną, najbardziej nieprawdopodobną ze wszystkiego, co ludzie mogli stworzyć na ziemi. Czyżby się miało zrobić tyle drogi napróżno!?

Jarmark ten posiada, nie powiem: centrum, lecz duszę: jest to pałac cesarski i otaczające go ruiny z epoki feudalnej.

Wybierzcie się w drogę z miejsca, gdzie wpada do morza Sumida Gawa, wzdłuż ciągnącej się w odosobnieniu palisady, zechciejcie przebyć mosty



w kształcie łuków, wysepki usiane domami, ulice bardziej kamieniste, niż łożysko wyschniętego potoku — i jeszcze mosty; przerznięcie bulwar Ginza, najpiękniejszą część miasta, jedyną, która posiada ceglany chodnik, a stanicie przed pochyłym murem, wzniesionym z olbrzymich, niczem niespojonych głazów. Mur ten nie jest wysoki, lecz bardzo gruby, zasadzony drzewami — jego tebańska masa przegłęda się w martwej wodzie kanału.

Przejdźcie przez most; znajdziecie się już po za murem. Przed waszemi oczyma rozłoży się niezmierna równina, pozbawiona wszelkiej uprawy, z rozsypanemi tu i owdzie budynkami z czerwonej cegły, czerniejąca gdzieniegdzie skupieniem starych budynków.

Może ujrzycie tam popis rycerstwa japońskiego; zobaczycie jak krótkie postacie luzarów w obciśniętych mundurach, dosiadają z pewną trudnością swych wierzchowców, padają, podnoszą się, dźwigają się na siodło w górę, podobni do dużych, nasrożonych dzieciaków, wykonywających swe harce przed tłumem poważnych gapiów, z których żaden się nie uśmiechnie na widok nieudanego skoka.

Idźcie dalej; na skraju równiny nowy mur, nowy kanał; publiczność krąży tu jeszcze swobodnie; a dalej? znowu okopy, kanały, rozległe przestrzenie, pola wiecznie zielone, samotne okolice i nakoniec wyłaniający się z gąszczów tajemniczych zazdrośnie ukryty, na poszarpanej wysepce wzniesiony pałac cesarski.

Pokażę wam gmach ministerjum cesarza, wznoszący się u wstępu do krętych alei, co prowadzą na podwórzec pałacowy. Już zdaleka daje się zauważyć na jednym z występów muru biała, kwadratowa wieża pagody, przeświecająca łagodnie z pomiędzy drzew.

Cień i cisza zarośli strzegą nieprzeniknionej tajemnicy tej rezydencji boskiej.

Lecz napróżno, na przestrzeni dwu mil prawie, posuwalibyście się wzdłuż zakrętów i załamań głębokiego i szerokiego rowu, który broni przystępu do Wielkiej Bramy; napróżnobyście zaufali mostom, zdającym się tam prowadzić: Bóg Konstytucyjny żyje pośród swego ludu w zadziwiającym labiryncie starych murów i wałących się okopów, zazielenionych kanałów i sennych wód, niepokojonych jedynie przez trzepoczące się dzikie kaczkę; żyje odosobniony i bardziej niedostępny zwykłym śmiertelnikom, niż ta bogini, od której pochodzi, a która przebywa w nienaruszonej świątyni wśród wielkich lasów Isé.

Ten pałac tajemniczy i senny, w którym zdaje się drzemać przeszłość, stanowi dla mnie całą piękność Tokio. Wszystko inne przedstawia chaos, razi mnie na każdym kroku, psując wytworzony w głębi duszy obraz życia, pełnego harmonii wykwintnej.

Ten naród miłujący życie rodzinne, nie ma zupełnie poczucia zażyłości; szersza publiczność może się dowolnie przyglądać jego życiu domowemu; trzy czwarte ludności budzi się ze snu, czesze się, myje, ubiera, oddaje wizyty, wykonywa wszystkie czynności życia codziennego, nie krępując się obecnością przechodniów. Wielokrotnie opisywano dziecięcą pogodę tego narodu, mówiono, że uśmiech nigdy z ust jego nie schodzi. Czemuż więc widok jego stolicy napełnił mą duszę takim smutkiem? Przedmioty martwe i żywe nacechowane są jakimś przygnębieniem bolesnem. Liche domki gną się i duszą pod ciężką skorupą dachówek. Ich piętro jest czasem tak nizkie, że między obdachem i wystającą częścią pokrycia budynku można się pomieścić tylko w postawie leżącej. Drzewa karłowate, rozstawione niby szyldwachy na pochyłościach

wzgórz i dawnych wałów, są tak pokrzywione, a gałęzie ich tak powykręcane, jak gdyby były pastwą nieustannej burzy. Jedne z nich zdają się wyrwać z powierzchni ziemi, rzucając na wszystkie strony swe skręty węzowe. Inne zginają się i czołgają po ziemi, jak gdyby się w niej chciały pogrążyć, albo ją błagać o soki pożywniejsze. Jeszcze inne, przytrzymane korzeniami, z rozwianym liściem, zdają się lecieć w przepaść z urwistych wybrzeży. Widok malowniczy, ale bolesny.

Długo patrzyłem, jak wśród niekształtnych cieni tych drzew przesuwały się pochylone kobiety; pod temi ciężkimi dachami widziałem ludzi, którzy żyją, jedzą, piją, rozmawiają, czołgają się na kolanach, ale nawet stojąc, zachowują piętno postawy błagalnej — *gens duplicata*; zauważyłem to, że skoro z ich twarzy spadnie uśmiechnięta maska grzeczności, wyglądają tak, jak gdyby ich mięśnie twarzowe nie umiały się kurczyć w uśmiechu, a z oczu nie błyskały nigdy żadne ognie, a nawet iskierki. Zapytywałem więc czasem siebie, czy nie weszliśmy przypadkiem w jakiś świat nędzy, od wieków zagrożony klęską straszną.

Ale wrażenie to, zaledwie uświadomione, rozwiało się wobec cudownego widoku: alei drzew, dumnie rzuconych na zdobycie małej świątyni; świątynia buddyjska z portykiem chińskim, otoczona wojskiem latarni, ustawionych szeregami w słonecznym lasku z kryptomeryi, wyglądającym jak ogród, w którym gospodarz wykazał w zmniejszeniu wszystkie cechy charakterystyczne pięknej przyrody japońskiej. Wśród jałowców i gardenii dostrzegłem klasztor pustelników — latarnie papierowe, zawieszone dokoła wąskiego balkonu, miały lekko ziarnistą miękkość tafli szklanych, pokrytych szronem.

Gładkość drzewa żywicznego, delikatność roboty ciesielskiej zdawały się mówić: „Tu, przecho-dniu, zadowolniają się małym, ale je wyzyskują dokładnie.”

Uwagę moją zwróciła jedna z tych sprzeczności, od których roi się Tòkyô: ua tle egzotycznej i starożytnej cywilizacji wznosiły się naprędce sklecone mury budowli europejskich. Nad całą dzielnicą miasta zdawała się panować kopuła ciężka, z wysmukłą obok dzwonicą; wznosi się ona z pośród gromady zeczerniałych, lichych domków, odcinając się na tle błękitów poranku, niby lanca ostra obok olbrzymiej tarczy oblanej słońcem: to cerkiew prawosławna. Widać ją doskonale i z parku cesarza.

Najrozmaitsze dziwaczności japońskie, często więcej pozorne niż istotne, służą za podstawę tym wszystkim, którzy tak wysoko podnoszą zdumiewającą ekscentryczność u Japończyków. Jedne z tych dziwaczności dają się wytłómaczyć przyrodą kraju, inne naśladownictwem, którem nas zaszczycają. I tak, częste trzęsienia ziemi zmuszają ich do stawiania niskich domów z ciężkimi dachami. Niema prawie tygodnia, żeby ziemia nie drżała pod stopami naszymi, a ściany, rozkołysane podziemnem wstrząśnieniem, nie trzeszczały złowrogo. Niedawno pewien Anglik, świeżo przybyły do Japonii i zaskoczony w kąpielii straszny łoskotem wulkanicznym, wahając się między chęcią ucieczki a obawą obrażenia naszych oczu, krzyczał w niebogłoso: *Nasty place! Nasty place!* (Obrzydliwy, wstrętny kraj).

Jestem przekonany, że, gdyby japonizm zwyciężył w Europie, stając się z mody przejściowej i zamkniętej w dosyć ciasnych granicach instytucją szerszą, mniej bylibyśmy zręczni we wzorowaniu się na Japończykach, niż oni w naśladowaniu naszych zwyczajów i stylów. I niechybnie przeszkadzało turystom japońskim do wypisywania długich artykułów na temat zmiętych *kimono* i wykoszlawionych *geta* nieokrzesanych mieszkańców Zachodu.



## ROZDZIAŁ IV.

## W parlamencie i na ulicy.

Codziennie wieczorem tłumacz objaśnia mi treść dzienników. Kupujemy *Nichi-Nichi*, którą prawdopodobnie kieruje markiz Itó, albo *Iji Shimpó*, organ niepodległy i dosyć ministeryalny. Ale drukowany na papierze różowym *Yorozu*, który spotykam wszędzie, w rękach kupców, zakrystyanów świątyń buddyjskich, kapłanów Shintoizmu, giejsz, właściciele oberży, *Yorozu*, który zdaje się być równie popularnym jak *Petit Journal* i prawie tak wojowniczym jak *Lanterne*, wydaje mi się odrazu dużo łatwiejszym i z szybkością wprowadza mnie w sam środek ruchliwego tłumu japońskiego.

Długie artykuły dzienników poważniejszych robią na mnie często wrażenie drugiego słabszego wydania, jakiegoś bezbarwnego naśladownictwa niektórych pism europejskich. Zrozumiem lepiej ich znaczenie, gdy się bliżej zapoznam ze sprawami politycznymi.

*Yorozu* odznacza się wielką wolnomyślnością, jest żywy, gadatliwy, nieprzyzwoity, hałaśliwy; prowadzi wojnę domową; zręcznie wtrąca groźne domyslniki; wynajduje skandale, podtrzymuje je i daje im strawę, wypuszczając w świat w chwili odpowiedniej. Jest to dziennik bardzo cywilizowany; prenumerata kosztuje miesięcznie około dziesięciu *sous*.

Rozpoczynamy zwykle od opisu faktów najrozmaitszych życia codziennego; konstatuję, że życie naszych braci żółtych codziennie wywołuje to samo ciężkie wrażenie głupoty i występków, jak i życie moich braci białych. Samobójstwa z miłości, zdrady małżeńskie, nienawiści spowodowane za-

zdrością, mania morderstw, dużo kradzieży, mniej zbrodni, nieśmiertelne dzieje młodych ludzi, okradających kasy ojcowskie dla utrzymania kochanki, opowiadania o chytrym szlachcicu z imienia, oszukującym sklepikarzy, o łatwowiernym wieśniaku, który powierza swą sakiewkę ugrzecznionemu złodziejowi, o policyncie angielskim, który, wywnioskowawszy ze śladów pozostawionych przez złodzieja, że jedna z jego get się zepsuła, łapie winowajcę w chwili, gdy ten poprawia sobie obuwie.

Świetne popisy szermierzy, równie sławne jak wyścigi końskie, nie zatrzymują nas długo; nim przejdziemy do felietonu ilustrowanego, w którym autor umiejętnie rozwija przed nami szereg faktów, zwiększając wciąż nasze zainteresowanie, rzucamy okiem na sprawozdania polityczne.

Dowiaduję się z nich, że ministerjum gwałci konstytucyę i wcale mnie to nie zadziwia. Wnioskując z melancholii ironicznej dziennikarza, podzielanej przez wierność jego kolegów, konstytucya ta jest dla Japończyków niewyczerpanem źródłem rozczarowań. Posłuchajcie lepiej sami: „Gdy ogłoszono konstytucyę, zapanowała radość powszechna. Całe miasto przystrojono flagami. Tańczono z zapalem. Ludowi się zdawało, że wstąpił do rajy buddyjskiego. Upłynęło zaledwie lat dziesięć i konstatuujemy, że w grucie rzeczy nic się nie zmieniło. Żyjemy, jak dawniej, pod jarzmem samowolnego despotyzmu. Parlament zdeptany przez klany i kliki; stronnictwa znikczemniały, albo spoczywają w odrętwieniu spowodowanem silnemi narkotykami.”

Despotyzm, wspomniany wyżej, nie jest bynajmniej despotyzmem cesarskim. Majestat monarchy unosi się ponad wszelką polityką i nawet sam *Yorozu* nie ośmieliłby się go dotknąć. Dobra jednak wola wnuka bogini słońca może być podstępnie skierowana na złe tory.

Niema takiej wszechwiedzy, którejby wiaro-

łomni doradcy nie potrafili wyprowadzić w pole. W Japonii nikt się nie ośmieli krytykować cesarza, chyba w osobie tych, którzy przybierają nazwę jego narzędzi.

„Gabinet, rządzący nami, jest rodzajem jakiegoś widma. Istnieje i zarazem nie istnieje. Jaki jest jego charakter rzeczywisty, jaki cel? Nikt o tem nie wie.”

Czy potrzeba wyrażać się jaśniej? *Yorozu* zdiera maskę: „Nareszcie minister rolnictwa wykazał swą wartość postępkami niedorzecznymi. Sądzicie, że prezydent Rady zajmuje się sprawami państwa? Uspokójcie się; on się bawi wyśmienicie, pije *sake* i weseli się w towarzystwie gejsz. Mamy trzech ministrów doskonałych: jeden z nich lubi tancerki, drugi akcye, trzeci kubany.”

Dnia 24-go grudnia cesarz otworzył posiedzenie parlamentu. Dziś jeszcze nie wiem, czy ministerium Matsukaty istotnie zawiniło wobec konstytucji i czy zasługiwało na zarzuty, któremi pewna liczba dzienikarzy, korzystając ze świeżo nadanej przez niego wolności prasy, obrzucała go codziennie.

Jedni mówili, że przekroczył swe prawa, inni, że miał prawo je przekraczać; jeszcze inni twierdzili, że pozostał w granicach przysługującej mu władzy; wykraczał z ręcznie, mówili ci; bardzo niezręcznie, zarzucali tamci. Wszyscy jednak zgodnie chcieli go obalić. Walka miała się rozpocząć z powodu nałożenia nowych podatków, groźnych dla biednej ludności. Zresztą największą winą tego ministerium było jego istnienie. Przeciwko ministerium wystąpili urzędnicy, zrzuceni z posad, prefekci w niełasce, a także ambicya dawniejszych ministrów, dążących do odzyskania stanowisk utraczonych i obojętność nasyconych przyjaciół.

Gmach parlamentu wznosi się niedaleko od pałacu cesarskiego, w dzielnicy europejskiej, gdzie

się mieszczą poselstwa i ministerya; świeżo ukończone budynki i ogromne puste przestrzenie tej części stolicy czynią ją podobną do kolebki miasta amerykańskiego. Odprowadzałem tam członków naszego poselstwa. Przeszliśmy ogromną równinę i stojący otworem labirynt dawnych szańców. Zamarznięta woda iskrzyła się w świetle poranku.

Biała wieżyczka parku cesarskiego miała delikatną barwę kwiatów brzoskwini, ściętych przy mrozkiem kwietniowym. Te przestrzenie rozległe, jasne, bagniste, z przeredzoną w zimie roślinnością, przypomniały mi łąki, gdzie niegdyś polowałem na kaczkę. Wzdłuż drogi, którą wkrótce cesarz miał przejeżdżać, zgromadził się tłum milczący, ustawiony w cztery, czy pięć szeregów i utrzymywany w porządku przez policyantów. Setki *kurum* tworzyły linie długie i proste, zapelniając duży plac, rozciągający się przed gmachem, gdzie się rozstrząsają losy Japonii.

Lokaje w błyszczącej liberyi rzucili się do drzwiczek naszego lando, a mistrz ceremonii, wygalonowany od stóp do głowy, zaprowadził nas do wnętrza gmachu.

Otworzono mi trybunę dziennikarzy; ubrani po europejsku, z rękami na kolanach, nieruchomi, niemi, wymuszeni, zrobili na mnie wrażenie wieśniaków, przybranych w stroje odświętne, odzyskujących swobodę ruchów tylko w bluzach codziennych.

Mały amfiteatr parlamentu jaśniał nowością; z półkola o stopniach podwyższonych usunięto ławki, a z góry na dół przeciągnięto cienki sznur ponsowy, rozdzielający całą przestrzeń na dwie połowy; w jednej zasiadali parowie, a w drugiej posłowie. Poza estradą, gdzie się zwykle wznoszą trybuny mówców i prezydującego pod wspaniałym baldachimem, obok bogatego stolika ujrzałem tron cesarski, na purpurowych firankach baldachimu jaśniały zło-



te chryzantemy. Łoże, z wyjątkiem środkowej, pustej i bardzo ozdobnej, zajęte były przez wyższych urzędników i oficerów; niektórzy z nich rozniawiali półgłosem. Ciało dyplomatyczne zasiadło w swej łoży, środek jej zajmowali legaci korejscy, smagli, w ciemnych szatach; na głowach mieli kapelusze z zaostrzoną główką.

Półkole zaczęło się szybko zapełniać; po jednej stronie zasiedli parowie, t. j. senatorowie w mundurach wojskowych, albo w szatach galowych, oblamowanych złotem, naśladujących wystawność dworu niemieckiego; po drugiej stronie reprezentanci narodu, ubrani czarno. Kapelusze ich i rękojeści szpad przysłonięte były krepą, Japonia bowiem nosiła jeszcze żalobę po starej cesarzowej wdowie, która przed ośmiu miesiącami udała się do bogów ze skargą na zaborców europejskich, kahlających jej ojczyznę.

Przyglądałem się pilnie twarzom i postawom. Dygnitarze japońscy w ubraniach haftowanych i mundurach sztabu nie wydawali się wcale śmieszni. Może bogactwo naszyć maskowało ich niezręczność. W powłóczystych szatach kryła się chudość ramion; klapy i poły fałdowały się i rozwiewały na wązkich piersiach i zbyt długich stanach; sztywnie zwieszały się ramiona, jakby zawstydzone długimi rękawami.

Brzydota twarzy, spłaszczonych lub zbyt wydatnych, prawie sjamskich nie rzucała się tak w oczy, jak na ulicach; uderzyła mnie nawet pewna rozmaitość i jakby zboczenie od typu japońskiego.

Obok głów spłaszczonych, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, i twarzy wychudzonych, skwaszonych, zapadłych, wzburzonych, widziałem też oblicza subtelne, przenikliwe, owalne, z nosem orlim, z oczami lekko zmrużonemi, z uśmiechem kobiecym. Niejedna twarz wyrazem swoim przypomina

nała mi dawnych znajomych. Maski japońskie nosiły piętno tych samych zalet, wad, cnót i występków, które przyzwyczailiśmy się odczytywać na naszych rysach aryjskich.

Wreszcie ukazał się cesarz. Wszedł przez drzwi boczne, otoczony swą szambelanów, książąt i ministrów. Natychmiast senatorowie i posłowie, wszyscy jednym zgodnym harmonijnym i powolnym ruchem, niby kłosa poruszone lekkim powiewem wiatru, złożyli głęboki ukłon, pochylając się przed tym człowiekiem, który w tej chwili uosabiał ojczyznę. Nie przychodziło mi już na myśl krytykować krój ubrania, ani zastanawiać się, czy krawcy japońscy zręcznie przystosowali modę zagraniczną do form miejscowych.

Cesarz wzrostem przewyższał oficerów swojej eskorty; w mundurze generała, z włosami bujnemi, rozdzielonemi nad czołem, z brwiami podniesionemi i oczami lekko skośnemi, z wydatną niższą szczęką, z czarną brodą i szorstkimi wąsami, z pod których wystawały wargi skrzywione grymasem nie miłym, posuwał się naprzód dosyć szybko, trochę kaczkowatym ruchem kawalerzysty.

Rysy twarzy wyrażały więcej szorstkiej zaciętości, niż inteligencji.

Hrabia Matsukata zbliżył się ku niemu, złożył trzy głębokie ukłony, przerwane równemi odstępami czasu i kornie wręczył w trąbkę zwinięty papier, zawierający proklamację cesarską. Cesarz zdjął kepi z białą kitą, położył na stoliku, rozwinął rękopism i zaczął go odczytywać; ale wykonywając ten lekki ruch usunął się nieco na bok, tak, że fałdy kotary zasłoniły mi trochę jego postać. Słyszałem więc tylko głos jego, głos dziwny, gardłowy, złamany, głos starego księdza monotonnie śpiewającego litanię. Skończywszy czytanie oddał hrabiemu święty dokument i oddalił się ze swą switą w milczeniu, tak jak i wszedł.

Posłowie i senatorowie rozproszyli się, wkrótce jednak mieli się zebrać ponownie i wspólnie zrehabilitować adres do tronu.

Przyłączyłem się do dyplomatów, którzy w środku dużej sali bez żadnych ozdób palili małe cygara.

Rozmawiano o słowach cesarza, zdaniem ich, mniej banalnych, niż w latach poprzedzających. Zwrócono uwagę na ustęp jego mowy, w którym wychodząc ze zwykłej swej neutralności oświadczył, że ministrowie nakładając nowe podatki byli posłuszni jego woli. Oślaniał w ten sposób ich niepopularność nieprzepartym urokiem swej purpury.

Tymczasem dzienniki ogłosiły, że zaczynając od dnia jutrzejszego rozpoczną się napaści na ministerium; wszystkie koła polityczne przygotowywały się do walki.

Zrana już dostałem się do Izby parów. Panowały tam formy wykwintne, ruchy miękkie i ugrzecznione, subtelne aluzje, chwytane uśmiechem, pochwały ostrożne; salon i akademia zarazem. Mówca wypowiadał swe myśli spokojnie, bez żadnej gestykulacji; od czasu do czasu tylko pochylały się i obnażały głowy słuchaczy, jakby pochwalając zręczność jego wymowy. Wszystkie trybuny były puste.

Około południa tłum, zaopatrzony w bilety wstępu zaczął oblegać wejścia parlamentu, tłocząc się na bocznych drewnianych schodach, prowadzących do Izby obrad. Urzędnicy, do których się zwróciłem z prośbą o pozwolenie wejścia, przyjęli mnie z uprzejmością, która wzruszyła mnie tem mocniej, że byłem im całkiem nieznany; skoro tylko otwały się drzwi łoży, wszyscy uprzywilejowani, którzy ją zajmowali, usunęli się w głąb, wskazując mi miejsce w pierwszym rzędzie.

Grzeczność ich pocieszyła mnie po zniewagach, które mi ulicznicy, zachęceni przez swych ro-

dziców, obsypywali mnie podczas pierwszych przechadzek po mieście.

W kancelaryach, położonych wzdłuż korytarzy, dostrzegałem niewyraźnie grupy posłów japońskich; siedzieli na stołach zapalając cygara o rozżarzone węgle; zamiast czarnego ubrania europejskiego, które przywdziewali na większe występy, mieli na sobie kostyummy japońskie, szerokie i nie krępujące ruchów. Rozprawiali żywo, a dokoła nich rozlegały się burzliwe odgłosy.

Punkt o pierwszej prezydujący otworzył posiedzenie krótką przemową. Było to właściwie sprawozdanie z jego wizyty u cesarza, któremu podał adres wszystkich kolegów. Wnuk słońca raczył wyrzec: „Pochwalamy uczucia, wyrażone przez członków Izby poselskiej”.

W przepelnionej sali, w której kostyummy europejskie ginęły w tłumie *haori*, zapanowała jeszcze głębsza cisza i skupienie; w chwili, kiedy miano przejść do porządku dziennego, powstał jeden z posłów, prosząc o pozwolenie podania wniosku bardzo pilnego. Różnorodne krzyki zlewały się z sobą w półkolu; zaledwie dosłyszano głos prezydującego:

— Jakiego rodzaju jest ten wniosek?

— Proponuję—odparł poseł—ażeby Izba złożyła votum nieufności obecnemu ministeryum.

Twarze się wydłużyły zrzucając zwykłą maskę obojętności. Patrząc na głowy guzowate z kozimi bródkami tatarskiego Sansza i Don Kiszota przypominałem sobie, gdzie mogłem widzieć tę twarz opatrznosciowego bonzy z melodramatu, te oczy zapadłe i wyraz grobowy ust; gdzie słyszałem ten głos bezbarwny, który jednak zdaje się mniej bezbarwnym od wypowiedzanych słów? A ten młody tenor operetki politycznej, z miną zadowoloną, gdzie mi się już przedtem ukazał? W ciągu jakiej pielgrzymki? W jakim kraju?



dujesz się w ojczyźnie przepowiedni czerpanych ze snów i rozmowy za pośrednictwem kwiatów. Te dwie jodły u progu każdego mieszkania, z prawej strony zgrabniejsza, z lewej więcej krzepka, wyobrażają stałość żony i męża, i są przepowiednią długiego życia. Słomiany sznur, który pan może odnaleźć na frontonach świątyń, ma swoje źródło w szyntoizmie i oddał już ludzkości usługi niepospolite: gdyby nie on, w państwie słońca dotąd panowałyby ciemności; bogini słońca bowiem równie kapryśna, jak księżyc, zamknęła się niegdyś w grocie. Bogowie zakłopotani otaczającą ich ciemnością, nie mogąc wywołać bogini z jej kryjówek, postanowili obudzić ciekawość niewieścią; skomponowali symfonię żartobliwą, w której koguty odegrywały rolę wybitną i t. p. wynalazki. Najszczęśliwszym okazał się pomysł wychwalania jej wdzięków i pokazania zwierciadła. Bogini wyszła z groty, ale byłaby do niej wróciła, gdyby ten sznur ze słomy ryżowej nie zamknął jej odwrotn.

Skrawki papieru, które pan uchybiając winnemu uszanowaniu, nazywasz szpargałami, są symbolem bóstwa. Co się tyczy zielonych liści paproci lub lauru, pomarańcz i trawy morskiej, to zdaje mi się, iż oznaczają one pomyślność. Rak wypowiada życzenie dożycia tych lat kiedy postać ludzka zegnije się na wzór jego grzbietu, a broda wydłuży się podobnie do jego szyi. Nie skończylibyśmy nigdy, gdybym chciał tłómaczyć panu wszystkie drobne symbole, które od dwóch tysięcy lat stanowią źródło niewinnych przyjemności Japończyka. Liście drzew robią mu znaki szczególne, anemony szepcą mu o rzeczach wykwintnych, marzenia o szczęściu podróżują na skorupie żółwia, ryby miewają długie przemowy. Dusza Japończyka, łatwa do zadowolenia, porusza się swobodnie w przejrzystym świecie bajek. Zamieszkuje tam mały pałacyk alegoryczny, którego każde okno stanowi metaforę.

— Przebóg—zawołałem — można się stać nieoszacowanym, bywając u Japończyków!

— Czemuż mi pan nie powiesz odrazu, że w dzień Nowego Roku ubierają mieszkania jemiołą? Dzielni ludzie! Ale jak na marzycieli, przeglądających się w kropli wody, wydają mi się oni zbyt interesowni. We wszystkich sklepach i budach rzucają mi się w oczy postaci kantorzystów, klęczących przed księgami buchalteryjnymi. Wszędzie słychać klekot kulek przesuwanych na przyrządach rachunkowych. Wczoraj, przechodząc koło banku, zauważyłem, że do wszystkich okienek tłoczyli się ludzie, uzbrojeni w grube pugilaresy.

— Ba — odparł mój rezydent — cóż pan masz przeciwko temu, że Japończycy przynajmniej raz w rok poczuwają się do obowiązku płacenia swych długów! Mają trzysta sześćdziesiąt dni na zaciąganie pożyczek, i Bóg świadkiem, że nie odmawiają sobie tej przyjemności!

Przeznaczają zaś tylko pięć dni na obmyślenie nowej pożyczki, któraby im pozwoliła spłacić długi dawne. Bądź pan jednak przekonany, że widmo terminu wypłaty nie przeszkodzi im zjadać w końcu miesiąca makaron, albo tradycyjny *mochi*, placek ryżowy, któremu piekarze nadają formę zwierciadła świętego, albo też rozrzucać po całym domu fasole, ci bowiem amatorowie potraw mącznych odznaczają się czystością, mogącą odstraszyć dyabła.

Poszedłem za radą mego przyjaciela; błąkałem się po ulicach. Choinki, wprawiające w zachwyt tyle jasnych główek europejskich, w ilości olbrzymiej przybyły tu z za morza dla rozweselenia progów domów japońskich.

Widziałem drzewka rozmaitej wielkości; niektóre z nich nie przewyższały gałązek święconego bukszpanu. Odrobiną zieloności i nadziei ozdabiały drzwi biednych chatek. Dzieci w małych okrągłych

czapeczkach i w pstrych sukienkach, z rękawami spadającymi do pięt, troszczyły się niezmiernie, żeby wichry nie uniósł małych, wetkniętych w ziemię drzewek i ciągle podbiegały ku nim przerywając swe zabawy.

W Ginza ustawione wzdłuż chodników ruchome sklepy ze statkami kuchennymi, z zabawkami, z ozdobami religijnymi, z zasadzonymi w doniczkach maleńkimi drzewkami, które tak znakomicie odtwarzają kapryśne zarysy drzew wielkich, że wystarczy je ustawić na *tutami*, aby uwierzyć, że się jest w lesie. Pomiedzy ulubionymi gracikami sprzedawano też małe tekturowe lub porcelanowe kocięta, z podniesioną łapką, jak gdyby chciały nią przytrzymać nieuchwytnie szczęście.

Wszędzie małe dziewczynki poubierane w tkaniny deseniove i młode dziewczęta w pasach różnobarwnych, bawiły się pięknymi raketami, których spód ozdobiony był wizerunkami znakomitych aktorów Japonii. Nie sądźcie tylko, że te obrazki wykonane były niedbale. Przeciwnie, wykonała je z kawałków krepy błyszczącej ręka bardzo uzdolniona, tak że figurki te żyją, ruszają się, mówią, odtwarzając poległych bohaterów i czar przeszłości.

Od trzydziestego pierwszego grudnia do pierwszego stycznia sklepy się nie zamknęły. Około północy ze wszystkich stron rozległy się poważne i donośne dźwięki *gongów*<sup>1)</sup> w kościołach buddyjskich, a lud spokojnie spożywał wieczerzę przy stołach zastawionych przysmakami; były tam raki, ryby, pomarańcze i trawy morskie. Wszyscy się uśmiechali do patronów niebieskich i do swych podań legendowych.

---

<sup>1)</sup> Gong—instrument muzyczny chiński—jest to właściwie tarcza metalowa, po której uderza się laseczką.

Jak na ludzi, którzy się cywilizują, Japończycy istotnie są bardzo dziwni.

---

## ROZDZIAŁ V.

---

### Parlamentaryzm i feudalizm.

Tak, dziwni! Po gabinecie Matsukaty nastąpił gabinet Itô i wkrótce miał się rozpocząć okres wyborów. Rozwiązanie Izby poselskiej nie wzruszyło zupełnie mieszkańców kraju, zblazowanego już na punkcie tego rodzaju przyjemności. Kiedy wyrażałem swoje zdziwienie, że cesarz z taką łatwością rozpuścił przedstawicieli narodu, wytłómaczono mi, że ta częsta zmiana Izby jest gimnastyką giętkości ciał wyborczych. Uważano za rzecz zupełnie słuszną, a nawet konieczną, ażeby każdy wyborca japoński w przeciągu swego krótkiego życia mógł wybierać posłów tyle razy, ile razy wybiera ich pokolenie Europejczyków w ciągu całego stulecia.

Podziwiałem ten system wychowania publicznego, który w piętnaście lub dwadzieścia lekcyj przygotowuje doświadczonych obywateli.

Upředzono mnie również, że najlepszym środkiem, wynalezionym przez rząd dla poskromienia opozycji, było jej zubożenie materyalne.

Cesarstwo nie jest bogate: każda ełekcja kosztuje pięć do sześciu tysięcy *yen*'ów, t. j. około piętnastu tysięcy franków. Ćwiczenia wyborcze, powtarzając się często, zabijają fortuny małe, kaleczą średnie i—tak przynajmniej mniemają—uczą rozumu wielkie.

Zdumiewają się powszechnie, że naród japoński od odwiecznego feudalizmu mógł przejść tak na-



gle do systemu parlamentarnego. Ja jednak spostrzegam codziennie, że ten parlamentaryzm jest tylko pokojowym przeobrażeniem feudalizmu; nie ma na myśli feudalizmu utrzymywanego w karbach i centralizowanego w przeciągu dwóch wieków przez dynastye Tokugawa, ale feudalizm starożytny, który rozszarpał i rozkawałkował Japonię.

Parlamentaryzm dzisiejszy zapewnia te same korzyści, ponieważ jego swawole, wichry i burze pozwalają najniższym sięgać po zaszczyty; dzisiaj widzimy, że aktorzy dramatyczni dążą do tytułu pośła, jak niegdyś masztalerze zdobywali godność cesarską.

Przedstawia on i te same niebezpieczeństwa; tak samo drażni chciwość, jątrzy próżność osobistą, prowadząc do rozprzężenia i anarchii. Duch feudalny zmienił tylko kierunek.

Nie próbujcie określić dokładnie programu partyi politycznych. Liberalni, postępowcy, narodowcy, są to etykiety zapożyczone i bez znaczenia. Wyborcy japońscy nie mają idei przewodniej; dają się prowadzić innym ludziom. Obowiązuje ich nie zasada, ale zależność od jakiejś posiadłości. Od czasów Restauracji władza spoczywa w rękach trzech czy czterech klanów, których wymusztrowani członkowie powołują siebie wzajemnie, zastępują jedni drugich, przekazując sobie nawzajem błogi ciężar. Dokoła tych klanów organizują się partye, których przywódcy upadają i zmieniają się zależnie od wypadków wojennych.

Istotnie, roztrzásają teorye, rozrzucają deklaracje, chwytają ustępy mów angielskich, albo wyrrywają stronicę z „*Umowy społecznej*”.

Politycy troszczą się tylko o to, ażeby mówić głośno, wywłaszczać wielkich wasali i zjednywać cesarza, bo cesarz i dzisiaj, jak niegdyś przedstawia palladyum, które sobie wydzierają wszystkie stronictwa.

W pierwszych latach po ustanowieniu wyborów odmłodzona Japonia oddychała nie tylko świeżym powiewem swobody, ale i stęchłym zapachem dawnych wojen domowych.

Wioski się zbroiły; włościanie, nie mający dotąd najmniejszego pojęcia o biuletynach wyborczych, dawni *samurai*'owie, nieprzystępni żadnym ideom politycznym, wszyscy oblegli tłumnie urny wyborcze, staczając przy nich burzliwe utarczki.

Rząd uwiedziony przykładem Europy, powołał wyborców do spokojnego roztrząsania przekonań; naród japoński podzielił się na dwa nierówne obozy: jeden, liczniejszy, twierdził, że dziwaczności europejskie zdenerwują Japonię, należy się więc cofnąć; drugi dowodził, że cywilizacja zachodnia wzmocni ich ojczyznę, zatem trzeba iść ciągle naprzód.

Dla rządu jednak było rzeczą zupełnie obojętną, który obóz odniesie zwycięstwo, konstytucya bowiem ponad Izbą poselską postawiła ministerjum nieodpowiedzialne, niewiele dbające o wyniki głosowania wyborczego, zmuszone do dalszego prowadzenia swego zgubnego posłannictwa. Wstecznicy nie śmieli potępiać bezwzględnie systemu nowego; postępowcy nie mieli odwagi obalać całkowicie systemu dawnego. Obie strony prędko się znużyły dwuznacznym dowodzeniem i spór z kwestyj ogólnych przeszedł na pole walk osobistych.

Zamęt powstał nieopisany. Umysły stojące na krańcach przeciwnych zczepiły się z sobą, tworząc z płaszcza arlekina sztandar bojowy. Upojenie walką zajęło miejsce wewnętrznego przekonania; urazy zastąpiły zasady. Parlamentaryzm japoński zachwiał się na samym wstępie.

Pewien znakomity polityk japoński, były i przyszły minister, jeden z tych, którzy wywołali Restauracyę, mówił do mnie z domieszką świetnej ironii i powagi:

— Dojrzeliliśmy więcej do systemu reprezentacyjnego, niż to sobie sami wyobrażaliśmy.

Na szczęście, powtarzające się często wybory ostudziły entuzjazm wojowniczy wyborców. Japończyk ma duszę kapryśną i ruchliwą: zapala się ona żywo do wszelkich nowości, ale jeszcze prędzej ostyga. Ze sportem politycznym stało się to samo, co z hodowlą królików, która w r. 1873 roznamiętniła ogół do tego stopnia, że ceny królików dosięgły normy bajecznej dawniejszych cen tulipanów holenderskich.

Znużono się jednak prędko utarczkami politycznymi, podobnie jak w roku 1875 ta sama publiczność znudziła się walkami kogutów, które w r. 1874-tym do tego stopnia zaprzątneły wszystkie umysły, że nawet zapomniano o królikach. Wieśniacy wrócili do swych pól ryżowych, a większość *samuraï*ów, spodziewających się może, iż poseł ich sprowadzi znowu na Japonię boski wiek panowania żelaza i szabel, rozczarowana, niezadowolona z uderzeń pięści otrzymanych bez sławy, cofnęła się do swych siedzib. W ten sposób zmniejszyło się ogólne wzburzenie; prawem dziwnego kontrastu, w miarę tego jak dzienniki stawały się coraz więcej cierpkie, posłowie coraz burzliwsi, a idee śmielsze i swobodniejsze, lud wpadał w coraz większą obojętność, a wyborcy, coraz mniej skłonni do uniesień, zaczęli się usuwać od polityki.

Zmiana izby mogłaby się odbyć dzisiaj zupełnie spokojnie, gdyby *sôshi* nie rozdmuchiwali starannie tlejących zarzewi tak gorąco upragnionych swobód.

Ich dyalektyka gwałtowna i stanowcza pogrążyła w nirwanie znaczny poczet wojujących obywateli, wciągniętych mrzonkami politycznymi w krąg bezmyślnych orgii. Wszystkie sławy współczesne noszą na sobie ich piętno, a jednonogi hrabia Okuma, leader postępowców, jest ich dziełem. Sylwetka wyrazista *sôshi* odcina się ostro od płaszczyzny bezbarwnej czasów teraźniejszych, przypominając zblądły obraz wieku bohaterskiego.

Niegdyś można było spotkać tych *sōshi* na drogach publicznych, gdzie się błakali pojedynczo, albo całemi bandami; czasem ubrani porządnie, czasem w łachmanach, a zawsze dumni i hardzi, zawsze gotowi do szabli. Nosili zwykle słomiane kapelusze formy przewróconego koszyka, a gejsze rozkochanym wzrokiem śledziły tych niezależnych i awanturnicznych *samurai*'ów, czasem szukających zemsty, ale częściej jeszcze przygód. Byli to raczej kondotjerzy, niż rycerze; podania o waleczności i zemstach tych ludzi otoczyły ich postaci urokiem dziwnej tajemniczości. Nazywano ich w owych czasach *rōnin*'ami, a czyny ich pozostały na zawsze w pamięci ludu.

Dzisiaj, odarci z tajemniczości i rycerskości, rekrutowani przypadkowo z pomiędzy leniwych czeladników, byłych studentów, robotnicy zwerbowani do niezbyt szlachetnej pracy, zachowują jednak pewien rodzaj uroku, który nie pozwala im wpaść w ogólną pogardę; do tego stopnia dziś jeszcze brutalna odwaga czaruje umysł japoński.

*Sōshi* tworzą dokoła kandydata rodzaj straży przybocznej, tak, że robi on wrażenie dawnego daïmiō w otoczeniu *samurai*'ów. Słuchają swego dowódcy, który trzyma się z uszanowaniem w pewnej odległości za posłem i ztamtąd ma oko na wszystko, zasłania przed niebezpieczeństwem, zabiera głos na zebraniach publicznych.

W niektórych okręgach wyborcy idą do urn otoczeni policyantami nieustraszonymi, którzy ich bronią od podobnych policyantów, opiekujących się innymi wyborcami. Ci obywatele pracujący dla dobra kraju z przekonania, mają miny ludzi prowadzonych na stryczek.

W ciągu kampanij wyborczych, których echa przynosiła mi prasa, mniej się interesowałem *sōshi*, niż losem niezwykłym wielu kandydatów.

Aktor Kawakami, założyciel rewolucyjnego pi-



sma w rodzaju *Théâtre Libre*, stanął jako kandydat dwunastego okręgu Tokyo. Był to pierwszy wypadek, że aktor wędrowny wstąpił na estradę polityczną, a jednak widziałem dobrze, że publiczność japońska nie miała jeszcze umysłu stępionego, bo okazała się krnąbrną. Kawakami trudił się daremnie: nie chciano go słuchać; zabroniono właścicielom *yosé* wynająć mu sali, skromnej sali, gdzie się zwykle odbywają konferencje, gdzie co wieczór zręczni deklamatorzy zabawiają sklepikarzy i drobnych mieszczan cyrkułu wesołemi bajkami i powiastkami.

Prawo japońskie wymaga, ażeby każdy obywatel, kandydat i wyborca płacili rocznie przynajmniej piętnaście *yen* ów podatku, zaczynając od lat poprzedzających ustanowienie list wyborczych. Kawakami zapłacił tę sumę; inni byli mniej szczęśliwi od niego, ale mimo to chcieli być wybranymi. Pozostawał im tylko jeden sposób: wyszukanie bogatych rodziców, którzyby ich zechcieli adoptować. Ponieważ nazwiska nie są bardzo urozmaicone, można więc z łatwością dokonać tego aktu, nie tracąc ani jednej sylaby.

Widzimy więc jak biedni kandydaci wyszukują sobie nowego ojca, nowej matki, nowych przodków, nowego dziedzictwa. Nie żartuję wcale: nie ma rzeczy traktowanej z większą powagą, jak adoptacya. Ona tworzy i uwiecznia rodzinę japońską; ona upoważnia cesarza do wyprowadzania swego rodu od Iimmu Tenno, umarłego na pięćset, czy też sześćset lat przed Chrystusem. Niektórzy Japończycy twierdzą nawet, że cesarz podobny jest do Iimmu Tenno, jak dwie krople wody; to pobożne złudzenie dowodzi tylko, że adoptacyi przypisuje się działanie skuteczniejsze, niż samej naturze. Z chwilą kiedy syn przybrany wchodzi do nowej rodziny, dawniejsza staje się dlań zupełnie obcą. Zmienił przodków i kult bogów domowych. Odtąd

będzie palił kadzidła i składał ofiary z ryżu przed świętymi tabliczkami zmarłych, których dobrowolnie uznał za przodków.

Ateńczycy, Rzymianie, Indusi improwizowali też podobne genealogie, ale oni postępowali z większą, niż Japończycy, ostrożnością.

Co roku ambicya polityczna pcha biednych kandydatów, dobrowolne sieroty, na poszukiwanie bogatego ojca i naraża ich nieraz na zabawne przygody.

W roku bieżącym p. Kotegawa, znakomity ekonomista, żądny stanowiska posła, znajduje wreszcie w cyrkule Shiba imiennika, który jest bardzo zadowolony, że będzie miał syna w parlamencie. Interes miał się już ku końcowi, kiedy zauważono, że syn miał czterdzieści dwa lata, a ojciec tylko trzydzieści. Kotegawa zwrócił się do ministryum spraw wewnętrznych, czy też do ministryum sprawiedliwości: odpowiedziano mu, że prawo w żadnym razie nie może pozwolić na podobną anomalię i szanowny ekonomista musiał w dalszym ciągu prowadzić swe poszukiwania, ażeby odnaleźć ojca, który byłby co najmniej w jego wieku.

W Isé p. Oishi, były wice-minister rolnictwa, natrafił na rodzinę tego samego nazwiska i gotową go usynowić. Przyjaciele składali mu powinszowania. Naznaczono dzień, w którym się miała odbyć owa uroczystość. Ale nieszczęściem dowiaduje się o tem jeden z przeciwników politycznych p. Oishi, spowinowacony z ową rodziną. Spieszy do niej. Duch przodków buntuje się z nim razem i p. Oishi jest odrzucony. Inni zmuszeni do poniżającej i smutnej konieczności zmiany nazwiska umierają jako Nayashi, odradzając się jako Morimoto. Istotnie, miłość dobra publicznego może natchnąć do wielkich ofiar.

A kiedy ci smętni tułacze błąkają się od ogni-

ska do ogniska, od cmentarza do cmentarza, poszukując przyjaznych sobie cieniów, albo gościnności żyjących, liberalni głoszą o wielkiej pobłażliwości ministryum względem postępowców; postępowcy zaś opowiadają o gorszących ustępstwach dla liberalnych. Obie partye obwiniają siebie wzajemnie o morderstwa, wytykając sobie przekupstwa wyborcze. Wszystkie te głosy rozpryskują się na powierzchni narodu japońskiego, niby lekkie wiry piany na spokojnej wodzie.

## KSIĘGA II.

### *Trzy dni walki wyborczej.*

#### ROZDZIAŁ I.

##### Dzień pierwszy: osobistości.

Tłómaczem moim był wówczas urzędnik japoński, ofiara polityki i jej czciciel—p. Mikata.

Gdy mi go przedstawiono po raz pierwszy, ujrzałem małą, krępą figurkę kałmuka, w rękawiczkach i paltocie koloru migdałowego, z połami odcinanymi od stanu i spadającymi na wysokie buty. Czoło miał niskie, podbródek mały, usta nawpół rozwarte, ukazujące pod górną wargą szereg brzydkich zębów; uderzyła mnie szczerłość spojrzenia, oczy bowiem zapomniały o grzeczności japońskiej i przestały się wpatrywać uporczywie w żołądek interlokutora.

Mikata nie posiadał duszy złożonej, ani zagadkowej, pomimo, że podlegał w życiu swoim najróżnorodniejszemu wpływowi.

Urodził się w okresie burzliwym, podczas mgławic Restauracji, ztąd umysł jego zachował pewien



niepokój, właściwy ludziom wytraconym ze zwykłej kolei i ślady niejasnych, zmaconych światel epoki przejściowej.

W chwili gdy go poznałem, wracał z Formozy, z kąd, nie pamiętam już dlaczego, został przez ministeryum odwołany ze skromnej posady urzędnika administracyi. Ale w rzeczywistości przybywał z odleglejszych stron, niż Formoza. Nizkiego pochodzenia, syn ubogiej rodziny, wychowywał się w świecie dawnym, wyzwalającym się już do nowego życia pod wpływem najścia pojęć europejskich i całą siłą woli zapragnął poznać ten zdumiewający Zachód.

Ażeby lepiej zrozumieć gorączkę, która ogarnęła tylu Japończyków z chwilą otwarcia ich kraju dla cudzoziemców, należy sobie wyobrazić naród więźniów, ciekawych z natury; wyobraźnia ich w przeciągu pół wieku wyteżona w kierunku Europy, podniecała się każdym echem z za morza i karmiła legendami, opowiadaniem po cichu z ust do ust.

Nie wiedzą jeszcze, kim jesteśmy, lecz ciemność staje się bardziej niepokojącą z chwilą, gdy zadrgają pierwsze niepewne promienie światła. Widmo naszego życia tańczy przed ich oczyma groźne, dzikie, nadludzkie. Nagle zasłona się przedziera; droga do cudotwórców stoi otworem.

Mój Boże, jakże ludzie zyskują, nie poznawszy się bliżej, lub straciwszy siebie z oczu! W jakie nadprzyrodzone powaby przystraja ich oddalenie, jakim niewyczerpanem źródłem przesądów i tajemnic staje się ludzkość sama dla siebie. Podczas gdy daleki Wschód budził w nas tęsknotę nieprzewyciężoną, gdy nieraz zniechęceni niwelującą banalnością cywilizacyi nowożytnych całą duszą wybiegaliśmy ku jego fantastycznej sztuce i podniecającej odrębności, ten sam Wschód, znużony swą mądrością odwieczną, tęsknił do naszych ksiąg, do naszych cudów; byliśmy jego poezją, a nasze ol-

brzymie bulwary przedstawiały dlań tyleż ponętnych obietnic, ile dla nas jego czarodziejskie i kapryśne pałace.

Bez grosza, bez kredytu Mikata wylądował pewnego pięknego poranku w Marsylii, a ztamtąd udał się do Lyonu, dokąd rząd japoński wysyłał chętnie swych wychowanców: ci przygarnęli rodaka. Umieszczono go w szkole Marystów, gdzie przebył trzy lata. Przez trzy lata następne studyował prawo. Gdy dzielny chłopak wsiadał na statek, dążący ku Wschodowi, w tłumoku jego znajdował się talizman nielada—dyplom europejski.

Mikata kochał Francję, zanim ją ujrzął; kochał jeszcze więcej opuszczając. Umysł jego wyćwiczył się tam w błędzeniu w półmroku, niezdolny do ujęcia swych pojęć w całość, szedł od szczegółu do szczegółu z cierpliwością niezmordowaną i cichym zachwytem. Nie spotkałem człowieka bardziej obcego wszelkim ideom religijnym.

W szkole wytrzymawał próbę trzyletniego obłęzenia i nie dał się nawrócić z tej prostej przyczyny, że nie potrafiłby zostać ani szyntoistą, ani budystą, ani wierzącym, ani niedowiarkiem. Lecz natomiast wierzył w Postęp, Sprawiedliwość, Wolność i Naukę; dźwięk tych wyrazów, roznoszonych po całym świecie przez wiatry europejskie, tych wyrazów nieokreślonych, które zapragnął sam usłyszeć z ust wyroczni, napełniał go dumą i pewnością siebie.

Niezwykłe prawy, nieraz kłopotliwie szczerzy, równie daleki od formalizmu japońskiego, o którym już zapomniał, jak od etykiety europejskiej, którą niezupełnie rozumiał—wierny popędowi honoru i bezinteresowności, wrytym w jego sercu przez tradycje Konfucyuszowe, naiwny i trochę próżny, jednoczył w swej osobie wszystkie cechy nowożytnego, przeciętnego Japończyka, który zachował uczciwość drogą atawizmu, ale jest cokolwiek oszołomiony ideami mglistymi, oderwany od swych tradycji i gnębiony budzącym się zmysłem krytycznym.

Pierwszych dni lutego sumienny Mikata poprosił mnie o tygodniowy urlop, chciał bowiem towarzyszyć jednemu ze swych przyjaciół, kandydatowi na posła, w wycieczce na prowincję.

— Walka wyborcza w Japonii!—zawołałem— jakżebym pragnął widzieć coś podobnego!

Nie odpowiedział mi na razie, lecz nazajutrz przyniósł zaproszenie od swego przyjaciela, a we dwa tygodnie później, wczesnym, mroźnym rankiem ciągnęli mnie moi kurumayowie przez ulice Tôkyô, budzącego się ze snu przy zwykłym stukaniu otwieranych okienic i rozsuwanych ścian parawanowych.

Mieliśmy się spotkać na dworcu Północnym. Cała ta dzielnica jest uszlachetniona olbrzymim, cienistym parkiem, słynnym ze swych świątyń i drzew wiśniowych, których kwiaty krótkotrwałe są najpiękniejszą ozdobą wiosny.

W powietrzu unosił się jeszcze oddech zimy, lecz śliwki już zaczynały kwitnąć; jeśli kwiaty wiśni, tchnące wdziękiem niewieścim, wysyłają swe delikatne wonie tylko na cześć słońca wiosennego, to śliwki podobne są do dumnych samurajów, których dusza rozkwita nawet pod śniegiem.

Mikata i jego przyjaciel p. Kumé oczekiwali mnie już na ohydny dworek, gdzie wiatry chłodne wpadały ze wszystkich stron, rozwiewając poły kimono.

Pociąg już był na stacyi; jego wygląd brudny i wzbudzający litość nasuwał pytanie, dlaczego wagony, lokomotywy, tramwaje, te nieodłączne przybory naszego życia cywilizowanego, nabierają tak opłakanej fizjonomii pod niebem japońskim? I dlaczego Japończycy budują sobie mieszkania bez żadnego względu na zimę? Może są odporniejsi od nas na kaprysy pogody? Jednak nosy czerwienieją im tak samo, jak nam.

Wskazano mi przedział pierwszej klasy; zdawało mi się, że jest zajęty i szukałem innego,

Mikata mnie powstrzymał, mówiąc: „To są nasi przyjaciele.”

Wagon urządony był na wzór salonu; w środku, ukryty pod matę, stał mały kociołek z wrzącą wodą i wydzielał odrobinę ciepła, dzięki czemu nie buchały z nas kłęby pary za każdym oddechem. Pięciu, czy sześciu podróżnych, których tam zastaaliśmy, nie obdarzyło nas ani jednym spojrzeniem. Ale gdy tylko pociąg ruszył, p. Kumé przedstawił nam każdego z nich po kolei. Podnieśli się, złożyli ukłon i usiedli, nie otworzywszy ust. Byli to wpływowi członkowie komitetu wyborców p. Kumé, po którego przybyli do Tókyô, aby tworzyć jego orszak honorowy.

Jeden z nich, przygarbiony staruszek, napychał tytoniem od czasu do czasu swą niklową fajeczkę, puszczał kilka kłębów dymu, poczem, wypróżniwszy ją krótkim uderzeniem, zwracał się ku oknu i patrzył mrugającymi oczyma na uciekający krajobraz. Reszta podróżnych pogrążona była w kontemplacji kociołka, wyjątek stanowił jakiś wesóły młokos, w kapeluszu okrągłym, z szyją okręconą białym szalikiem, uśmiechający się błogo do siebie. Na tle tych posępnych twarzy przyjemnie odbijały jego pełne policzki, cera tak prawie różowa, jak u Japonki i szczerzy rozbawiony wyraz twarzy. Wobec wszystkich tych ludzi, przyodzianych w hakamny i haori, p. Kumé, jego sekretarz Mikata i ja byliśmy przedstawicielami europejskiego najazdu i jego skutków.

P. Kumé dobrze zbudowany, tęszy od przeciętnego Japończyka, tchnie kulturą amerykańską. Jego popielaty w kratki garnitur, taka sama czapeczka i okrycie podróżne, złote pierścienie i brylanty zdają się pochodzić wprost z Chicago. Czoło ma bardzo wysokie, nos rozplaszczony, wargi grube odsłaniają przy łagodnym uśmiechu dwa rzędy małych, krótkich zębów. Osadzonych w bardzo



czerwonych działach. Podróżował po Anglii i Ameryce; szybko a zwięźle zaznajamia mnie ze swą pozycją społeczną i przekonaniem politycznem. Pociąg tymczasem biegnie przez równinę, którą, dzięki doskonałemu systemowi nawodnienia, Japończycy, chciwi każdego kawałka dobrej ziemi, pocięli na ogrody warzywne.

Wybór pana Kumé jest zapewniony. Miasto Mayebashi, dokąd właśnie jedziemy, żywi dla niego pewną niechęć, ale Numata, jego miejsce rodzinne, dokąd się udamy później, jest mu najzupełniej oddane. Żadna poważniejsza kandydatura nie stoi mu na przeszkodzie. Pogłoska, szerzona przez jego przyjaciół, że gotów jest w potrzebie wyłożyć trzydzieści tysięcy jenów, sprawiła, iż niejedna ambicya musiała pozostać w ukryciu. Istnieje jeden tylko przeciwnik, ale ten nie rozpocznie kampanii i wystąpiłby tylko w razie, gdyby p. Kumé zamknął kasę przed czasem—wtedy, oczywiście, skorzysta z kroków, czynionych przez rywala i rozpocznie działanie. Ufność zupełna, którą pokładają obywatele w uczciwości pana Kumé, zapewnia im wspaniałość bankietów wyborczych i usuwa obawę oszczędności niewłaściwej, któraby im mogła grozić ze strony kandydata mniej pewnego.

Lecz p. Kumé nie żałuje grosza. Wychował się w szkole Yankesów, budował kolej żelazną na Formozie i zna się na prawdziwej polityce. Japonia pod wpływem nowych traktatów rozpocznie wkrótce przedsiębiorstwo przemysłowe; jest to właśnie chwila, w której szanujący się inżynier powinien wejść do parlamentu.

Pan Kumé nie jest ani postępowcem, ani konserwatystą. Urodzony na północy, a więc naturalny wróg klanów południowych, które od lat trzydziestu chciwie dzierżą władzę, syn samuraj, walczącego przeciw cesarzowi w tych czasach, gdy cesarscy wołali: „Śmierć cudzoziemcom!” nie uwikłał się

w nieokreśloną ideologię i z całego ładunku teoryj zachodnich wybrał tylko dwie, czy trzy zasady amerykańskie, nie czyniące żadnego kłopotu przy zastosowaniu.

O ile mi się zdaje, Ameryka wywiera najsilniejszy wpływ na ducha japońskiego. Francya, Niemcy, nawet Anglia nie naznaczają specjalnem piętnem swych wychowawców japońskich. Nasza cywilizacya zbyt złożona, nasza atmosfera zbyt przesycona ideami sprzecznymi, utrudniają im zdobycie kierunku prostego, wyraźnego. Stara Europa ich zdumiewa, ogłusza, wstrząsa, kaleczy, psuje, ale częściej się zdarza, że jej sprzeczności zobojętniają się wzajemnie i prześlizgują się po wierzchu umysłów japońskich, nie wywołując w nich żadnych zbroczeń. Stany Zjednoczone nie potrzebują godzić przeżytków długiej przeszłości z potrzebami chwili bieżącej i groźbą jutra. Ich umarli nie przemawiają z za grobu, jak u nas; a jeżeli napływ różnych narodów tworzy tam fale różnobarwne, to jednak wszystkie płyną wspólnem łożyskiem do wspólnego oceanu; żadna się nie opóźnia, żadna nie wróci do źródła. Na przestrzeni od San Francisco do Nowego Yorku jednostka głosi i stwierdza ufność w siebie i w potęgę swobodnego zrzeszania się kapitałów. Nie utrzymuję wcale, ażeby Ameryka także nie odczuwała burz tajemnych i rozterek duchowych; lecz różnorodne rasy, które się tam mieszają pomiędzy sobą, zmuszone były przyswoić sobie hasło proste, jasne, mające znaczenie powszechne. Padają one z wysoka i zagłębiają się odrazu w umysł małego Japończyka, który prędko zaczyna rozumieć to społeczeństwo indywidualistyczne, brutalne, przemysłowe, bez tradycyi, bez arystokracji i hierarchii, tak biegunowo różne od starego społeczeństwa japońskiego; rozumie je potęgą kontrastu, podczas gdy nasz świat mniej od ojczystego odmienny, miotany trwogą i zwątpieniem, szarpany prądami sprze-

cznemi, nawiedzany przez boleśnie piękne widmo rewolucyi, niepokoi go, sprowadza na manowce i wreszcie pozostaje niepojętym do końca.

Zawsze można rozpoznać Japończyka, który chociażby sześć miesięcy spędził w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli nawet ogólny tryb życia obraża wrodzone mu pojęcia niepospolitej grzeczności, to jednak powraca ztamtąd z mocnym przekonaniem, że chcąc zostać obywatelem nowożytnym, należy jedynie obrać kierunek wręcz przeciwny uczuciom, wierzeniom i ideałom przodków. Ta metoda wydaje mu się prostą i niezawodną.

Nie śmiem twierdzić, ażeby pan Kumé ściśle się do niej stosował; owszem, pod pokładem amerykańskiego pokostu odgaduję w nim duszę jeszcze japońską, ale już uproszczoną, więcej zdecydowaną i nie poddającą się rozterkom, których ofiarą jest mój biedny Mikata.

P. Kumé oświadczył mi, iż nie jest zadowolony z urządzeń politycznych swego kraju, że są one budową wzniesioną naprędce, wśród ruin systemu feudalnego. Wolałby raczej obalić dawny porządek aż do podstaw, znieść całkowicie wszelkie ślady starych instytucji i zastąpić to wszystko trwałym gmachem z kamienia lub żelaza.

Ten radykalizm trącił swem pochodzeniem amerykańskim. Zarośnięta zielskiem starych przesądów, zasypana kamykami dziwacznych, miejscowych obyczajów, Japonia przedstawia piękne pole do umiejętnej uprawy!

Któż będzie tak nieroztropnym, ażeby się krępować jakąś etykietą polityczną wobec zadania tyle obiecującego! To też pan Kumé jest liberalnym, gdy liberalizm daje mu swobodę ruchów; postępowym, gdy postępowcy nie oglądają się na krępujące zabytki przeszłości; narodowcem, gdy nacjonalizm zapewnia obywatelom nienaruszalność monopolów. Przechyliłby się chętnie ku rzeczypospolitej

która mu się wydaje formą rządu najdogodniejszą dla ludzi czynu; wszakże monarchia konstytucyjna na wzór angielskiej najwięcej odpowiada jego marzeniom.

Zapytałem go, czy wtajemniczy w swe poglądy wyborców. Przebiegł wzrokiem po twarzach wszystkich naszych milczących towarzyszków i odpowiedział z uśmiechem.

— Jeszcze nie teraz. Nie byliby mnie zrozumieli.

I przypomniawszy sobie na widok swej gwardyi honorowej o obowiązkach grzeczności, otworzył worek podróżny, wyjął paczkę japońskich dzienników i zaczął je z powagą rozdawać swemu otoczeniu. Każdy z członków komitetu złożył niski, uroczysty ukłon i podniósłszy w milczeniu dziennik do czoła na znak podziękowania, pogrążył się w czytaniu. Jedyne mały staruszek w dalszym ciągu nakładał fajeczkę i mrugał ku migającym za oknami wagonu słupom telegraficznym. Skierowałem teraz swą uwagę na rozmawiającego z Mikatą sekretarza p. Kumé.

Dziwny to był młodzieniec: w obcisłym surducie, chudy, jakby wyglodzony, z wyrazem przykre-go olśnienia na twarzy. Zdawało się, że wyszedł z ciemnego ukrycia i że rysy ściągają mu się nerwowo na widok słońca.

Pan Igarashi nie opuszczał nigdy Japonii i znał tylko język ojczysty, lecz od najwcześniejszej młodości trawiony był ogniem polityki, dzieląc wiarę i nadzieję pokolenia współczesnego Restauracyi.

Otrzymując od pana Kumé 30 yenów miesięcznie, wydaje dwa razy więcej, nietyłe może przez poświęcenie dla człowieka, ile przez miłość dla agitacyi. Mieszkańcy miasta Mayebashi zachowali wspomnienie tego zawziętego polityka, gdy oddany interesom jednego z dawniejszych deputowanych,



dosiadłszy białego wierzchowca, przebiegał wioski i miasteczka, wymyślał wyborcom, nie przebierając w słowach. Ameryka i Francya przedstawiają mu się z oddalenia, jak ziemia obiecana, gdzie obywatele przemawiają i wotują od rana do wieczora. Naszych mówców zna dobrze; czytał nieraz wyjątki z ich mów w przekładzie japońskim. Lecz przede wszystkim zbiera dzienniki, które zamieszczają ich portrety i opisują zachowanie się na mównicy. Te ramiona wyciągnięte, głowa w tył odrzucona, postawa trybuna, dłoń spoczywająca na sercu, przesładują go nieustannie i prowadzą do zwierciadła. Szczery, gotowy do podżegania, zawsze zakłopotany, istna mucha brzęcząca dokoła rydwanu wyborczego, hojny w rozdawaniu swej osoby i swego mienia, ten dzielny, nowonawrócony wyznawca, z mózgiem rozpalonym odblaskami wielkich ognisk europejskich, tuła się po świecie polityki z duszą dziecka a postawą poety. Skromność nie pozwala mu sięgać po rolę główną; wystarcza mu to szczęście, że może rzucać swe pieniądze i swe słowa w tę formę, z której wyjdzie Deputowany!

Około jedenastej dwóch służących p. Kumę weszło do wagonu: jeden z twarzą długą i kościstą, barwy oliwkowej, ubrany był w strój cyklisty; drugi miał na sobie szary garnitur i miękki kapelusz. Niesli podróżne zapasy w pięknych koszykach, z wyglądem europejskim. Były tam w osobnych przedziałach noże, widelce, łyżki, talerze, kubki i t. d.

Wydobyto naprzód śniadanie dla Japończyków i każdy z członków komitetu otrzymał pudełko z białego drzewa, zawierające tuzin ryżowych kielbasek, owiniętych w morską trawę. Zdołali się załatwić z całym tuzinem, podczas gdy lokaje przyrządzali dla nas kanapki i otwierali konserwy. Gdy przyszła kolej na butelki, nikt nie odmówił kubka bordeaux, niektórzy przyjęli nawet kieliszek koniaku, lecz natychmiast po wychyleniu go, twarze

zabarwiły się na kolor cegły. P. Kumé uprzedził mnie, że nadal nie mogę się już spodziewać podobnego śniadania i z góry przeproszał za miejscowe przysmaki, które mi będą częstowali jego przyjaciele. Odpowiedziałem, że lubię kuchnię japońską, na co odrzekł, iż woli europejską.

Zbliżaliśmy się do Mayebashi. Nagle Mikata spytał mnie czy mam paszport. O niedolo! Zapomniałem wziąć go ze sobą. Wiadomość ta wywołała wśród mych towarzyszy całą kaskadę gardłowych hi! hi! Spojrzeli po sobie, pokręcili głowami i zapadli w ciężkie zamyślenie. Jeden przecież przerwał milczenie i długo coś gadał.

— Co on mówił? — zwróciłem się do Mikaty.

— Powiedział, że to jest sprawa poważna.

I ja wiedziałem, że policja japońska nie żartuje w podobnych razach. Zmuszą mnie niechybnie do odwrotu. Zegnajcie wybory! Tymczasem inny wyborca zaczął mówić i dowodził coś bardzo długo.

— I cóż?

— Powiedział, że to jest sprawa bardzo poważna—odparł Mikata.

Zrozumiałem, że narada przeciągnie się w nieskończoność, i że Japończycy, wierni właściwości swego umysłu, raczej zaczną rozwijać i przewidywać wszelkie możliwe następstwa faktu, niż obmyślać środki zaradcze. Zaproponowałem depeszę; lecz p. Kumé oświadczył po namyśle, że trzeba zawiadomić komisarza policji i wysłać do Tokyô po drogocenny dokument jednego z „sôshi”.

Nagle pociąg stanął. Szyby zatrzęsły się od okrzyków powitania. Na peronie ujrzelśmy delegację, wysłaną przez miasto Mayebashi na spotkanie kandydata. Na szczęście energiczne wrzaski trwały niedługo.

Umieściliśmy się w trzydziestu oczekujących już na nas wózkach, i nasi kurumayowie pogalopo-

wali przez miasto. Procesya ta budziła ogólne zainteresowanie: służące biegły do drzwi, z głębi sklepów wychylali się ludzie i pokazywali sobie palcem przyszłego deputowanego. Nie zdołałem przejść niespostrzeżony—okrzykiem *tôjin! tôjin!* stwierdzano we mnie barbarzyńcę, jednak zaciekawienie, które moja osoba budziła, wyrażało się wcale przyzwoicie, pominąwszy ubliżający wykrzyknik *baka* (głupiec), rzucony mi przez jakiegoś malca. Przebyliśmy w ten sposób całe miasto, wreszcie nasze powoziki zatrzymały się nad wyschlęm łożyskiem potoku, przed ogrodzeniem, z poza którego zieleniały kępy drzew śliwkowych, okrytych kwiatem; wszędzie powiewały flagi.

P. Kumé szedł na czele orszaku, witany głośnemi wiwatami i wystrzałami z moździerzy; mijając skromną gospodę, gdzie gejsze w sukniach z krepy różnobarwnej roznosiły herbatę, ciastka i saké (lekką wódkę z ryżu), skierował się ku wielkiemu budynkowi z ciosanych belek, który miasto odnajmuje organizatorom wszelkich uroczystości.

Tam, w sali pierwszego i jedyne go piętra, usadowiliśmy się na piętach przed „hibashi” (rodzaj przenośnego piecyka) i patrzyliśmy, jak znaczniejsi obywatele miasta szli jeden po drugim powitać p. Kumé. Każdy z nich podchodził, klękał, i pochylając się naprzód, dotykał czołem tatami. P. Kumé, ubrany w długi surdut, czynił to samo; dwie głowy zbliżały się ku sobie, usta mruczały chwilami kilka szybkich wyrazów i słychać było tylko świszczące oddechy, zmieszane z jakimś modlitewnym szeptem. Najczęściej wyborca milczał, cofał się na podobieństwo raka i odchodził, aby uklęknąć między towarzyszami, którzy, zebrani około hibashi, wypróżniali swe fajeczki, uderzając je o brzeg piecyka. P. Kumé wywiązywał się doskonale z całego ceremoniału, lecz jego strój europejski był mocno niestosowny do uniżonych form japońskiej grzeczności.

Po skończonem przyjęciu zeszliśmy na dół. Na małym kopcu, ocienionym sosnami, postawiono stół, który miał służyć za mównicę. Gust japoński umieścił na nim brązową wazę z delikatną i smukłą gałązką kwitnącej śliwki. Prezes komitetu podziękował p. Kumé za łaskawe przybycie; p. Kumé złożył podziękowanie prezesowi i zgromadzeniu za serdeczne przyjęcie. Podczas jego przemowy, splecione w uścisku trzy gejsze, z twarzami upudrowanemi, z brwiami i wargami malowanemi, stojąc naprzeciw na innym kopcu, śmiały się z poza śliwkowych gałęzi, pochylających ku nim swe wonne, śnieżne kwiaty. Tłum, cisnący się pomiędzy dwoma kopcami, słuchał mówcy i ostatnie jego słowa przyjął skąpemi oklaskami, poczem wszyscy się rozeszli.

Kandydat, w otoczeniu głównych wyborców, okrążył całą przestrzeń ogrodzoną i przyglądał się smutnemu krajobrazowi, drzewom, pozbawionym jeszcze liści, szarzejącym w oddali drogom i wyschłej rzece. Japończycy wrócili do swego saké. Gejsze biegały dokoła kulejącym kroczeniem. Niektórzy zatrzymywali je po drodze, obdarzając przełotnym uściskiem.

Te piękności partykularza nie odznaczały się szczególnym wdziękiem, lecz ich kimono w rozgałęzione deseń i bogate obi, tworzyły pomiędzy drzewami ładne, ruchome plamy. W chwili, gdyśmy zamierzali wychodzić, zatrzymano nas, abyśmy się przyjrżeli ich tańcowi. Przybiegły i ustawiły się w dwa szeregi, niższe przed wyższymi.

Umieszczone po bokach lutnistki zaczęły potrzącać potrójne struny swych instrumentów, spoczywających na kolanach. Wachlarze tancerek w jednym mgnieniu oka roztoczyły swe pstre malowania, zgrabne trzewiczki już się zaczęły zbliżać ku nam, gdy jakiś obywatel, któremu saké zakręciło w głowie i osłabiło nogi, zapragnąwszy wyjść z sze-



regu patrzących, stracił równowagę rozciągnął się jak długi. Trzech towarzyszków zjednoczyło swe siły, aby go podnieść i wyprowadzić wśród wybuchów ogólnego śmiechu.

— Czy to wyborca? — zapytałem Mikatę.

— O nie!

— Jakiem więc prawem upija się wódką p. Kumé.

— Alboż pan sądzi, że chodzi tylko o względy wyborców? Każdy z nich ma przyjaciół, doradców, protegowanych i starych służących, wszystko to trzeba ugaszczać, jeżeli się pragnie otrzymać wystarczającą ilość głosów.

Gejsze z trudnością odzyskały powagę i rozpoczęły taniec. Drobnym ich łamańcom towarzyszyły piskliwe okrzyki; przedramię i palce u rąk poruszały się rytmicznie. Tancerki wykonywały ruchy trochę niezdecydowane, nie odznaczające się ani kokieteryą, ani zmysłowością—okręcały się na piętach, jak uczniowie w klasie podczas ćwiczeń gimnastycznych.

Z całej mimiki, która może miała jakie ukryte znaczenie, wyraźnym było jedynie rozkładanie wachlarzy, które się zbliżały i oddalały, tworząc różne figury. Zresztą pod niebem szarem, na tle krajobrazu zimowego, cały ten balet wydał mi się niewdzięcznym i nieudolnym; lecz widzowie japońscy okazali się pobłażliwsiymi i nie zniechęceni brakiem taktu i zamieszaniem w układzie figur, nie żalowali tancerkom oklasków, któremi zaledwie raczyli obdarzyć mówców.

Nasi kurumayowie zawieźli nas galopem do najlepszego hotelu, gdzie p. Kumé przygotował przyjęcie dla swych gości. Zawsze mnie zachwycały japońskie hotele: lubię ich przedpokój, stanowiący razem kuchnię i sieni, gdzie się zdejmuje obuwie przed całym szeregiem gejsz, podczas gdy gospodarz, z pochyloną głową i rozłożonemi rękami,

zbliża się z uśmiechem, a służba przypadłszy do ziemi, wita wchodzących uprzejmym głosem. Lubię niewygodne, lśniące schody, ogród zdobny w latarnie, podobne do olbrzymich grzybów, wyrosłych wśród karłowatych drzew i sztucznych skał, biegnące dokoła galerye, skrzypiącą posadzkę i odzywające się zewsząd głosy służących, gdy przywoływani klaskaniem w ręce, odpowiadają: *hé hé*—co się przeciąga w hai i dźwięczy skargą, jak beczenie kozy. Zrobiliśmy niemało zakrętów, zanim po stromych schodach wprowadzono nas do odosobnionego pokoju. Obszerny był i jasny, umeblowany zbytkownie w guście nowoczesnym, jak na salon deputowanego przystało. Dwa amerykańskie fotele na biegunach kołysały się przy ścianie, wołokowy, w czerwone kwiaty dywan pokrywał posadzkę, na stoliku ze zdobnej laki cygara hawańskie, owinięte w srebrny papier, połyskiwały w pudełku. Duży parawan, malowany w żółwie i bociany witał nas dobrą wróżbą w imieniu starej Japonii, a w głębi, przy *toko*, tej kolumnie wyciosanej z sękowatego pnia, co mi przypomina zawsze krzepkie drzewo oliwne, około którego boski Odyseusz zbudował swą ślubną komnatę i co będąc podporą domu, przedstawia jego ognisko, na płowych matkach alkowy stały na wzniesieniu kilkocalowym trzy karłowate, zgrzybiałe drzewka, wyciągając swe dziwnie pokrecone gałęzie—i, o cudo! jedno z nich, śliwkowe, pokryte było drobniuteńkimi kwiatami. Tak, pokój niewątpliwie był dobrze umeblowany. Umieściliśmy się przed tą alkową, na kolanach, lub ze skrzyżowanymi nogami na jedwabnych poduszkach—większe i piękniejsze poduszki oznaczały miejsce przeznaczone dla p. Kumé.

Rozpoczęło się przyjęcie, podobne do tego, jakie już widziałem, z tą różnicą, że goście wypijali po filiżance herbaty i zapalali cygaro.

Zauważyłem, iż niedaleko progu klęczał jakiś elegancki i wysmukły młodzieniec; jego piękna ręka niedbale igrała z białym, ze złotą obwódką wachlarzem, jakiego się zwykle używa przy wielkich ceremoniach — czoło miał trochę ścięte, rysy delikatne, spojrzenie naprzemian ujmujące lub wyniosłe, a wargi niepokojąco ruchliwe. Powiedziano mi, że się nazywa Nojō i jest szefem oddziału sōshi. Potomek samurajów, był student i warchoł polityczny, znany z drażliwego usposobienia i szybkości, z jaką się brał do puginału, zostawał obecnie na żołdzie kandydata i każdym poruszeniem zdradzał prosty, a bohaterski wdzięk swych przodków. Śmiały jego profil przypominał mi twarze dawnych wojowników, ilustrujące powieści Bakina, japońskiego Dumas'a.

Nagle zerwał się z kolan i znikł z pokoju. Po chwili na schodach usłyszeliśmy wielki hałas i szmer głosów ostrych, a potem jakby staczanie się jakiegoś ciała. Wkrótce znowu zapanowała cisza. Nojō wrócił z miną zupełnie spokojną. Zdawało się, że nikt nie zauważył jego nieobecności, ani tych krzyków niezwykłych; później jednak dowiedziałem się, że Nojō odparł wtedy oddział sōshi kontrkandydata, który ich utrzymywał jedynie dlatego, aby i p. Kumé narazić na podobny wydatek.

Pan Kumé jednak w miarę, jak wizyty następowały jedne po drugich, zaczął okazywać pewne znużenie, połączone z wyraźnym zawodem. Mikata wytłómaczył mi przyczynę. Pan Kumé, przebywając długo poza granicami ojczyzny, łudził się, że wyborcy będą go zapytywali o program polityczny i zasady. Dużo czasu stracił na przewidywaniu ich pytań i obmyślaniu swych odpowiedzi. Tymczasem wyborcy nie pytali go o nic, spokojnie palili cygara, nie zdradzając najmniejszej ochoty do poznania jego myśli.

Po upływie godziny powstał z miejsca, ażeby

się udać na miasto w celu oddania odebranych wizyt. Zbliżyło się dwóch lokajów, z których jeden niósł płaszcz, a drugi włożył mu go na ramiona; jeden z lokajów wciągnął rękawiczkę na lewą rękę swego pana, a drugi na prawą; wreszcie pierwszy okrył jego głowę kapeluszem, a drugi wpiął do krawata dużą perłę oprawioną w złoto. I ten Japończyk, chcący uchodzić za rewolucjonistę, radykalny wróg książąt i tradycji, w tem środowisku przesiąkniętem cywilizacją starożytną wobec swych klientów i podwładnych, stawał się znowu jakimś księciem feudalnym zamkniętym w sobie, wydającym rozkazy, przyjmowane w milczeniu. Przypomniał mi się shôgun Yemitsu, którego widziałem niedawno w Tokyô w teatrze Meijiza, siedzącego nieruchomo na wysokich poduszkach, w otoczeniu sztywnych daimiów i dworzan milczących. Oczekiwałem powrotu p. Kumé, w towarzystwie Mikaty i kilku innych Japończyków, poznanych dzisiaj rano. Młody Takéuchi z twarzą pustą i wesołą, która mi się tak podobała przy pierwszej znajomości, przyprowadził swego brata Takéuchi starszego, byłego posła do parlamentu; dotychczasowa karyera polityczna tego człowieka była bardzo krótka; rozwiązanie izby zmusiło go do wyrzeczenia się dążeń ambitnych. Ten zwolennik parlamentaryzmu, wychudzony, w obcisłych spodniach, w granatowym kaftanie, w krawacie włożonym na szyję pod kołnierz celluloidowy, przyglądał mi się bacznie szybko biegającymi oczami; oczy te załamane, złośliwe, zaledwie wyglądające z pod napuchniętych powiek, nabrzmiąłych policzków, koloru ziemistego przypominały małe kałuże wody w koleinach wozów. Ja tymczasem rachowałem grube i siwawe jego włosy; szorstki zarost dochodził do uszu, spuszczać się poniżej podbródka i tworząc rodzaj naszyjnika najeżonego, jakie miewają czasem posągi bożków chińskich. Usta otoczone tą dziwną ozdobą, otwierały się w szerokim uśmiechu.



Zaczęliśmy rozmowę powoli, robiąc długie pauzy pomiędzy jedną a drugą filiżanką herbaty lub dwoma cygarami.

— Jakie wrażenie wywarł na panu chwilowy pobyt w Izbie poselskiej?

Odpowiedział bez wahania:

— Wrażenie, iż wszyscy posłowie są zepsuci przez urzędy, godności albo pieniądze.

Po chwili dodał:

— Pomiędzy naszymi politykami nie ma ani jednego prawdziwego męża stanu.

— Jednak — wtrąciłem — hrabia Okuma...

— Okuma — przerwał Takéuchi — Okuma!...

Nalał sobie trochę herbaty gorącej i ciągnął dalej sentencyonalnie:

— Kocie oko mieni się barwą.

Rzuciłem mu imię markiza Itô.

— Hm! ten — wyrzekł wreszcie — jest nam w dzisiejszych czasach niezbędnie potrzebnym. Posiada jednak więcej złośliwości, niż charakteru. Czy byłeś pan w świątyniach Nikkô? Nie? Zwiedzając je, zobaczysz pan tam smoka dziwnego; ma on dwoje oczu, jak wszyscy ludzie, ale patrzy nieni jednocześnie na wszystkie strony świata. Itô jest to piękna dziewczyna, która widzi, co się dzieje dookoła niej we wszystkich kierunkach hoppô—bijin. Złapać go nie łatwo. Rozumiesz pan?

W kilka chwil później zapytałem go, jak się zapatruje na cywilizację europejską. W oczach jego dostrzegłem błysk ironii; długo kiwał głową, wreszcie podniósł ją i odparł:

— Hm! Nie przeczę, że moglibyśmy coś od niej wziąć, ale tylko trochę, bardzo niewiele; istotnie, nie jesteśmy jeszcze jej godni.

Ale ironia zdradzająca się w spojrzeniu i uśmiechu, chytróść odmalowana na pomarszczonej twarzy utonęły w wyrazie uroczystej błogości, która się rozlała na całym obliczu, gdy wymieniłem imię Cesarza.

— Nasz cesarz — rzekł — jest mądrością uosobioną.

— A książęta?

O, Takéuchi starszy książąt tych nie lubi wcale. Większość Japończyków, których poznałem, podziela jego zdanie, lud ich ignoruje zupełnie. Poszanowanie, jakie zawsze obudza w narodzie japońskim cesarz, koncentruje się tylko w jego osobie; żadna cząstka względów nie spływa na członków jego rodziny, półbogów, pochodzących z tego samego pnia. Pierwszym wynikiem Restauracji było odosobnienie cesarza, usunięcie wszystkich pośredników, tworzących dawniej żywe stopnie, po których uwielbienie poddanych wznosiło się do samego tronu. Niebaczny topór siał zniszczenie wśród tej hierarchii dziedzicznej, tworząc olbrzymie przedmury z tych szeregów straży przedniej.

*Z lasu zrabowanego pozostał dąb jeden.*

A dąb ten, dokoła którego wije się święty łańcuch Shinto, pozostaje zawsze tajemniczym i świętym. Któż jednak może zapewnić, że wkrótce nie zrobią wyłomu w wątlęm ogrodzeniu, którem go otoczyli ludzie, przerażeni dokonaniem przez siebie dziełem?

Kandydat wrócił o zachodzie słońca. Ukłakł majestatycznie przy toko i zaraz się rozpoczęły nowe wizyty. Dla mnie zatrzymano pokój w innym hotelu, a ponieważ miałem tam zjeść obiad w towarzystwie Mikaty, Takéuchi młodego i jednego z wybitniejszych obywateli Mayebashi, pożegnaliśmy więc wszyscy p. Kumé i wyszliśmy na miasto.

Wieczór był zimny.

Hotel, do którego nas zawieźli kurumayowie, był mniejszy i miłszy na oko; w pokojach zdumiewająco pustych nic nie zdradzało pobytu Europejczyków, chyba tylko lampy naftowe. Służąca pucłowata, świeższa niż pączek róży, postawiła przed każdym z nas taburet z laki. Obiad się rozpoczął

tradycyjną wymianą czarek saké, wybornego saké, które się podaje na gorąco w dzbaneczkach niedużych.

Takéuchi młody zapytał.

— Ile czarek możesz pan wypić?

— Dalibóg, nigdy nie rachowałem.

— Ja — ciągnął — mogę dojść do pięćdziesięciu.

— Ładna cyfra!

Służąca przerwała naszą rozmowę, wnosząc na spodkach rybę, marynowane jarzyny, jajecznicę na twardo i apetyczną zupę w filiżance z laki. Wysoka lampa z kloszem papierowym rzuciła łagodne, mleczone światło; przykucnęliśmy przed niskimi stolami z drzewa białego i zabraliśmy się do jajecznicy, jarzyn i ryby.

Wśród ożywionej rozmowy wychyliliśmy sporo czarek saké; dzbanki następowały po sobie szybko.

Podczas gdy wyrażałem Mikacie zadowolenie ze spędzonego wieczoru, goście moi przyglądali mi się badawczo i rozprawiali ze sobą bardzo żywo; słyszałem ciągle: *sô! sô deska! sô des!* Są to wykrzykniki japońskie, wyrażające przedewszystkiem uznanie. Japończycy podkreślają niemi swą rozmowę, wstawiając je między słowa interlokutora. Wreszcie szlachcic z Mayebashi zwrócił się ku Mikacie i zaczął mu coś przekładać; Mikata rozumiał całą naiwność swego współrodaka, niemniej dumnym był z jego słów.

Zwrócił się do mnie:

— Ci panowie prosili mnie, żebym powiedział panu, że pan przypomina Japończyka.

Przypominam Japończyka! Niech i tak będzie! Podobieństwo to, z którego sobie dokładnie sprawy nie, zdawałem, nakładało na mnie pewne obowiązki. Nie uchybiłem im wcale. Pałeczki moje żwawo rozdrabniały na małe cząstki resztki ryby; z zapalem wchłaniałem zupę, która mi się wy-

dała bardzo pożywną i z czarką saké w ręku gotów byłem przyznać słusność całemu sztabowi p. Kumé, nie wyłączając i ślicznego Nojô. Służąca, klęcząc przy małym cebrzyku z laki czarnej, napełniała nasze miseczki ryżem białym, gotowanym na wodzie. Od czasu do czasu Takéuchi rzucał jej jeden z tych tłustych konceptów, w rodzaju Rabelais'go, których Japończycy są zawsze żądni i które oblewały płomieniem twarz młodej dziewczyny, zapalając błyski w jej oczach.

Wreszcie towarzysze moi pożegnali mnie, udając się znowu do p. Kumé; służąca szybko sprzątnęła stoły, przy których ucztowaliśmy przed chwilą; rozciągnięto na tatami materac i dwa *futon'y*—ciężkie jedwabne kapy na ciepłej podszewce, zastępujące kołdrę i prześcieradło—a pod głowę dano mi maleńką poduszkę kauczukową, nie większą od mufki. Młoda dziewczyna starannie zasunęła shôji z szybami papierowymi, następnie przysiadła koło posłania z rękami zwieszonemi, spuszczać oczy. Wśliznąłem się między *futon'y*. Ona mnie otuliła troskliwie, poprawiła poduszkę, przyklękła u mego wezglowia, dotknęła czołem ziemi, zgasiła lampę, zamknęła drzwi i zniknęła. Słyszałem dokoła siebie szum zamykanych shôji, kroki stłumione na matach, wybuchy śmiechu, krzyki, klaskania w ręce, trzeszczące deski, stuk oddalających się lub zbliżających po żwirze ogrodu chodaków, huk podobny do grzmotu, który się rozlega zawsze dokoła domów japońskich, gdy zamykają duże, drewniane okienice.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Dzień drugi: podróże i uczyty.

Dzisiejszej nocy Nojô trzykrotnie odparł napady sôshi, należących do obozu przeciwnika. Mi-



kato zwiastował nam tę nowinę rano, na werandzie, gdy kończyliśmy toaletę.

W kilka minut później, wchodząc do salonu p. Kumé, doznałem wrażenia niezwykłego komizmu. Wszyscy posłowie i wyborcy siedzieli na tych samych miejscach i w tej samej pozycji, co i wczoraj. Poduszki ich się nie zbliżyły, figury się nie pochyliły. Mówił Takéuchi Starszy, a głos jego zdawał się wychodzić z jakiejś przepaścistej głębi, z trudem sobie torując przejście przez gardło. Takéuchi Młodszy miał oczy podbite, a kokarda chustki zawiązanej na szyi, opisała, podobnie jak słońce, pół obrotu, dosięgając połowy karku. Wybitniejsi obywatele miasta pochyłali głowy z uszanowaniem, wzmocnionem bezsennością, a p. Kumé, jak wielki Budda, przymykał powieki w łagodnem świetle poranku. Tylko jeden Nojō, stojąc przy wpółotwartem shōji, zawsze świeży i zachwycający, uderzał lekkim wachlarzem po lewej ręce.

— Czyż tu się nikt nie kładł? — zapytałem Mikata.

— Ależ tak! tylko oni wszyscy wypili zbyt dużo saké i dlatego zrana są pomęczeni. Musiano nawet wynieść ztąd ludzi starych.

Na dole Igarashi, niezrównany sekretarz, naglił do wyjazdu.

Wsiadliśmy wreszcie do lichego tramwaju i opuściliśmy Mayebashi.

Tor kolejowy prowadził wzdłuż urwistego wybrzeża potoku, a następnie przerzynał równinę zasadzoną drzewami morwowemi i urozmaiconą nowemi fermami. Chłodne powietrze, widok błyszczących kamieni i malowniczych głazów, rozsianych na dnie potoku, rozproszyły senność mych towarzyszy. Przebyliśmy długi mostek i wysiedliśmy przy bramie miasteczka, przy której stało ze czterdzieści kurum.

Po chwili weszliśmy na dziedziniec herbarciarni.

P. Kumé z rozłożonymi ramionami usiadł na progu, rozstawił nogi szeroko i oparł ręce na kolanach; orszak jego stanął za nim w pewnej odległości. W tej chwili więcej, niż zwykle, przypomniał mi Shóguna Méiji-za. Po za nim widać było szereg otwartych pokojów, ściany ruchome, podobne do teatralnych, przedstawiały pokręcone sosny i dzikie gęsi. Na innych bujnych chińskich zgłoskami wypisane były sentencje dla większości niezrozumiałe; pismo jednak odznaczało się tak wielką giętkością i starannością, że mogło bawić oczy podobnie jak malowidło.

O kilka kroków dalej, w małej niszy, niewiele wyższej od pudełka do szuwaksu, siedziały cztery lisy porcelanowe, ze stulonemi przednimi łapkami, wsuwając ostre pyszczki między papierowe wstęgi, zawieszane nad ich świątynią. Wieśniacy czczą i boją się tego zwierzęcia, obdarzając go zdolnością do sztuk czarodziejskich i różnorodnych przeobrażeń. Nowożytny poseł spojrział na nie, potem na mnie i parsknął śmiechem.

Wreszcie kurumy nasze uszykowały się w porządku jedna za drugą. P. Kumé wyciągnął nogi, a lokaje wciągnęli mu buty podszyte futrem; wtedy zajął miejsce w swym powozie, a my poszliśmy za jego przykładem. Wkrótce czterdzieści naszych kurum wyruszyło pod górę. Przebyliśmy miasteczko zbudowane nad urwiskiem, kierując się później w dół stromą ścieżką. Nasi kurumayowie biedz muszą przeszło cztery godziny dużym krokiem gimnastyków, lekko przyśpieszonym lub zwalnianym, wśród krzyków ochrypłych, zatrzymując się najwyżej raz jeden dla odpoczynku. Dolina potoku, kiedy prowadziła nasza droga, zwązła się coraz więcej, zagłębiając się między wzgórzami. Życie ludzkie gnieździ się tu wszędzie. Wioski i sioła czepiają się zakrętów góry, kryją się w cieniu sosen, tułają się do wybrzeży urwistych, ścielają się na polach.

Domki są małe i lichy; duże głazy podtrzymują dachy.

Prostokąty, romby i arabeski uprawnych gruntów tworzą desenie na zboczu gór, a wysokie drzewa śmiało strzelają ku niebu; zuchwałe gałęzie zdają się grozić księżycowi, rzucając ciemne fantastyczne rysunki na zimnym, przejrzystym jedwabiu nieba. W głębi doliny wyschły potok roztacza swą jasną płaszczyznę, usianą żwirem. Tu i owdzie spróchniałe portyki, zwane *torii*, prowadzą do jakiejś małej świątyni. W cieniu starych pni figurki lisów błyszczą w drewnianej niszy. Nigdzie nie słyszałem dźwięków kowadła i nie widziałem kowali; spotykałem tylko rzeźbiarzy religijnych, którzy z obnażonymi nogami i ramionami siedząc na progu swych szop, z lubością wyrzynali w drzewie lub kamieniu uśmiech bogini Kwannon, pełnej miłosierdzia dla biednych ludzi.

Pochód nasz zatrzymywał się kilkakrotnie. Jakiś ziemianin z okolicy, pragnący powitać p. Kumé, oczekiwał nań przy rozstajnych drogach. Pan Kumé wysiadł z kurumy. Ziemianin zbliżając się ku niemu, zatrzymał się w odległości pięciu, czy sześciu kroków, zlekka dotknął rękami swych kolan i złożył trzy głębokie ukłony. P. Kumé uczynił to samo, przytem obaj wymawiali równocześnie jakieś wyrazy rytuału, wreszcie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Jeżeli przyjaciel był człowiekiem mniej wybitnym, p. Kumé nie wysiadał z kurumy i tylko lekko pochylał głowę. W ten sposób przybyliśmy do pierwszej stacyi. Przed nami rozciągał się plac półkolisty, zamknięty górami; wchodząc na most prowadzący przez potok, zobaczyliśmy ludzi potrząsających papierowemi różnobarwnemi flagami, zawieszonemi na długich bambusach. Flagi tak podobne były do długich afiszów, ozdabiających zwykle wejścia teatrów japońskich, że w pierwszej chwili sądziłem, że mamy do czynienia z trupą wędro-



wnych aktorów. Omyliłem się: flagi te miały na celu uczczenie p. Kumé, głosiły jego zwycięstwo, roznosiły zdania wyjęte z jego proklamacyi, wypisane czarnemi lub złocistemi zgłoskami. Na największej wyczytałem napis: „Co mam krwi w sercu należy do ojczyzny.” Flagi te szły przed nami do wioski i utworzyły rodzaj tryumfalnego parkanu dokoła oberży, której walący się dach i popękane shôji udzieliły nam chwilowej gościnności.

Igarashi głośno manifestował wielką radość:

— Jak wspaniałego przyjęcia doznał p. Kumé!—wołał.

Z większą słusznością możnaby powiedzieć:

— Jak wspaniałe przyjęcie urządził sobie p. Kumé!

Wioska nie odczuwała żadnego wzruszenia; biedota, przechodząc mimo tych reklam płonących, rozumiała doskonale, że one się nie do niej zwracają.

Wyruszyliśmy w dalszą drogę; na horyzoncie ukazały się chmury śniegowe; droga była coraz gorsza; posuwaliśmy się naprzód wśród wstrząśnień gwałtownych, zawsze poprzedzani przez nasze sztandary, które rozrywały się co chwila o gałęzie drzew, albo wikłały z drutami telegraficznymi.

Około godziny 2-iej po południu przybyliśmy do Numata. Rodzinne miasto p. Kumé leżało w górach, kryjąc się prawie zupełnie wśród ciemnych sosen i złotawo-czerwonych liści. Tłum ludu tłoczył się przed hotelem znajdującym się na jednej z większych ulic Numaty; sto petard zwiastowało ludowi nasze przybycie. Echo wąwozów sygnały te powtórzyło wielokrotnie.

Wkrótce ujrzelśmy kandydata i jego wyborców, witających siebie w milczeniu na tatami pięknego pokoju, przystrojonego bocianami, żółwiami i poezjami chińskimi; wkleśły drewniany sufit zdobyły malowidła.

P. Kumé wracał do Numata po sześćoletniej



nieobecności; pierwszym jego czynem musiało być odwiedzenie grobu ojca. Przed udaniem się na cmentarz zdjął z siebie ubranie europejskie, i zastąpił je przez hakamę i haori. Nogi jego, uwolnione od butów, chętnie przywdziewały gety. W kostymie narodowym wydał mi się mniej oddalonym od swych spółobywateli, większym i szlachetniejszym. Jakiś wdzięk nieokreślony spływał z szerokich, bogatych sukien; ubrany według starej mody japońskiej, przypominał Odysseusza, kiedy mu Pallas-Athene przywróciła zdumiewający blask młodości.

Wyruszyliśmy pieszo. P. Kumé szedł naprzód środkiem drogi, a my postępowaliśmy o kilka kroków za nim; Igarashi został w hotelu, ażeby doglądać przygotowań do bankietu politycznego.

Publiczność, przyglądająca się nam z głębi sklepów, wiedziała dokąd idziemy.

Przy wrotach cmentarza rysunki hieratyczne, wyrzeźbione w granicie i zdradzające wpływ sztuki induskiej, oznaczały próg ziemi poświęconej cieniem zmarłych buddystów. Groby tłoczyły się jedne na drugie; nad nimi górowały latarnie i głązy powycinane dziwaczne; wśród kryptomeryi wznosiło się bronzowe popiersie Buddy, wychylające się z lotosu; oczy w kształcie migdała i uśmiech nieokreślony wielkiego Sakja Mouni zdawały się wznosić ponad cieniami ludzkiemi.

Wdrapaliśmy się na pagórek ogrodzony palisadą. Około drzewa, uświęconego sznurem słomianym, wznosiły się trzy groby niejednakowej wysokości; wskazano nam kamień, osłonięty deskami i poświęcony pamięci ojca p. Kumé; kamień ten wzniesli jego dawni uczniowie i wyryli na nim historję jego życia i swe uznanie głębokie. P. Kumé spoglądał na ten kamień z uśmiechem.

Jego ojciec, samuraj pokonany przez Restaurację usunął się do miasta rodzinnego, gdzie zało-

żył szkołę. W owym czasie profesorowie nie byli jeszcze urzędnikami źle płatnymi i zdanymi na łaskę lub niełaskę ministra, ale żyli niezależnie, otoczeni szacunkiem swych uczniów i ich rodzin. Każdy pamiętał, że ręka ich zanim ujęła pendzel, walczyła szablą.

Później p. Kumé wskazał mi mogiły swych przodków, dziadka, babki, pradziada.

Mały bonz, należący do chóru buddyjskiego, podszedł ku nam z wiadrem wody, którą wylał na kamienie grobowe w celu ich oczyszczenia; wtedy lokaj wyjął z kieszeni wonne kadzidła i zapalił je przed mogiłami. P. Kumé pochylił głowę, ale otoczenie jego zdawało się wcale nie interesować temi obrządkami żałobnymi, śmiało się, rozmawiało, paliło cygara.

Za każdym razem, gdy się składa hołd pamięci zmarłych proroków zwyczaj nakazuje złożyć na ręce bonza jakąś jałmużnę. Zeszliśmy ku kościołowi, znajdującemu się w głębi cmentarza. Był to skromny domek w stylu japońskim, zarazem świątynia i mieszkanie bonzów.

Jeden z nich, stary, żółty, wychudzony, w brunatnem kimono, rozsunał lekko shôji i ukląkł na galeryi. P. Kumé uczynił to samo, pochylając czoło ku ziemi; głowa jego dotknęła lekko głowy bonza i pozostała tak czas niejakiś.

Świątynia i cmentarz leżą na tarasie, z którego się odkrywa widok rozległy na dolinę, łożysko potoku i zamykające horyzont góry. Cały krajobraz wionął jakimś smutkiem dziwnym, spotęgowanym jeszcze szarą barwą nieba; wiatr północny smagał prosto w oczy.

Wróciliśmy do miasta inną drogą, wiodącą przez plac błotnisty, na którym wznosił się niegdyś zamek feudalny, dzisiaj zburzony, zrównany z ziemią.

Góry tonęły w cieniach wieczornych, kiedy stanęliśmy w hotelu. Jakiś kurunaya wyprzągł wóz przed samemi drzwiami; w przedpokoju zakurzony

sôshi podał mi paszport. Widok tego dokumentu, stanowiącego tarczę wśród niebezpieczeństw, wprowadził nas w dobry humor; zasiedliśmy zaraz do stołu, ponieważ przezorność nakazuje zjeść obiad przed udaniem się na bankiet japoński. Posiliwszy się należycie ryżem i rybą udaliśmy się do wielkiej sali, w której p. Kumé, w imieniu swoich przyjaciół ofiarował sobie ucztę na sto osób.

Sala miała kształt dziwny, z wgłębieniami; stoliki z czarnej laki, przeciążone czarkami i malowanymi ciastkami odbijały ładnie od złocistej słomy tatami; w sali były jeszcze pustki; zdawało mi się, że jestem w pałacu fantastycznym, gdzie zastawiono wspaniałą ucztę dla wszystkich karłów z bajek czarodziejskich. Zamiast nich weszli wieśniacy z twarzami szorstkimi, nieokrzesani, ale odznaczający się dziwną miękkością ruchów. Giejsze, podobne do glicynii roztaczających wiosną niebieskawe fale swych kwiatów wśród dębów i sosen z Nara, przesuwają się wdzięcznie wśród tych ziemian w ciemnych haori. Wszyscy zaproszeni ukłękli przed swymi stołami, z twarzą zwróconą do ściany, jedni naprzeciw drugich, oddzieleni od siebie szerokością przejścia. P. Kumé ze swym sztabem zasiedli z prawej strony, w głębi sali; mówcy powstali ze swych miejsc.

Wspaniały to zwyczaj, który z wypowiedzeniem swych myśli nie każe czekać, aż obciążone żołądki wprowadzą gości w ociężałość i uciążliwą wymowę nie zakłócając błędnego uczucia, ogarniającego zwykle wszystkich po libacy.

Wobec publiczności zgłodniałej wstrzemięźliwość jest więcej, niż cnota: jest przyzwoitością. Wyobrażam sobie, że Japończycy przyjęli ten zwyczaj dlatego tylko, aby powstrzymać wrodzoną skłonność swych mówców do rozwlekłości. Sądzę też, że naród ten, czarująco naiwny, obawia się, iż pod koniec bankietu nikt nie potrafi układać tak zachwycających kłamstw.



P. Kumé przemówił pierwszy, ale powiedział zaledwie słów kilka i oddał głos prezesowi komitetu, który ze swoją przemową załatwił się równie prędko: „Dzisiaj to tylko wstęp,” mówił do mnie wzaufaniu Mikata, „każdy oszczędza swe siły na zgromadzenie jutrzejsze”.

Rzeczywiście wszyscy przemawiali bardzo krótko. Igarashi zwyczajem trybunów europejskich nie pominął sposobności przyciśnięcia obu rąk do serca, jak gdyby chciał je rzucić tłumowi na żer. Śliczny Nojō wspiął się na palcach i ruchem wachlarza poprawiając fałdy hakamy, rzucił obywatelom miasta kilka słów powitania.

Jedynym mówcą, który osiągnął niejaki powodzenie, był Takéuchi starszy. Głos jego był mniej ochryply, niż rano. Mówił trzy razy dłużej, niż inni, a jednak słuchacze nie przestawali mu wyrażać oznak zadowolenia. Łatwo pojąć, że byłem bardzo zaciekawiony treścią mowy byłego posła.

Oto jej myśl główna:

Nocy ubiegłej Takéuchi Starszy miał dziwny sen, który chce opowiedzieć wszystkim obecnym. (Ktoby mógł przypuszczać, że w podobnym stanie, w jakim wczoraj widziałem szanownego męża, mógł on jeszcze mieć jakieś sny?)

Ażeby sen ten dobrze zrozumieć, musimy najpierw zaznaczyć czytelnikom, że współzawodnik pana Kumé, nazywał się Araï, podobnie jak i wioska górską, że nazwisko p. Kumé przypomina wyraz *kumai*, który oznacza ryż ofiarowany bogom; wreszcie że p. Kumé cieszy się przydomkiem *Tami-no-suké*, czyli pomoc (*suke*), ludu (*no tami*, tami — lud, no — odpowiada francuskiemu *de*).

Teraz już sen p. Takéuchi wyda się nam zupełnie zrozumiałym. Widział on, jak potok wezbrany z wściekłym pędem i szumem spływał z góry, niszcząc po drodze wioskę Araï, później stawał się



coraz spokojniejszym i osadzał użyźniający namuł na niwach wioskowych. Na niwach tych wyrósł później ryż wspaniały (*kumai*), który się, oczywiście, stał wsparciem ludu (*Tami no-suke*).

— Niech żyje pan Kumé!—wołali rozentuzyzmowani ziemianie.—Niech żyje!

A p. Kumé powstał i wypowiedział uświęconą zwyczajem formułę:

— Teraz bawcie się!

W jednej chwili sala z szeregami biesiadników zamieniła się w szachownicę, na której ktoś pomieszał wszystkie pionki. Potworzyły się grupy; pielgrzymi klęczeli z pułkami w rękach, nie przerywając wcale uczyty. Roili się też gęsto przed stolami, przy których zasiadały osobistości wybitniejsze, podobni do kiści czarnych winogronu, rozrzuconych staranną ręką gospodyni na żółtej słomie. Małe czarki z saké posuwały się szybko tam i napowrót, niby czółenka w warsztacie tkackim. Gejsze, ustrojone w piękne różnobarwne pasy, rozpoczęły tańce.

Szczupłemi, zgrabnemi palcami uderzały w dużą cewkę, służącą im za bębenek. Z początku zwolna i rytmicznie opisywały pałeczkami liturgiczne parabole dokoła swej głowy, a później uderzały niemi w takt po dźwięcznej powierzchni cewek. Głosy piskliwe łączyły się z ostremi tonami shamisenów. Tancerki wykonywały *pas* czterdziestu pięciu rônin'ów, naśladowując ruchy, towarzyszące czynności rozpruwania brzucha; albo też udawały, że przykładają do ramienia strzelby, odtwarzając za pomocą mimiki chwałę wojny chińsko-japońskiej.

Gdy muzyka milkła, gejsze rozlewały nam saké; wychylaliśmy czarki tyle razy, ile razy zmuszał nas do tego kodeks japoński.

O politykę nikt się nie troszczył.

Mieszkańcy Numaty okazywali mi serdeczność zachwycającą. Łącznie z biletami wizytowemi ofia-

rowywali mi swe własne czarki z saké. Jeden z nich prosił mnie usilnie, ażebym zechciał przyjąć jutro rano mleko od jego krów, dar bardzo rzadki w Japonii. Zgodziłem się chętnie. Okłamywałem się z całą świadomością, on bowiem wiedział dobrze, iż mleka tego nie przyśle, a ja, że go nie zakosztuję; pomimo to, byliśmy z siebie bardzo zadowoleni.

Drugi oznajmił mi, że skromny jego dach gotuje się na me przyjęcie. Inny pragnął mi pokazać głośną świątynię, leżącą wśród gór, a jeszcze inny marzył o tem, ażeby stopy moje pól jego dotknęły. W miarę jak Mikata tłumaczył mi ich zaproszenia, doznawałem coraz wyraźniej tego wrażenia, że przed memi oczami roztaczają się skarby dawnej sielskiej Japonii i oddychałem wonią miry i kadzidel! Na nieszczęście, wszystkie ich piękne przemowy kończyły się krótkim frazusem, obalającym poprzednio czynione obietnice.

Rozwodząc się długo nad przyjemnościami, które mnie czekają w ich towarzystwie, w końcu w paru słowach uprzedzali mnie, że okoliczności zmuszały ich do odłożenia tych chwil uroczystych na czas nieokreślony.

Około godziny dziewiątej p. Kumé się ulotnił; za nim poszedł Igarashi i wybitniejsi obywatele; wkrótce też i my z Mikatą opuściliśmy salę.

Gejsze z zapalonymi latarkami odprowadzały nas do naszych mieszkań. Noc była zimna i ciemna, droga trudna. Szliśmy po dużych kamieniach, ułożonych w pewnej od siebie odległości; mała gejsza, niosąca przedemną latarkę, ozdobioną czerwonymi peoniami, wzięła mnie za rękę. Jej wąż, dziecinna dłoń kierowała memi krokami pod głębokim cieniem gęstych drzew; wkrótce zaczęła półgłosem nucić jakąś piosenkę.

— Co ona śpiewa? — zapytałem swego tłumacza.

— To jest stara piosenka japońska — odparł.

Gejsza śpiewała:

„Noc ciemna. Na górze Kurabei kwitną śliwy, a woń ich precudna upaja zbląkanego przechodnia.”

Nocy tej Igarashi, towarzyszący swemu kandydatowi, upadł głową na dół w sam środek kałuży. Wieść o tym wypadku rozeszła się po całym hotelu, Igarashi bowiem wrócił w stroju tak opłakanym, że niktby go nie mógł poznać, gdyby nie wyraz niezmiennego rozpromienienia na twarzy. Uśmiechał się i teraz, przywykł już bowiem płacić zawsze swą osobą i najprzykrzejsze wypadki życiowe nie mogły go wysadzić z siodła.

Zwrócił się do mnie i ruchem ręki wskazując na niebo.

— Ach!—wykrzyknął z zachwytem—będziemy mieli śnieg!

---

## ROZDZIAŁ III.

---

### Dzień trzeci: meeting podczas śniegu.

Pokój, przeznaczony dla mnie, znajdował się na pierwszym piętrze. Nazajutrz, zaraz po obudzeniu się, podszedłem do okna i ujrzałem, że góry, lasy, pola i miasta, rozścielające się przedemną, zasypane były śniegiem. Kamienie na dachu wyglądały jak duże, ozdobne gwoździe! Towarzysze moi z uniesieniem wyrażali swą radość. Lśniąca białość, otaczająca nas dokoła, napełniała ich dusze jakimś upojeniem. Japończycy uwielbiają śnieg, jak i wszystko, co błyszczący i trwa krótko, np. owady świecące, światło księżycy, kwiaty jednodniowe.

Chwila obecna ma dla nich najwięcej uroku i poezyi. Im krócej trwa jakieś zjawisko, tem większym promieniuje czarem. Takeuchi młodszy, Igarashi, członkowie komitetu, wszyscy z wyjątkiem Mikaty, który, dzięki pobytowi w Europie, stał się zbyt wrażliwym na mrozy i który się dąsał na powaby zimy, postanowili pójść na śniadanie do restauracyi, z kąd można było ogarnąć wzrokiem całą równinę.

Zamiar ten został wykonany niezwłocznie. Zaprowadzono nas do pawilonu ładnej herbaciarni. U stóp balkonu tłoczyły się białe cienie drzew ogrodowych i latarni kamiennych. Morwy długim szeregim ciągnęły się przez równinę falistą, aż do ubielonej śniegiem góry, niby delikatne słupki balustrady, otoczone koronką. Z drzew wiśniowych, stanowiących ozdobę czarownej wiosny tego kraju, opadały delikatne korony kwiatów. Nie przypominam sobie, czy kiedykolwiek w życiu doznałem wrażenia większego zimna. Towarzysze moi rozsunęli ściany z radością, wystawiając swe czoła obnażone na ten czar lodowy.

Takeuchi Młodszy wyciągnął ramiona w stronę oddalonego domu z galeryjką na dachu i zawołał melancholijnie:

— O, tamci widzą dalej, niż my!

Służące lekko przesuwaly się po matach; posiniałe twarze i ręce świadczyły o tem, że schłostał je wiatr mroźny. Wkrótce zjawiły się gejsze w kapturkach z tkaniny koloru wody morskiej. Większość poprzylepiała sobie na skroniach wążkie, czarne kitajki, zabezpieczające je niby od migreny, właściwie jednak miały na celu podniesienie wdzięków, podobnie czyniły niegdyś nasze panie, naklejjak czarne muszki. Wtem otworzyły się drzwi, prowadzące na galeryę i rozległy się dźwięki skocznej muzyki shamizenów, zlewającej się z dzikiem wyciem wichru. Piliśmy saké.



Gejsze, siedząc przed kakemono, przedstawiającym — bardzo odpowiednio do danej chwili — zachód księżyca na śnieżnych górach, śpiewały nam piosnki, harmonizujące z całą przyrodą.

Mój Boże, jak daleką była od nas wszelka polityka! Jeden Igarashi nie zapomniał o niej. Godzina meetingu się zbliżała. Trzeba się było spieszyć. Mikata drżał z zimna. Ja byłem też bardzo zmarznięty, ale nie mniej zachwycony.

Nie umiałbym opowiedzieć dokładnie, w jaki sposób dostaliśmy się do sali zgromadzenia. Zdawało mi się, że wszedłem tam przez dach. Nie był to wpływ wyłączny sake, zapewniam was czytelnicy, śnieg w Japonii nie jest podobny do śniegu innych krajów. Upaja i napełnia powietrze dziwną wonią. Widzę jeszcze, jak się posuwamy jeden za drugim brzegiem dachu na pół zepsutego; na tle kredowego nieba widzę też sylwetkę p. Kumé, szukającego okienka, przez które możnaby było zejść na dół. Dostyc, że znalazłem się wreszcie razem z moimi towarzyszami w głębi szopy, na estradzie pokrytej słomiankami, przed publicznością, złożoną z trzechset Japończyków, przykucniętych na ziemi i milczących.

Dwa stoły, autentyczne stoły, ozdabiały scenę. Jeden przeznaczony był dla mówców; ujrzałem na nim szklankę wody, prawdziwą szklankę, jedyną może w całym mieście. Przy drugim stole zasiadł komisarz policyi i jego służalcy. Publiczność stanowili drobni mieszczanie z Numaty i okoliczni właściciele ziemscy; twarze ich miały wyraz ograniczony, nieprzyjemny i naiwny; marszcząc czoło, spoglądali nieruchomo czarnemi, zamglonemi oczami na każdego z przemawiających.

Pierwszy wystąpił p. Kumé. W mowie swej napadał na politykę klanów. Sądziłem, że słowa jego, więcej energiczne, niż wymowne, obudzą jakieś echa w tych ludziach północy, zwyciężonych przez

południowców i walczących niegdyś w obronie Shôguna. Oklaskiwano go za ledwie grzecznie.

Następnie ukazał się na stole Igarashi. Promieniał, jak zwykle. Z gestykulacją niepospolitą wypowiedział długą mowę o związku śniegu z cnotami obywatelskimi, mowę, upstrzoną najefektowniejszemi przymiotnikami języka japońskiego. Słuchacze za ledwie się uśmiechali.

Po nim wystąpił Mikata. Podszedł do stołu krokiem pewnym, umaczał usta w wodzie i wygłosił pochwałę Gambetty. Następnie przytoczył Napoleona, rozwodząc się długo nad rodzajami rządu reprezentacyjnego. Nikt nawet nie drgnął.

— O niczem nie mają pojęcia—rzekł do mnie, wracając na miejsce.

Wtedy wystąpił Nojo. Ramiona jego opuszone były wzdłuż ciała, w rękę trzymał wachlarz; przy pierwszych słowach, które padły z ust jego, tłum zadrżał z radości; rozjaśniły się twarze, zmęczone jałową i pracowitą uwagą; sypnęły się oklaski żywe, jakby mimowolne.

Oto co mówił Nojô, dowódca sôshi:

— Panowie, szanowny pan Mikata przed chwilą opowiadał nam o Francyi. Zdaje mi się, że to właśnie z języka francuskiego przetłómaczone ulubione nasze przysłowie: „Wiatr wiosenny przynosi szczęście optykom.” Wiosna jest najpiękniejszą porą roku; z jej nadejściem nikt nie siedzi w domu. Ale wiatr podnosi tumany kurzu i wszyscy zasłaniają sobie oczy okularami. Przy częstem używaniu okulary łatwo się mogą złamać, zbić. Z tego korzystają kupcy. Elekcyja pana Kumé, to wiatr wiosenny, wiejący dla kurumayów, restauratorów, gejsz i dla mnie biednego sôshi. Byłbym zawsze ubogim, gdyby nie istniały wybory i nie było pana Kumé. Szanowny pan Igarashi mówił nam o śniegu, ale nie wspomniał o tem, jak szczęśliwą wróżbę śnieg ten stanowi. Tak, panowie, śnieg zapewnia zwycięstwo. W noc

śnieżystą czterdziestu pięciu Rōninów wtargnęło do domu Moronaō i dokonało zemsty, poświęcając go cieniem swego pana. Podczas śnieżnej zamieci u wrót Sakurada Rōninowie z Mito ucieli głowę Ii Kamonno-Kami! — Tu Nojō pochylił głowę, przyłożył wachlarz do uszu, jak gdyby wsłuchiwał się w oddaloną wrzawę tych wielkich czynów wojennych i zanucił popularną piosenkę, poświęconą ich pamięci. — Widzicie zatem, że niebo zapewnia nas o zwycięstwie pana Kumé. Wśród śniegów zimy ten sławny Napoleon równie wielki, jak nasz Taikō, przebył Alpy, góry znacznie wyższe od naszych. Opowiadają nawet, że jeden z jego doboszów wpadł w wąwóz i do połowy przysypany śniegiem, nie przestawał bić w bęben. A więc, panowie, szanowny pan Igarashi zachował się tak, jak dobosz Napoleona. Upadł wczoraj do kałuży, ale przykry ten wypadek nie przeszkodził mu prowadzić dalej rozpoczętej walki. Wszyscy jesteście podobni do niego; nawet przykryci śniegiem wołamy: „Niech żyje pan Kumé!”

Wszystkim się zdawało, że Nojō już skończył, ale on ruchem wachlarza zatrzymał obecnych. Od czasu gdy Restauracya zachwiała urok władzy, Japończycy cierpieć nie mogą komisarza policyi; obecność jego na zebraniach paraliżuje swobodę mówców. Nojō, wskazując ręką na siedzącego z niewzruszonym wyrazem twarzy urzędnika, dodał:

— Panowie, przedstawiam wam pana komisarza. Okazał się względem nas wyjątkowo uprzejmym... Ma dobre ułożenie... Jest to człowiek zacny.

Słuchacze, pochylając głowami z wielkiej radości, dali huczne brawo; później rozeszli się w milczeniu.

Dostaliśmy się na zgromadzenie przez dach, ale wyszliśmy drzwiami i wróciliśmy do restauracyi, gdzie wójtowie gmin sąsiednich i radcy stanu



urządzili bankiet w ścisłym kółku na cześć p. Kumé.

Podczas gdy zdejmowaliśmy obuwie w pierwszym pokoju, jeden z radców zbliżył się do Nojô i rzekł:

— Nie możemy pana, jako sôshi, zaprosić do naszego stołu, damy więc panu pieniądze, abyś mógł zjeść i wypić za nasze zdrowie gdzieindziej razem z innymi sôshi.

Nojô uśmiechnął się z przymusem, ale nie odpowiedział ani słowa.

Po chwili zbliżył się do niego mer, który nie słyszał poprzedniej rozmowy i odezwał się:

— Chociaż sôshi, ale jesteś pan tak dystyngowanym, że z wielką radością ujrzymy pana w naszym gronie.

Wtedy Nojô zbliżył się do owego radcy i powtórzył mu słowa mera.

— A pan—zakończył—coś mi powiedział? Co mam teraz czynić?

Nie czekał jednak odpowiedzi, bo nie mógł powstrzymać dłużej swego gniewu. Z wściekłością rzucił się na butelki z piwem i dzbany z saké; rozległ się głuchy łoskot rozbitych naczyń i krzyki przerażonej służby. Wszyscy byliśmy przestraszeni; posłano natychmiast po Takéuchi starszego, który jako człowiek niemłody, znał wielu sôshi i umiał z nimi postępować. Przybył zaraz, uśmiechnięty pogodnie.

Po długich staraniach udało mu się uspokoić Nojô, który raczył nawet zasiąść do uczty, ale pamięć doznanej obrazy dręczyła go nieustannie, siedział chmurny, milczący i wkrótce opuścił salę.

Na oświetlonych rzęście tatami wśród błyszczących stołów do późnej nocy bawili się goście w towarzystwie gejsz.

Gejsze więcej rozmawiały, niż śpiewały. Najwięcej otoczone były najstarsze, więcej biegle



w sztuce czarowania gości... Sypały słówkami miodowemi i opowiadały pieprzne żartobliwe powiastki.

P. Kumé ogarnięty urokiem wspomnień dawnej Japonii, rozpoczął jakiś staroświecki, narodowy taniec, który mi się wydał zachwycającym. Zadziwił nas wspaniałością swych wolt, przeskakiwał jednym susem z jednego końca sali do drugiego, zdumiewał pozami bohaterskimi i dziwną giętkością ruchów; przy bystrym, lekkim i niewyraźnym szmerze jedwabnych jego rękawów pochylały się płomienie wysokich świec. Gdybym był gejszą, nie zgodziłbym się nigdy popisywać ze swemi nieśmiałościami, nienaturalnymi ruchami wobec tego artysty.

Po powrocie do hotelu usłyszałem w łazience, znajdującej się niedaleko schodów, plusk wody i jakieś dziwne sapanie; odsunąłem drzwi i przy świetle białej latarki ujrzałem rozpromienione oblicze naszego Igarashi; przed chwilą zaledwie opuścił ucztę, a teraz już pływał w ciepłej kąpieli.

Uśmiechnął się do mnie i zawołał z miną natchnioną:

— Oddaję wodzie moje saké! *Sayônara!* (Dobranoc).

Nazajutrz okazało się, że Numata jest już całkowicie pozyskane dla sprawy p. Kumé, pożegnaliśmy zatem gościnne miasto; kurumy nasze spuszczały się zwolna po śnieżnym, oślepiającym w blaskach słonecznych zboczach góry. Zatrzymywaliśmy się często; po drodze bowiem oczekiwali wieśniacy, przybyli z dalekich stron dla powitania p. Kumé, rodowitego mieszkańca tej okolicy. Ludzie ci szli od samego świtu z głową obnażoną i podniesionem kimono na bosych nogach, przebyli dużo mil przez góry, bagna i wąwozy, pchani uczuciem dawnej wierności feudalnej, nie żądając innej zapłaty, prócz powitania swego księcia. Musieliśmy też zatrzymać się nieco dłużej, powóz bowiem,

w którym siedział Igarashi, złamał się i dobosz Napoleona wpadł głową na dół do rowu.

Na stacyi, gdzie przedwczoraj powiewały różnobarwne flagi, podszedł Nojô do prezesa komitetu i z dumnie melancholijnym wyrazem poprosił go o chwilę rozmowy. Uzyskał ją i natychmiast przedstawił swą prośbę w słowach następujących:

— Doznałem wczoraj tak wielkiej zniewagi, że położenie moje wobec klientów i podwładnych stało się wprost niemożliwem. Straciłem całą powagę i należny mi szacunek, dlatego żądam stu yen'ów odszkodowania. Z tych pięćdziesiąt oddam moim ludziom, niech w saké obmyją zniewagę uczynioną ich panu! A za pięćdziesiąt kupię sobie gejszę...

Po powrocie do Mayebashi pożegnałem się z p. Kumé, którego uprzejmość wyrafinowana ani na chwilę się nie zmieniła i który chciał mnie zatrzymać jeszcze dłużej. Igarashi i Mikata odprawdzili mnie na dworzec kolejowy.

---

## KSIĘGA III.

### *Ojcowie i dzieci.*

#### ROZDZIAŁ I.

##### **Karnawał przeszłości.**

Dziesiątego kwietnia 1898-go roku Tokyo święciło rocznicę swego wyniesienia do godności stolicy.

Trzydzieści lat upłynęło od chwili, gdy cesarz, namówiony przez ministrów, opuścił dawną rezydencję w Kyôto wśród łez jego mieszkańców i po chwilowym pobycie w Osaka, które nie odpowiedziało oczekiwaniom doradców, osiedlił się ostatecznie w mieście shôgunów pokonanych. Dumne Yedo, z kąd arbitralni namiestnicy przez dwa i pół wieki, zachowując zewnętrzne formy szacunku, dyktowali rozkazy arbitralne monarsze upadłemu, ale mimo to czczonemu, przybrała nazwę Tokyo. Kyôto zaś, odarte z dawnego uroku, chociaż niezmiennie cudne, otoczone wieńcem lasów, ogrodów, wzgórz i świątyń buddyjskich zapadło w sen letargiczny, zachowując z cudów przeszłości tylko grzeczność wyszu-

kaną, elegancyę, rozmiłowanie się w kochaniu, rozkoszowanie się tańcem, bogów, pogrążonych w półmroku, pałace puste i tchnienie dusz zmarłych, unoszących się nad dawnymi grobowcami.

Postanowiono obchodzić uroczyste trzydziestą rocznicę nowej ery.

W tym celu zorganizował się z upoważnienia dworu specjalny komitet; cesarz i cesarzowa obiecali ukazać się ludowi podczas uroczystości; przez piętnaście dni we wszystkich dzielnicach miasta hucało, jak w ulu. Japończycy, przepadając za rozrywkami i hulankami, celują w urządzaniu najrozmaitszych zabaw, które przez czas tak długi dawały im jedyną sposobność do wykazania inicjatywy. Tym razem uroczystość dogadzała nie tylko zamiłowaniu do rozrywek, ale podniecała jeszcze dumę narodową. Dzienniki i przeglądy przygotowały numery nadzwyczajne, w których ekonomiści, politycy, pisarze, profesorowie sporządzali bilansy z ostatnich lat trzydziestu. Lud japoński, powstrzymany chwilowo w swym pochodzie, odwracał głowę, mierząc wzrokiem przebytą drogę. Ażeby uwydatnić postęp nadzwyczajny narodu i zdumiewające jego zboczenie z drogi prostej, powzięto myśl przedstawienia, zapomocą szeregu wozów i oddziałów ludzi, pochodzących dawnych daïmiów, rozwijających niegdyś w podróży przepych niezwykły.

To wskrzeszenie przeszłości poruszyło tłum japoński. Gejsze kazały sobie obcinać włosy, ażeby módz urządzić fryzury na wzór tych, jakie nosiły dawniejsze piękności; kochankowie zaś obstalowywali im suknie purpurowe, uszyte według mody z przed lat trzydziestu, a postrojone kobiety przechadzały się pod daszkiem wązkich ulic. Cały tydzień, poprzedzający wielką uroczystość narodową, trwały ulewne deszcze; przedstawiciele dawnej Japonii, pojedynczo albo grupami błakali się po błotnistych ulicach miasta. A ponieważ Japończycy



nie umieliby już odtworzyć niedawnej przeszłości bez domieszki wspomnień europejskich, więc obok fantastycznych wojowników, uzbrojonych w żelazne wachlarze, kroczył mały człowieczek w białych spodniach i obcisłym czerwonym mundurze; strój ten, zapożyczony od zagranicznego masztalerza, miał na celu reklamę cechu krawieckiego.

Ranek wielkiego dnia był dżdżysty; ale około godziny ósmej słońce zaczęło się przedzierać przez chmury. U stóp niewidzialnego cesarskiego pałacu, między dwoma skrzydłami trybun wznosił się pawilon drewniany, pokryty słomą, przystrojony gałązkami zielonemi; cechowała go jakaś wiejska, staroświecka elegancja. Złocisty ekran i dwa fotele pokryte aksamitem jasno-czerwonym oczekiwały na cesarza i cesarzową. Naprzeciwko, pod namiotem, młodzież szkolna tworzyła zwartą masę; lud Tòkyô wypełniał olbrzymi plac dawnego podwórze shògualnego.

O godzinie dziesiątej rozległy się salwy; karety cesarza, cesarzowej i szambelanów, poprzedzone oddziałem kawaleryi z rozwiniętym sztandarem japońskim, zaczęły się posuwać od pałacu tajemniczego i zatrzymały się wreszcie przy pawilonie. Monarcha i monarchini wysiedli ze swych karet i w milczeniu wstępować zaczęli po stopniach: on w mundurze generała, ona w sukni koloru *vieux rose* z refleksem złocistym i w kapeluszu z piórami. Cesarzowa-Wiosna utraciła już świeżość młodości, a czas odebrał jej rysom czarujący wyraz niezdecydowania, zachowując tylko wdzięk pieszczotliwy; oczy lekko skośne wyrażają łagodność i jakieś lekkie, nieokreślone zdumienie, stanowiąc sprzeczność z trochę sztywnem ułożeniem monarchini. Stojąc przed fotelami, cesarz i cesarzowa, której pióra na kapeluszu dosięgały zaledwie ramienia męża, wysłuchali mów panegirycznych gubernatora Tòkyô i prezesa komitetu. Odpowiedzieli trzema lekkimi pochyleniami głowy i korpusu, a potem wrócił

do powozów. Ruchy cesarzowej krępowwała suknia, schodziła więc nieco wolniej od męża; każdy krok naprzód wprawiał w lekkie drganie jej małą osobę,

Orszak monarszy odjechał wśród oklasków młodzieży. Gdy władcy zniknęli z przed oczu tłumu, wracając do swych pałaców odosobnionych, rozpoczęła się uroczystość właściwa; ujrzelśmy zdala ów sławny pochód dańmia, oczekiwany z tak wielkiem upragnieniem. Nie sądzę, ażeby jakiś naród wytworzył kiedykolwiek ceremonie równie dziwaczne. Pochód otwierali heroldowie, posuwając się naprzód wolno, dużym, miarowym krokiem Łucznicy z łukami na ramieniu, fizylierzy ze strzelbami w pochwach z materyi czerwonej, wolno wykonywali jakiś balet szczególny; podnosili nogę lewą aż do połowy pleców i wyciągali ramię prawe wywijając bronią ruchem pływaka. Halabardnicy również wykonywali dziwne skoki, podrzucając w górę i później chwytając długie halabardy, najeżone kutasami i grzywą końską. Furyerzy, kucharze, sekretarze, tragarze, cała procesya służby domowej posuwała się naprzód ruchem wahadłowym. Oficer, dźwigający parasol księcia, poruszał nim, jak dobosz swą pałeczką; jakiś urzędnik zaś wymachiwał uroczyście kapeluszem z szerokim rondem. Dalej szli ludzie niosący kufry olbrzymie, czarne z herbami białemi; posuwali się naprzód lekko w podskokach, a ciężary ich, zawieszane na giętkiej lodydze bambusu poruszały się rytmicznie jak szalupy.

Poza temi postaciami błazeńskimi szli sami raïlowie, ubrani w rodzaj komży z długimi, sztywnemi rękawami, rozciętemi u ramion, z włosami zebranymi na wierzchu podgolonej głowy i z dwiema szablami u pasa; kroczyli wolno i uroczyście, jak gdyby za pogrzebem, eskortując lektykę dańmia, lektykę pustą, bo członkowie komitetu nie ośmielili się umieścić w niej pospolitego figuranta. Tuż za nią szedł lokaj, prowadząc za uzdę rumaka wspa-

niale okulbaczonego. Ta lektyka pusta robiła wrażenie niezwykle silne. Wyobraźnia sadowiła w niej jakąś postać hieratyczną, księcia surowego, milczącego, o zimnem spojrzeniu, niewolnika wzbudzanego powszechnie szacunku, przedstawiciela dawnych tradycji.

Bez wątpienia cały ten poczet ludzi mógł się wydawać komicznym, a spokój niezachwiany błaznów mimowoli przywoził na myśl scenę z korowodu wędrownego Pourceaunac'a <sup>1)</sup>). Pamiętałem, że nie upłynęło jeszcze lat trzydziestu od chwili, gdy ostatnie pochody wasalów z tańcem i muzyką wkraczały do miast. To, co dzisiaj było tylko maskaradą, wczoraj jeszcze miało powagę niezaprzeczoną. Wszystkie czoła pochylały się nisko, a Japonia szukała sławy w roztaczaniu przed książętami hołdów fantastycznych.

Na trybunie uprzywilejowanych, z kąd patrzyliśmy na tę retrospektywną wystawę historyczną, stary daímio, Nabeshima, we fraku, potrząsał głową pomrukując: „Tak, w ten sposób i ja podróżowałem niegdyś”. Pomiędzy otaczającemi nas znakomitościami japońskimi znajdował się jakiś oficer marynarki, bardzo nieśmiały; jego szeroka, dobroduszna twarz czerwieniła się za każdym słowem; przyglądał się widowisku z ciekawością nieopisaną. Był to brat cesarzowej, książę Ichijo. Nie miał ze sobą ani świty, ani dworzan; nikt nie zwracał uwagi na jego obecność. Inni książęta albo potomkowie książąt, pomieszani ze światem dyplomatycznym, figurowali w roli zwykłych przeciętnych gości. Światło, otaczające ich przez całe wieki blaskiem prawie nadnaturalnym, oddaliło się teraz, gdy stał się cieniem dawnej wielkości. Strąceni z wyżyn

---

<sup>1)</sup> Bohater farsy molierowskiej, odznaczający się komizmem niezwykłym.



feudalnych do szeregu urzędników państwa nowoczesnego, zawdzięczali całe swe znaczenie dzisiejsze tytułowi biurokraty albo oficjalisty w kancelaryi gubernatorskiej. Rozeta z wyobrażeniem wschodzącego słońca zdobiła ich butonierki, świadcząc o gorliwej służbie dla państwa; ludzie ci, obznajomieni z naszymi zwyczajami i wmieszani w tłum szerszy, z uśmiechem na ustach przyglądali się temu obrazowi dawnej świetności.

Pochód się zatrzymał. Miejsce Japonii starożytnej, feudalnej, zastąpiła Japonia kobieca, roztańczając wdzięk tańców i pów harmonijnych.

Było to zjawisko prawdziwie cudowne, czarodziejskie i słoneczne, odcinające się jaskrawo od tłumu ciemnego. Najlepsze tancerki z Tôkyô w szatach różnobarwnych, długich, spiętych purpurowym, śnieżnym, albo złocistym obi, migotały wachlarzami, bawiły się złożonemi rączkami parasolek, których pręty, przewiązane wstęgami i kwiatami, poruszały się kolisto na tle kwiatów wiosennych; szerokie rękawy tancerek zakreślały nieustannie tęcze. Ta mieszanina barw i wdzięku, harmonia ruchów, ta muzyka trochę piskliwa, drgająca w przestrzeni, jak dźwięcząca struna, ta skromność dziewicza postawy, lśniące zasłony nawet, ten wdzięk dziecinny wykazywały w tym narodzie subtelne poczucie delikatności, łączące najwyszukańszą fantazyę z prostotą najwyższą. Setki lat już te same tańce pieszczą oko Japończyka.

Nie były one wcale chwilową rozrywką rozbawionego społeczeństwa. Odgadywałem w nich poezyę rasy, żywy wyraz sztuki ludowej, a jednak subtelnej. Każdy z widzów, przykutych wzrokiem do tych ruchów harmonijnych, odczuwał głęboko ich rytm i finezyę. Wieśniacy, kupcy, robotnicy, urzędnicy, studenci, tłum niezliczony w skupieniu ducha rozkoszował się tym kapryśnym wytworem ducha przodków.



Tłum ten był bardzo pociągający. Szedłem za szeregiem cechów, rydwanów mitologicznych, kawalkat rycerskich. Wszędzie pochód daïmiô'a obudzał śmiech, albo zachwył. Podziwiano olbrzymie rydwany i obrazy legendowe. Lud odnajdywał swych bohaterów i piosnki, któremi go usypiano w kolebce. Rozumiał wszystkie te szaleństwa potworne i wspaniałe zarazem. Ale obcym mu już był ten blask zewnętrzny, którym tak niedawno jeszcze otaczał się książę podczas swych podróży; nie wzruszał go też rozkaz głoszony przez poprzedzających lektykę ciurów i pacholków, padania na twarz przed daïmiem; nie uczuwał już dawnego poszanowania, ani obawy na widok samurajów; dziedzicznie przechowywana cześć dla daimi'a, wynosząca go ponad innych śmiertelników, wygasła już dzisiaj w duszy ludu.

Przebywając w krajach dalekich i mało znanych, odczuwałem zawsze dotkliwie nieznamość szczegółów historycznych, mogących rzucić promień światła na tajemnicę losów dzisiejszych jakiegoś narodu.

W Japonii więc marzyłem, że razem z uczniami zasiądę na ławce szkolnej, aby się uczyć tej historii, którą sami nauczyciele znają jeszcze niezbyt dokładnie; pragnąłem w ten sposób wywołać w mej duszy obraz przeszłości tego kraju; obraz rzeczywisty, czy też urojony, byle taki, który żyje dotąd w sercach narodu. Czytałem bowiem kronikarzy japońskich, zarzucałem pytaniami uczonych; zwiedzałem dawne prowincye i doszedłem do przekonania, że zmierzchu przeszłości nie mogą dzisiaj rozjaśnić ani Europejczycy, ani Japończycy. Pierwsi nie potrafią porównywać tekstów w archiwach; drugim brak zmysłu krytycznego i miłości prawdy. Zmuszeni więc jesteśmy ograniczyć się do chronologii, anegdot, intuicji i hipotez.

Wyobraźcie sobie górzystą krainę, spowitą

w mgłach porannych. W historii japońskiej dostrzegam tylko szczyty, ale nie jestem pewny, jakie promienie je oświetlają. Mimo to muszę się do nich zwracać nieustannie, chcąc się orjentować w te-  
raźniejszości.

## ROZDZIAŁ II.

### Japonia legendowa i feodalna.

Pochodzenie Japończyków, podobnie jak ich język, otoczone są pewną tajemniczością. Trudność, której doznają przy wymienianiu przodków, dawno ich przekonała, że pochodzą od bogów.

Dziś jeszcze niebardzo o tem wątpią, a pod-  
ręczniki historii przeznaczone do użytku szkolnego, głoszą zawsze, że bogini słońca była pierwszą cesa-  
rzową japońską.

Język ich z konieczności wydaje się im naj-  
piękniejszym w świecie: nie znają bowiem innego. Długi czas nawet mniemali, że język japoński jest jedynym językiem zgłoskowym i dlatego nazwali go *kotołama*, t. j. *słowo cudowne*.

Dla nauki dotąd pozostaje kwestyą nieroz-  
strzygniętą, czy Japończycy przyszli z Mongolii  
przez Koreę, czy też z archipelagu Malajskiego  
przez Formozę. Naiwna hipoteza przypisuje tym  
wyznawcom *Kami* wątpliwe pochodzenie od Chama,  
syna Noego. Uczeni zwracają uwagę, że w najda-  
wniejszych zwyczajach japońskich uderzająco się od-  
bija wpływ prawa mojżeszowego. Baskowie ze zdu-  
mieniem wyliczają sześćdziesiąt słów japońskich,  
które rozumieją doskonale, ponieważ mówili niemi  
przed opuszczeniem gór Uralskich, swych siedzib

pierwotnych; w oczach filologów znaczy to bardzo niewiele.

W Tókyô odkopują podziemia napelnione bronią, sprzętami i wozami malajskimi. Symbole szynaitozmu odnajdują badacze w Korei. Ciekawi łamią sobie głowę nad pytaniem, jacy pielgrzymi złożyli swe skorupy na wzgórzach Wielkiego Nipponu. Zagadnienie to małej wagi. Wystarcza nam wiadomość, że ludy, pokrewne Hunnom i Malajom, na kilka wieków przed naszą erą opanowały archipelag japoński, wypierając zeń kosmatych Aynosów; naród ten, pokrewny Eskimosom, według wszelkiego prawdopodobieństwa wytepił jaskiniowców, odwiecznych mieszkańców tych wysp

Historja bajeczna jest jakby cieniem bezmiernym pierwotnego feudalizmu. Wspomnienia odnoszące się do podboju dziwnie się płaczą ze wspomnieniami wybuchów wulkanicznych, które swą okropnością powiększają klęski wojenne, i dają bohaterom kity z ognia kraterów. Feodalizm organizuje się powoli i powoli też ograniczają go wodzowie najsilniejsi i najzręczniejsi; wreszcie naród japoński dochodzi do uznania władzy monarszej.

Między IV-m a VI-m w. naszej ery cywilizacja chińska, zalewając archipelag japoński, znalazła tam społeczeństwo zorganizowane, monarchę, którego boskość spoczywała na podstawach trwałych, bogów, miłujących ziemię i posiadających jej wdzięk i okropność. Wpływ klimatu umiarkowanego i przyrody szarmonizowanej pokrywa pierwszym puszkciem kurtoazji surową powłokę ludu wojowniczego.

Wrodzona szczerłość, cechująca wyspiarzy, pomimo ich pychy i zamięłowania rzemiosła wojennego, oczekuje tylko cieplejszego powiewu, ażeby się przekształcić w zdolność do życia towarzyskiego. Dusza Japończyka zdradza wielkie ubóstwo myśli, brak fantazyi, niedających rękojmi przyszłej wielkości.

Biedni i nierozwinięci umysłowo Aynosi nie

pozostawili żadnej spuścizny, krórabry mogła wzbogacić ich następców. Japończycy wytępilli uboższych od siebie. W IV-m w. nie posiadają jeszcze sztuki. Prawdopodobnie jednak w tym czasie ustalili swoją prozodyę; nie posiada ona ani akcentu, ani miary, ani rymu i polega tylko na przeplataniu wierszy pięciostopowych z siedmiostopowemi. Zaczątkowa, ale ściśle określona, zamknięta w stałych przepisach, poezya ta jest jedyną sztuką oryginalną, do której mogą rościć prawo.

Miłość własną tego narodu często drażniły skromne początki tak nie licujące z boskiem pochodzeniem, którem się chlubił nieustannie.

Próbowali obrócić wszystko na swoją korzyść i jeden z najgorętszych obrońców szytoizmu, Hirata, pisał w początkach XIX w., że opóźniona cywilizacya Japończyków świadczyła tylko o ich wyższości, ponieważ wielkie umysły zwykle się rozwijają dość późno. To samo prawie powtórzył p. Diafoiros.

Obserwując Japończyków z większej odległości, widzimy, że mimo braku zdolności twórczych, odznaczają się oni wielką zręcznością w haftowaniu na kanwie cudnej. Pod niejednym względem ustępując wielkim narodom azyatyckim, które już skrytalizowały swe myśli najgłębsze w formie stałej, Japończycy wykazują wielką zdolność do społecznego pożyicia; zdolności tej niktby się po nich nie mógł spodziewać, znając ich dzikie, kapryśne usposobienie, oraz zadziwiającą giętkość umysłu, który tak długo przebywał w ciemnościach.

Bez wątpienia wpłynęła na to przyroda urocza, izolująca Japonię od kontynentu. Wybuchy wulkaniczne powtarzające się coraz rzadziej, rzucają na te wyspy uśmiech melancholii spokojnej. Łagodna przyroda wyrabia w ludziach dziwną słodycz charakteru. Góry i wody sprzyjają tworzeniu się państwek odrębnych; zawsze niezmienny wdzięk i roz-



maitość otaczających krajobrazów rozwija w mieszkańcach poczucie harmonii i wrażliwość na piękno natury.

Cywilizacja chińska podzieliła Japonię na klasy i kategorię. Ustanowiła biurokrację, mianowała ministrów, rozwijając całą drabinę tytułów i godności. Duch jej głęboko demokratyczny nie ranił arystokracji feodalnej Japończyków. Rozdział władzy cywilnej od wojskowej wypadł na korzyść tej ostatniej. Wpływ państwa, ceniącego nadewszystko pokój, w którym żołnierze zajmują stanowisko najniższe, wytworzył i uświęcił na wyspach sąsiednich przewagę kasty wojowników; podczas kiedy w Chinach kupcy zajmują miejsce pierwsze, kolonia i prowincja myśli chińskiej, Japonia, stara się ich wszędzie poniżyć. Wreszcie, zaszczipiony przez Chińczyków buddyzm, do tego stopnia utracił w Japonii swój charakter transcendentalnego idealizmu, że uzbroidł mnichów i obwarował klasztory.

Pomimo to dwór cesarski, stanowiący centrum tego społeczeństwa, którego moc narodowa przystosowywała i przeobrażała zasady obce, powinien był zachować bierniejszą gościnność wobec etykiety chińskiej.

Znużeni długim szeregiem przodków, wyczerpawszy zdumiewające dzieło pierwszej centralizacji, która im zapewniła urok nieśmiertelny, mikadowie, zachęceni rozdziałem władzy, oddali swą szpadę, spoczywającą w pochwie lekko przymocowanej do pasa, shoōgunom, t. j. generałom prowadzącym walki z barbarzyńcami, zostawiając sobie tylko powagę duchową, lżejszą do dźwigania. Teoretycznie pozostawali oni absolutnymi władcami ziemi i ludzi; ale rozmiłowanie w sztukach pięknych, zbytek i religia buddyjska, zdenerwowały ich ostatecznie. I wkrótce ci potomkowie słońca, ci bogowie palili kadzidła przed ołtarzem ateistycznego Sakja - Muni; upojeni tajemnicami religijnymi Indusów, porzucali

pałac dla klasztoru, szukając wśród kwiatów lotosu zapomnienia o sławie przodków i własnej boskości.

Kobieta, którą tradycje przystrajają w zbroję zwycięzców, której żadne prawo salickie nie usuwa od władzy, znajduje u stóp tronu półkrólewskość więcej odpowiednią do swego usposobienia. Dzieli ona z duchowieństwem buddyjskim zaszczyt stworzenia literatury Japońskiej. Podczas kiedy uczeni i dworzanie ubierają swe myśli w formy chińskie, podlegając tyranii tej łaciny azyatyckiej, kobieta przechowuje język narodowy, cieniuje go, oczyszcza z naleciałości obcych, wzbogaca i przekazuje potomstwu.

Jeżeli kodeks chiński wpływa na dawne zwyczaje prawne, wyciskając na nich obce im piętno okrucieństwa, to buddyzm owiewa serca tchnieniem wszystko ogarniającej litości.

Wpływ tej doktryny był znacznie głębszy na uroczym dworze Mikadów; wśród grona omdlewających patryarchów, otoczonych kobietami i duchownymi, uczującymi w powodzi kwiatów, wśród książąt pochodzenia boskiego, zwanych *kugé* i księżniczek rozjeżdżających wiosną pod cieniem wisien osypanych kwieciami, w jesieni wśród złocisto czerwonych klonów wozami ciągnionymi przez woły; buddyzm budzi cienie zmarłych; utrzymuje wierzenia czarnoksiężskie; praktuje przesady na rozstajnych drogach, wreszcie prowadzi dusze do wyrzeczenia się, jako do nowych szczęśliwości, Wyrzeczenie się to bywa zwykle tylko pozornem. Ten, który stoi u steru władzy, dźwiga najczęściej tylko jej strony ujemne, to jest zwodniczy pozór potęgi. Jeżeli wszakże zrzuci z siebie błyszczące widmo i dobrowolnie usunie się w cień, posiadzie władzę istotną. Czyż nie głosił ludziom wielki Sakja, że powinni zrzucić postać zewnętrzną, ażeby nad nią mózdz zapanować?

Podobnie Cesarz, usuwając się od fałszywych

blasków świata, odarty z insygniów monarszych i odziany w skromną szatę bonzów, stanie się istotnym władcą państwa. Co za zręczny polityk z tego Budhy! Doktryna ta, zwana *Inkyo*, (dosłownie: fakt usunięcia się), tem więcej schlebiająca władzy, że uwolniła ją od wszelkiej odpowiedzialności, w prędkim czasie oczarowała Japończyków swym zwodniczym powabem. Cesarze abdykowali jeden po drugim; jedni ze znużenia, inni dla konwenansu, a jeszcze inni dlatego, że chcieli pod osłoną pobożnych ciemności rozszerzyć swą powagę, którą obniżało światło dżenne, zacieśniając jej granice.

Abdykacya stała się prawem. Za przykładem tronu poszli ministrowie, shōgunowie. Drobnny kupiec przed nadejściem starości usuwa się od handlu, ustępuje synowi zarząd sklepu. Skutki abdykacyi były bardzo ważne. Unieruchomiła ona tysiące ludzi zdolnych jeszcze do działania, skracając życie społeczne.

Z drugiej strony teoria *Inkyo* nauczyła ludzi odróżniać władzę czczoną i uwielbianą od władzy nakazującej posłuszeństwo; obie rzadko się łączą w jednej osobie, pierwsza bowiem lubi się afiszować, a druga o ile możności usuwa się w cień. Zrodziła się nieufność, którą zawsze obudzają władcy niewidzialni.

Powoli podejrzliwość ogółu wzrastała, twarze ukrywały swój niepokój pod maską uśmiechu; dusze zagłębiły się w samotności, ażeby nie dostrzeżono ich lęku.

W przeciągu całych wieków Japonią rządziły osobistości bezimienne i nieodpowiedzialne. Władcy, cesarze lub shōgunowie, z wyjątkiem dwóch albo trzech założycieli dynastyi nowych, figurują tłumnie na freskach historii jako niewyraźne postaci hieratyczne; odróżniamy jasno tylko ich aureole. Są to zwykłe cienie, oblane jakimś światłem odbitem. Żadna postać nie posiada indywidualności wyraźnej,

żadna nie ośmiela się być sobą. *Inkyo* odarła ich z władzy rzeczywistej na korzyść ojca mnicha, matki mniszki, bonzów, rodziny lub klanu. Znikły wszelkie popędy samodzielności wrodzonej. Spowito tych ludzi w pieluszki i zabalsamowano czią.

Nawet gdy nie chcą abdykować, osoby ich zostają tylko cieniem. Bywały przykłady, że dwuletnie dzieci mianowano cesarzami lub shôgunami; dzieci te abdykowały, mając lat pięć; ci bogowie w kolebce, ci generałowie w pieluchach znaczyli nie mniej od swych poprzedników i następców, których trzydziestoletnie panowanie upływało w spokoju niczem niezakłóconym.

I tak, zaczynając od X-go wieku, obojętność buddyjska dezorganizuje władzę i przenosi jej środek ciężkości; a kiedy zawiść i skąpstwo zdobywają przemocą shôgunat, cesarz jest już tylko jakimś posągami bez życia, a uśmiech jego należy do zwycięzcy. A jednak powaga jego imienia, chociaż tak osłabiona, nie gaśnie wśród tych burz. Mimo strasznych przewrotów politycznych, Japończycy przekazali swym potomkom cały szereg pokoleń cesarzów i wiarę w ich boskość. Mniejsza o to, że pochodzenie jest czasem zmyślane, że często brakuje potrzebnych formalności; dozwolona prawem zwyczajowym japońskiemu adoptacja, nawet pośmiertna, poprawia i uzupełnia naturę.

Najdziwaczniejszym jest fakt, że naród ten zawsze chciał mieć na swym czele dziecko, kobietę, mężczyznę, jakąś istotę mianującą się wnukiem słońca, i że pomiędzy tyłu wasalami, żądnymi morderstw i sławy, żaden nie przywłaszczył sobie tytułu Mikada. Wyjąwszy kościół katolicki, zdaje mi się, że żaden kraj nie daje nam przykładu podobnej instytucji od dwóch tysięcy lat. Cesarze mogą być bez cesarstwa, obłożeni, obaleni, obsaczeni, zubożeni, zgłodniaли, podobni do manekinów mniej lub więcej świetnych, czy też ubogich, ale sama instytucja



istnieje; w niedostatku i niepowodzeniach najwięcej podziwiam jej ciągłość. Im więcej są poniżeni i wyszydzeni, tem więcej się dziwię, że jednak istnieją.

Cud ten wynika z niezwalczonej wiary Japończyków w swe boskie pochodzenie. Nie dotknęła jej ambicya rozkiełznana kondotycerów, ani tryumf przemocy, ani ateizm, ani słaby urok religii obcych. Mikadowie istnieją, ponieważ są wcieleniem narodu. Boskość ich wypływa z tłumu. W czasach największych zamieszek politycznych wyłania się z chaosu i wzbija się ponad fale wzburzone boskie imię tego cesarza, którego osoba jest przedmiotem walk i sporów zaciętych. Słaba iskierka przerzyna głęboką ciemność nocy. Często się zdaje, że pochłania ją ognisko dworu shōguna, gdzie sztuki piękne, obudzone spokojem, panującym w kraju, jaśnieją płomieniem wspaniałym. Następują jednak burze nowe; wśród łoskotu druzgotanych masztów Japonia widzi ten sam błędny ognek. Nie przemawia on już do serca sterników, ale zapewnia małuczkich, że mimo tylu nieszczęść jest coś, co przetrwa wszystko i nie zaginie nigdy. W starciu się instyktów rozkiełzanych, symbolizuje przewagę nienaruszoną ducha nad materją. Japończycy nie powinni zapominać, że był to ich ideał jedyny w chwilach klęsk najcięższych.

W ciągu 4-ch wieków Japonię szarpały walki domowe, dwukrotnie jednak omal co nie nastąpiło zjednoczenie państwa. Dynastia Hōjō odparła jedyny w XIII w. napad Mongołów. W XIV w. pod rządami dynastji Ashikaga, geniusz japoński, wydoskonalony w cierpliwości, wykonał na lace i jedwabiu cudne dziwy. Wreszcie shōgunat runął pod ciężarem własnej niemocy, każda prowincya cęsaraska stała się królestwem niezależnym, wielkie klasztory zamieniono na fortece; zapanowała anarchia.

Europa średniowieczna przedstawia nam obraz analogiczny. Jeżeli wszakże weźmiemy pod uwagę,

że Japonia w przeciągu czterystu lat urabiała swą duszę wśród szczęku i hałasu wojen domowych, a nie błysnęła w niej ani jedna myśl nowa, ani jedno z tych światel rozjaśniających sumienie, ani jedna z tych prawd, albo ułud szlachetnych, które odradzają podstawy pierwotne ludzkości, to historia bohaterska tego narodu wyda się nam uboższą od naszej, mniej płodną, zbyt podobną w swej jawności do historii ludów barbarzyńskich.

Cudne przedmioty sztuki japońskiej nie mogą okupić okropności dziejowych. Naród ten, łączący czasem humanitarność bardzo subtelną z wielkiem okrucieństwem, wydaje w tej samej epoce kobiety bardzo dziwne; wążle niewiasty z malowanemi wargami i cienkiemi palcami, zamknięte w zamkach obleganych, biorą z rąk swych żołnierzy odcięte głowy wrogów, zaopatrując je starannie w napisy, ażeby w godzinie wypłaty zarobku każdy mógł z łatwością rozpoznać krwawe trofea. Nawet posuwają swą uprzejmość do tego stopnia, że własnoręcznie lakierują zęby zamordowanych ofiar: jedynie księżęta rodziny cesarskiej i szlachta dworu posiadała przywilej malowania zębów na czarno, a ponieważ nagrody rozdzielały się proporcjonalnie do stanowiska społecznego poległych, więc żołnierze chętnie się nawet uciekali do podstępu. „Odcięte głowy nie przerażają nas — pisała jedna z tych kobiet — przyzwyczailiśmy się już oddychać powietrzem przesiąkniętem krwią.”

Narody wielkie nieraz oddychały temi wstrętami wyziewami; zwykle jednak w ich entuzjazmie do krwawych rzezi znajdowała się mała domieszka upojenia metafizycznego. Krucyaty, wojny religijne, walki rasowe, wojny chłopskie, ileż tu odcieni!

Pola naszych bitew przypominają mi słyszany niegdyś aforyzm, że człowiek od czasu do czasu uczuwa potrzebę wejścia na stosy trupów, ażeby rozszerzyć swój widnokrąg. Tu stos trupów uderza

mnie wprawdzie zadziwiającą wysokością, zwycięzca jednak, wchodzący na jego szczyt, ma zawsze dookoła siebie ten sam horyzont ciasny i zamknięty. Japonia znała tylko walki bratobójcze; umysł jej pozostał ubogim, nie pracując nigdy dla dorobku duchowego całej ludzkości.

Tylko rozmiłowanie się w bojach uczyniło duszę giętką i śmiałą. Synowie i córki samurajów otrzymywali wychowanie surowe; mężczyźni uczyli się władać szablą, kobiety lancą. W programie wychowania myśl o śmierci odgrywała rolę tak wielką, że uczono się ceremoniału samobójstwa. W latach młodzieńczych, kiedy zwykle powaby życia pociągają zmysły i serce, Japończycy uczyli się obrządków, które dobrze urodzona osoba zachować powinna przy rozpruwaniu brzucha i jaką ma przytem przybierać postawę. Niektórzy nawet zdradzają w tym kierunku dojrzałość przedwczesną. Zdaje mi się, że najwyżej lat siedem miał ów mały Japończyk, o którym opowiadają historię następującą: Zabójcy, wysłani dla zamordowania jego ojca i oszukani ludzającym podobieństwem, przynieśli swemu panu głowę, o której nikt nie mógł zawyrokować, czy czy jest istotnie głową winowajcy. Posłano więc po dziecko i pokazano mu czaszkę skrwawioną. Chłopak zrozumiał pomyłkę i konieczność utwierdzenia w niej swych wrogów; wyrwał z pochwy puginał, który synowie samurajów noszą od lat najmłodszych i chcąc nadać swemu milczącemu kłamstwu niezaprzeczoną powagę rozpaczy, upadł z wyprutemi wnętrznościami przed obliczem ofiary.

Zaden naród nie posunął wyżej kultu śmierci. Buddyzm potępia samobójstwo, widząc w niem tylko dziecinną trochę ucieczkę przed pociskami losu, stara się jednak uczynić lżejszemi węzły łączące człowieka ze światem zewnętrznym; właściwie nauce Konfucjusza zawdzięczają Japończycy to posępne dążenie ku śmierci.

Śmierć w ich oczach nie jest wyzwoleniem. Myśl, że ostatniem swem tchnieniem mogliby okupić szczęśliwość wieczną, byłaby dla nich odpychającą na równi z wszelkim handlem. Z filozofii Konfucjusza wyciągnęli tylko pierwszą zasadę pozytywizmu bezwzględnego. Stary mędrzec, zniechęcony do buddyzmu, nakazał ludziom strzedz się spekulacyj filozoficznych, podnosząc do godności cnoty jałowość filozoficzną. Tego apostoła moralności wynieśli ponad wszystkich innych; nie chcąc przez dumę zapytywać daremnie, uważali za rzecz niewłaściwą badać ciemności mogilne, żądali od śmierci tylko świadectwa, że obowiązek swój spełnili z honorem. Śmierć spotykali bez grozy, bez zwykłej boleści i lęku. Nie budziła w nich myśli niepokojących. Nie obiecywała rozkoszy większych, niż miłość ziemską. Nie pociągała ku sobie dusz znudzonych wędrówką doczesną. Stała się dla nich przyzwyczajeniem, instytucją konieczną, normalnem rozwiązaniem trudności życiowych.

Naprzykład, samuraj gubi depozyt swego pana — odbiera sobie życie. Pan obraża go słowem lub czynem—obrażony się zabija. Umierano, chcąc wyrazić protest przeciw jakiemuś nakazowi; umierano, nie mogąc pomścić zniewagi. W czasie ceremonii rozpruwania brzucha, w chwili kiedy klęczący samuraj zadawał sobie cios śmiertelny, najukochańszy przyjaciel, stojący obok niego, odcinał mu głowę. Szable japońskie poruszały się z szybkością błyskawicy. W niektórych prowincjach więcej dzikich, wojownicy próbowali po raz pierwszy ostrza swego żelaza na spóźnionych przechodniach w cieniach nocy. Ponieważ samobójstwo uważało się za najpiękniejszy wykwit cywilizacji, zabicie innych nie mogło być poczytywane za oznakę dzikości. Zapatrywali się na wszystko *sub specie mortis*.

Wysilano się na wynalezienie najściślejszych węzłów, któreby łączyły wojownika z panem, żonę



z mężem, dzieci z rodzicami. Feodalizm, rozkładając istniejący porządek rzeczy, tworzył równocześnie przy współdziałaniu natury liczne organizmy odrębne i pełne życia. Pobożność synowska, wierność, posłuszeństwo, poświęcenie jednostki interesom ogółu stały na stopniu tak wysokim, że sama wzniosłość straciła na wartości. Dawniejsza historia zachodu nie przedstawia takiej mnogości faktów poświęcenia i stoicyzmu. Ale mały wysiłek, z jakim bohaterowie zdobywają te cnoty nadludzkie, psuje ich piękność. Zgadzam się, że ojciec może poświęcić swe dziecko na ofiarę śmierci dla uratowania syna swego księcia; ale że powyższy wypadek stanowił regułę, że podobnie okrutna abnegacya rozwieliżmożniła się w praktyce i że kult obowiązków ziemskich pochłonął tyle krwi, ile ołtarze bogów najdzikszych, jest to dowodem, że charakter japoński zdradza nieprzepartą potrzebę posunięcia do absurdu idei prostych i wszczępienia do instynktów przyrodzonych upodobań potwornych.

Japończycy cierpią na ubóstwo myśli, ale nie na brak rozumu. Z mało posiadają materyału, ale umieliby nim rozporządzać. Pracują zawzięcie nad wiadomościami początkowemi, ale dedukcyja ich jest tak dziwaczną, że zamiast z tych wiadomości *korzystać, pozbawia je raczej treści.*

Japończycy wiadomości te ozdabiają starannie, wydrążają, rzeźbią, wyrzynają, kreskują, nadają im postać najdziwniejszą, czyniąc je prawie niemożliwemi do rozpoznania. A jednak pozostają one zawsze początkowemi. Z moralnością ich dzieje się to samo, co z domami, których budowę prostą, pierwotną, powikłali tysiącem drobnych ornamentacyi, nieskończonych szczegółów i z mieszkaniem, w których sztuka przekształca skromne maty na fantastyczne obrazy, rzuca światła różnobarwne na pnie zaledwie z kory odarte. Wniknijcie do ich dusz: są one jeszcze tak świeże i surowe, jak dusze

bohaterów Homera. Ale obok instynktów, tchnących jeszcze wonią lasów ojczystych, ujrzenie pierwiastek cenny, subtelny lub śmieszny, jakąś chimerę błyskotliwą, wytwór społeczeństwa, znużonego ślepem odtwarzaniem natury.

Miłość sławy zapanowała wszechwładnie, rozegzaltowując się samotnością i oswojeniem się z myślą o śmierci.

Etykieta na dworach książęcych w sferze ludzi mściwych i próżnych mogła się utrzymać tylko w ten sposób, że ich zmusiła do ścisłego wykonywania form najniewygodniejszych. Kary moralne zastąpił przymus fizyczny. Ubrano wojowników w szaty, zacierające kształty ich ciała. Spadające ku ziemi rękawy paraliżowały gwałtowność ruchów; spodnie niezmiernie szerokie i długie utrudniały napad i ucieczkę. Szerokość ubrania rozbrajała ludzi, wznosząc pomiędzy nimi nieprzebyte granice z lekkiego, szeleszczącego jedwabiu.

Duchowni buddyjscy wprowadzili w modę ceremonię picia herbaty. Uczono się sposobu jej przyrządzania z takim nabożeństwem, jakgdyby szło o odprawienie jakiejś tajemnicy religijnej; towarzyszyły jej rytmiczne obroty, ruchy hierofanty, ciche zaklęcia i powolność, osłaniające obrzędy tajemnicze. Nietylko kobiety przestrzegały ściśle tego rytuału. I wojownicy przyuczali się tu do cierpliwości i umiarkowania. Pokój, gdzie się odprawiało to dziwne nabożeństwo, *brasero* (naczynie z rozżarzonemi węglami) i skromny imbryk metalowy obudzały takie skupienie ducha i powagę, jakie panują przy sztukach magicznych. Był to japoński Hotel Rambouillet. Zresztą krwawe rzezie nie zagłuszyły w nich upodobania do wierszyków.

Nadzwyczajna prostota prozody ułatwiała natchnienie poetyckie. Oddawna już uczono ich układania zręcznych epigramatów trzydziesto-jednosylabowych; w krytycznych chwilach istnienia z wyższą

obojętnością, naśladowującą kokieterę chińską, układali naprędce wierszyki. Niektórzy przygotowywali improwizacje na godzinę śmierci. Pięć wierszy, wyrażających rozstanie z życiem, był to obol, którym Japończyk opłacał prawo wstępu do krainy sławy. Myśl ich z równą przyjemnością odwracała się od śmierci ku czarom ziemi. Dla przyrody, którą tak chętnie zlewali krwią, zachowali jakąś cześć pełną uszanowania i czułości. Życie zwierząt cenili więcej, niż życie ludzi. Słyszałem, że podług dawnego zwyczaju japońskiego, jeszcze przed najazdem Chińczyków, nie wolno było wykonywać wyroku śmierci, dopóki drzewa były w kwiecie. Uśmiech wiosny nie osłania już życia ludzkiego; wonie jej, któremi się dotąd oddycha, nie zapewniają już pokoju. Pomimo to jednak dziś jeszcze nie nużą się Japończycy opisywaniem jej cudów subtelných. Pod twardym pancerzem żołnierskim zachowali wielką wrażliwość i poczucie odcieni, nieznane zupełnie współczesnym europejczykom. Jedyłą rozrywką ludu, robotników, rolników, kupców, których przewaga klasy wojowników zmusiła do posłuszeństwa i skazała na rezygnację były opowiadania fantastyczne, tańce religijne, ozdabianie ogrodów i gajów. Wszystko co spływało z potokami krwi podczas strasznych wojen domowych, gdzie rozgrywały się losy kraju, kielkowało w tych sercach ciemnych i rozwijało się w legendę. Niższe stanowisko społeczne tych ludzi zbliżało ich do ziemi, do jej kamieni i roślin, które nauka Buddy obdarzała duszą. Uspokojeni co do życia pozagrobowego przez bonzów, zapewniających za pewną opłatą jakiś raj nieokreślony, poszukiwali piękna w rozmaitych drobnych przedmiotach natury.

Ciekawość, właściwa ich umysłowi, przypominała lampkę migoczącą w świątyni wiejskiej; niezdolna oświetlić horyzontów szerokich, kąpała w swym miękkim blasku żdźbła traw i korony kwiatów. Ja-



kieś tajemnicze pokrewieństwo duchowe wytworzyło się między ludźmi a kwiatami, które wędzną szybko, liśćmi, które wiatr rozwiewa, i kamieniami, wyglądzonemi przez wody potoków.

W społeczeństwie, gdzie najmniejsza impertynencya, najlżejszy wybryk złego humoru mógł pociągnąć za sobą karę śmierci, powstała konieczność miarkowania ruchów i ważenia słów, wytwarzając naród najcierpliwszy, skrupowany formułkami, najłatwiejszy w pożyciu ze wszystkich tych, jakie kiedykolwiek urobił despotyzm.

I jeżeli z jednej strony postawimy szlachtę wojowniczą, okrutną, ale pełną stoicyzmu, a z drugiej tłum jednorodny, ujęty w karby, oszołomiony bojaźnią, zrozumiemy łatwo słowa św. Franciszka Ksawerego, że Japończycy byli „rozkoszą jego duszy”. Apostoł nie łudził się co do ich wad. Opisuje je z poczuciem rzeczywistości, którego entuzjazm nie nie zdołał przytępić. Chociaż rozumiał całą trudność swej misyi, jednak miłość sławy, honor rycerski, łatwe wyrzeczenie się rozkoszy światowych, kurtuazja, umysł „ciekawy rzeczy boskich i przyrodzonych”, wszystko to w jego mniemaniu zdawało się przyczyniać do zwycięstwa wiary chrześcijańskiej. Spodziewał się, że chrzest wzmocni, spotęguje te cnoty, które się psuły dla braku soli boskiej. Nadzieja jego zdawała się mieć słuszne podstawy; nawracali się daïmiô'wie, samuraj'owie, całe miasta. Siew wydawał plony bujne.

W 1550 r. w osiem lat po owej burzy, która na brzegi Japonii wyrzuciła okręt portugalski, chrystjanizm, a z nim cywilizacja zachodnia, stoczyły pierwszą walkę z cywilizacją chińską i omal, że jej nie wygrały. Czemuż więc tylko przeszły ponad nią, niby wiatr burzliwy, zostawiając wspomnienie jakiegos niejasnego, szkaradnego szalbierstwa.

Przyczyny szukać należy nie w nienawiści bonzów, nie w skandalicznych postępkach mnichów hi-



szpańskich, którzy bronią anatem walczyli z jezuitami hiszpańskimi o zdobycz apostolską tych „wysp srebrzystych”, i nie w cynizmie marynarzy europejskich zaprzeczających czynami swemi dobrodziejstw etyki chrześcijańskiej. Przybycie św. Franciszka Ksawerego nastąpiło współcześnie z wystąpieniem na widownię dziejową pierwszego z trzech wielkich mężów stanu, którzy tak silnie urobili ducha japońskiego, że dotąd jeszcze nosi ślady ich działalności

### ROZDZIAŁ III.

#### Japnia scentralizowana

Pierwszą połowę XVI w. zapełniły wstrząsienia feudalizmu. Była to, może, najślawniejsza epoka historii japońskiej. Zerwano wszystkie tamy, ruch ludowy rozlał się szeroko: Jednostka wstrząsnęła łańcuchami, które ją przykuwały do organizmu zbiorowego; energia odruchowa przeważała warunki umowy społecznej. Poraz pierwszy umysł ludzki zaczyna się orjentować w powodzi trupów. Morderstwa mają jakiś cel określony. Wyższa wola przyśpiesza te wypadki i porządkuje chaos straszliwy.

Widzimy jakąś jedność akcyi w tej trylogii, obejmującej lat pięćdziesiąt.

Bohaterem pierwszego aktu jest Nobunaga, który mianuje i obala shōgunów. Wydaje wojny burgrabiom buddyjskim, rabuje klasztory, burzy feudalizm religijny. Nobunaga pochodził ze szlachty.

Następcą jego, prowadzącym w dalszym ciągu rozpoczęte dzieło był Hideyoshi, w młodości swej chłopiec stajenny.

Powierzchnowość goryla, etyka starego żołnie-

rza, pycha dorobkiewiczza posunięta prawie do szaleństwa, dusza żądna rozkoszy, ale pełna niesłychanej mocy panowania nad sobą i wielkich pomysłów—wszystko to czyni z tego potwora rodzaj geniuszu. Potrzeba było całych wieków, ażeby plebs japoński mógł wydać podobnego człowieka; tylko wielkie wstrząśnienia mogły go wyrwać z nicości.

Uprzedzony o zasadzce grożącej życiu Nobunagi pozostawia bogom pieczę nad ocaleniem swego dobroczyńcy. Nobunaga ginie, a Hideyoshi, jako pierwszy minister centralizuje w swych rękach całą władzę, uderzając ze zdwojną gwałtownością na panów feodalnych; dla ostatecznego stłumienia żywiołów buntowniczych staje na czele bojowników i prowadzi ich na Koreę. Wprawa chlubna, ale jałowa!

Hideyoshi jednak nietyle się troszczył o zdobyć, ile o wyczerpanie w wojnie zewnętrznej zgubnych instynktów anarchicznych. Umarł, zostawiając małoletniego syna i pod opieką swego ucznia, Yeyasu.

Plebejusza brutalnego, nieokrzesanego, z głową dumnie podniesioną, używającego życia zastąpił człowiek pochodzący ze starej szlachty, zimny, milczący, zacięty, uparty, skąpy, niezbyt sumienny, ale którego interesy osobiste zlewały się z interesami kraju i który ukochał w nich cały naród japoński. Południe powstało przeciw Północy, żądając państwa dla syna Hideyoshi; zwycięstwo tego dziecka byłoby ruiną dzieła ojcowskiego. Bitwa pod Sekigahara w 1600-m r., w której czterdzieści tysięcy głów padło na polu chwały ocaliła Japonię.

Najcięższe ciosy były już zadane; najgorsze chwile minęły. Przyszłość należała do geniuszu Yeyasu.

Dokoła niego nikt już nie chciał umierać. Jedyne niebezpieczeństwo groziło jeszcze z południa ze strony partyi katolickiej.

Ośmielani niegdyś przez Nobunagę, który widział w nich tylko sektę nieprzyjazną buddyzmowi, gromieni przez Hideyoshi'ego, misjonarze napotkali w Yeyasu i w lnuku jego Yemitsu nieprzyjaciół, o tyle mądrych, o ile nieubłaganych. Niechęci ich nie jątrzył żaden fanatyzm, (uznali doktrynę chrześcijańską za zgubną i potępili ją z punktu widzenia barbarzyńców i mężów stanu. Tylko ona mogła obudzić nowe niezgody, wzmocnić wojny domowe. Zagrozała nie tylko bezpieczeństwu moralnemu Japonii, ale i jej istnieniu narodowemu. Po za Franciszkanami i Dominikanami przybyłymi z Manilli, awanturnicy hiszpańscy, wietrzyli nową zdobycz. Eskurial nowe państwo. Ale ani Yeyasu ani Yemitsu nie chcieli powierzyć tym apostołom niepewnym klucza do serc narodu. Najwięcej obawiali się, chociaż odczuwali tylko niejasnopo, wiewu swobody, ożywającego religię chrześcijańską, szlachetnego indywidualizmu, który obudzał godność osobistą, w każdej jednostce. Ideje propagowane przez chrześcijaństwo, prowadziły do nowej rewolucyi, na którą wycieńczona Japonia nie mogła się narażać. Przybyły one sto lat zapóźno, lub sto lat zawcześniej.

W 1638 r. ostatni chrześcijanie japońscy podnieśli bunt i zostali wymordowani niedaleko od Nagasaki, w zamku Shimabara, gdzie wytrzymali bohaterkie oblężenie. Nie ulega wątpliwości, że żaden Europejczyk nie wziął udziału w tym buncie, wywołanym nie tyle prześladowaniem religijnem, ile niesprawiedliwością systemu feodalnego, coraz ciężiej przygniatającego lud wiejski. Ściśle jednak rzecz biorąc, powstanie przeciw tym niesprawiedliwościom zdradzało wpływ emancypacyjny chrystyanizmu. Nieszczęśliwi stojąc na wałach śpiewali chwałę Bogu, brali aniołów za świadków swej słuszności, zakłócając spokój oblegających i generałów przysłanych przez Shōguna. Wojna ta w niczem nie przypominała prowadzonych poprzednio. Po raz pierwszy

wśród zgiełku broni, rozlegały się okrzyki wołające o wieczną sprawiedliwość. O, jakaż to piękna karta w historii japońskiej! Rozumiem jednak dobrze, jakiej ulgi doznali nowi władcy, na wieść o zdobyciu odpornej twierdzy.

Wypędzono Portugalczyków i zerwano wszelkie stosunki z bojaźliwą Anglią; jedni tylko protestanci holenderscy otrzymali pozwolenie na prowadzenie handlu z cesarstwem, jednak wydalono ich, jak zarazonych do portu Nagasaki, na małą wysepkę, zwaną Deshima.

Tam w przeciągu dwu wieków przeszło przedstawiali oplakany obraz upokorzenia rasy białej, poniżonej nie tyle pogardą Japończyków, ile niskim umiłowaniem złota.

Znowu głębokie cienie nocy rozpostarły się po nad Japonią. Synowie jej, którzy w czasie pokoju byliby się rozproszyli po falach morskich, szukając przygód w wyprawach niebezpiecznych, otrzymali zakaz nieopuszczania swych brzegów. Jedynym śladem stosunków z Zachodem pozostał zwyczaj palenia tytoniu, który wkrótce stał się powszechnym, oraz kilka sztuk broni palnej, które się dosyć przedko pokryły rdzą.

Teraz rzućmy okiem na mapę Japonii.

Najpierw uderza nas wyspa Kyûshû, największe i ostatnie grono, zwiększające się ku dołowi. Oddziela się ona razem z grupą drobnych wysepek od reszty państwa i ciąży ku Formozie i Filipinom.

Tutaj wylądowali pierwsi Europejczycy, a bardzo być może, iż jeszcze przed nimi, zdobywcy Malajscy.

Ale już zapomniano o dawniejszych najazdach; chrystyanizm zakwitnął tylko na czas krótki; ludzie, zamieszkujący cypel wyspy i brzegi ostatniej zatoeki z próżnością wyspiarzy łączą surową zaciętość placówek ustawionych na kresach ojczyzny. Po za ich krajem kończy się dla nich świat.



Duma ich nie zna granic, a litość miary. Zwyczajeni doznają skutków porażki, ale oddalenie od miejsca klęski nie pozwala im odczuć całej brutalności upokrzenia, którego gorycz będą przeżywali przez długie wieki.

Natura prawie podzwrotnikowa nie wprawia ich w odrętwienie. Ani czar kobiet, ani urok bonzów nie przykuwa ich duszy. Lubią tylko taniec wojenny i fechtunek. Tych mieszkańców kresowych nazywają Satsuma. Spędzałem czas dłuższy w ich stolicy Kagoshimie; doznałem wrażenia, że dziś jeszcze życie mieszkańców jest surowe i zamknięte w obrębie przystani górskiej, pod niebem wspaniałem, oświetlającym wzburzone fale.

W kwietniu już wzgórza pokrywają się anemonami i azaliami; kratery płoną wiecznie.

Zwróćmy się na północ: góry, lasy, wulkany; przyroda jakby umęczona w dzikiej słodyczy; jakież tam gniazda dla sępów, jakie knieje dla powstańców! Na lewo rozciąga się półwysep Hizen; Przed nami cieśnina Shimonoseki, strzeżona przez pokonanego księcia Chôshû. Dwie jego prowincje rozkazują morzu Wewnętrznemu. Poddani jego są równie sławni i odosobnieni jak Satsumowie, ale już ich dotknął powiew Japonii centralnej. Mają poczucie smaku, inteligencję żywą, wymowę zręczną. Japończycy powracający z Europy porównywają Satsumę z dawniejszą Spartą, a Chôshû z Atenami.

Wyspa Shikokou, zamknięta w brzegach lazurowych, ma ludność dziwną, zwróconą ku nieznanym przestworom oceanu Spokojnego, osłonięta wałami z kamienia łupkowego, wymyka się z przed oczu pana. Mieszkańcy Tosy żyją wśród podobnej przyrody jak Satsumowie. Podobnie jak oni patrzą na bezmiar morza i karmią się jego samotnością uroczą. Po za nimi na wielkiej wyspie, która dla Japończyków, podwójnych wyspiarzy, ma znaczenie kontynentu, leży Yamato i dawne prowincje, serce

Japonii; na polach zatarły się ślady walk niegdyś krwawych, a mieszkańcy zaczynają wplatać w skromne pasmo swych dni nitki złote. Kyôto jest miastem cesarzy i bonzów; Nara, dawniejsza rezydencja cesarska, kraina światła i sztuki; słodka i dźwięczna nazwa tego miasta, harmonijnością brzmienia dorównywa imieniom włoskim.

Yeyasu poszedł wyżej. Między sobą a cesarzem postawił góry, które można przebyć tylko przez jedno przejście Hakoné. Nad zatoką Sumida-Gawa, zbudował sobie stolicę Yedo. Po za tem miastem Japonia, wciąż się zwężając, ciągnie się aż do morza Yeso; widzimy najpierw równinę, potem wzgórza, ziemię urodzajną, pola pokryte śniegiem długie zimy, zapewniające bezpieczeństwo zupełne. Zdobywca, władając tą częścią kraju, którego straż polecił ludziom sobie oddanym, miał przed oczami resztę państwa. Uchwycił najpierw w swe szpony miasta usunięte z podziału, i zrobił je miastami skôgunalnemi: Nagasaki w Kyûshû, jedyny port, gdzie mogą wylądowywać Europejczycy; Osaka, dokąd zmierza cały handel morze wewnętrzznego, najbogatsze miasto Japonii, jej śpichlerz.

Nie śmiał dotknąć Satsumy i Chôshû, klanów najodleglejszych i walecznych, ale dokłada wszelkich starań, ażeby ograniczyć ich prawa dawniejsze. Nowi daïmiô'wie, dla których jego zwycięstwo było podstawą zaszczytów i bogactwa, otrzymują ziemię, graniczącą z temi groźnemi lennami.

Ten człowiek genialny zdołał pogodzić separatyzm ducha feodalnego z centralizacją władzy absolutnej.

Przywrócił cesarzowi dawną cześć i tajemniczość. Otoczył go obłokiem kadzideł; a bóg, odzyskawszy władzę, zlał jej ciężary i wszystkie troski niższego rzędu, dotyczące spraw ludzkich na wielkiego kapłana shôguna. Shôgun popierany przez radę, zwaną Bakufu i rozporządzający policją in-

kwizytorską, podzielił kraj na trzysta sześćdziesiąt daimiatów.

Każdy daimio jest panem absolutnym w swoim kantonie. shōgunem swych samurai'ów, którzy znowu są daimiami dla klas niższych. Zamknięty wraz z nimi w ciasnej warowni, dokoła której mieszkają kupcy i rzemieślnicy, daimio żyje z produktów swego lenna i na każdym kroku doznaje złudzenia, że jest panem niezależnym. Ale władza jego jest mu daną tylko na czas krótki. Pilnują go, przerzucają z miejsca na miejsce, w razie potrzeby zrzucają z urzędu, jak zwykłego prefekta. Jeden rok spędza w swojej prowincyi, a drugi w Yedo; potem znów wraca do siebie i tak ciągle; co rok musi zmieniać miejsce pobytu; opuszczając Yedo, zostawia tam swą rodzinę w charakterze zakładników. Te ciągle przenosiny i utzymanie wspaniałej rezydencji, w stolicy shōguna, wyczerpują jego środki finansowe. Jest to wielka zasada polityki, japońskiej: rujnować człowieka nadmiarem zaszczytów.

Zamiast trudnej próby zlania małych państewek w jedną wielką całość, wysiła umysł nad sposobem powiązania ze sobą tych części; w każdej z nich zaprowadza grupy społeczne, oparte na nierówności hierarchii. Zrozumiał dobrze, że słodycz Japończyków potrzebuje horyzontu ciasnego. Najlepszą gwarancją przeciw zaprzątaniu głowy niebezpiecznymi pytaniami, jest ślepe przywiązanie do zwyczajów i przekonań miejscowych. Poddał więc patriotów zakątku tyranii tem surowszej, że się jej dopuszczają sami na sobie.

Jednostka nie ma znaczenia. Rodzina ukształtowana podobnie, jak w Grecyi i Rzymie, stanowi jedyną jednostkę żyjącą. Kodeks, który nią rządzi, nie rozróżnia legalności, od moralności. Znajomość jego dozwolona tylko głównym radcom stanu. Ludzie sądzeni są podług praw, których nie znają i znać nie powinni. Ale cóż to ma za znaczenie,

wobec tego, że każdy czyn indywidualny rozpatruje się tylko z punktu widzenia etycznego, a każdy czyn społeczny z punktu utylitarneho. Wyżsi urzędnicy sądowi, zwierciadła rządu, odpowiadają za wszystko. Zresztą prawo pisane jest ubogie, a sędziowie tłómaczą je według swego sumienia, stosownie do zwyczajów miejscowych i konieczności chwili obecnej. Sprawy zanesione przed ich trybunał, nie są nigdy identyczne, wpływ więc wyroków poprzednich prowadziłby do błędów opłakanych. Każdą sprawę rozstrzygają inaczej a wyrok wydany przez nich nie powtarza się w żadnym innym trybunale. Idea prawa nie przenikła jeszcze do tych umysłów, tak łatwo przechodzących od gwałtowności do słodczy. Ale idea obowiązku uszlachetniona, uwielbiona, zdolna ich jest zapalić, nawet ukorzyć. Dziecko słuca ślepo rodziców, żona męża, mąż, jeżeli pochodzi z klasy niższej, słuca samuraj'a, samuraj księcia, a książę shōguna. Rozporządzenia ogłaszane i obwieszczane na całej przestrzeni państwa, odznaczają się zwięzłością, prostotą i ścisłością dekalogu. Każdy Japończyk wie, że najmniejsza kradzież pociąga za sobą karę śmierci. Ziemia nie stanowi własności prywatnej, ponieważ teoretycznie należy do cesarza, właściwie do jego cienia. Shōgun jest tylko nadzorcą; prawo użytkowania ziemi ustępuje czasowo daïmïō'wi, a intendenci tego ostatniego, t. j., samuraj'owie, wieśniakom ją wydzierżawiają.

Zycie oparte jest na wielkich dwuznacznikach. Buddyzm rozbrojony przestał być groźnym. Pozostawiono go ludowi, a konfucjanizm stał się religią samuraj'ów. Oba te wyznania kształcą niewolników: jedno przez wpajanie rezygnacji biernej, w której się roztapia indywidualność, drugie przez bezmyślność narzucaną tłumowi niewolniczemu.

Japończycy byli ujarzmieni tak silnie, jak tylko naród ujarzmionym być może; tyrania wyrobiła w nich unysł podejrzliwy, hipokryzyę, pokrytą



uśmiechem. Ich życie domowe przypomina mi zawsze dawne mieszkania książęce, które zwiedzałem w Kyōtō. Wchodzi się do domu parterowego, żaden rygiel nie strzeże drzwi, ściany rozsuwają się cicho. Wejście uśmiecha się do przechodnia; witają go ściany malowane, naśladowujące drzewo, marmur. Jakaż prostotą i szczerością tchnie ta gościnność! Cały pałac stoi otworem. Nagle pod naszymi krokami tłumionemi mata, rozlega się jakiś świst dosyć harmonijny, który się później przedłuża. Postawiliśmy nogę na śpiewającej tafli parkietu. Sygnał dany. W sąsiednim pokoju odpowiednio układają się twarze, a ręce, które się dotąd bawiły wachlarzem, zlekka dotykają sztyletu.

Skutki systemu śledczego zneutralizowane zostały ciągłym poddaniem jednostki interesom ogółu i poczuciem honoru,

Dynastia Tokugawa wyćwiczyła ten stoicyzm, a tragiczne przejścia przeszłości zahartowały serca. Jedyne ofiara i rezygnacya prowadziły do sławy. Duma jednostki polegała na noszeniu obroży, której zerwać nie miała siły. Zawsze skora do samobójstwa wzgardziła życiem, którego myśl jej nie umiała opromienić.

Jeżeli pokój jest najwyższem szczęściem narodów, to Yeyasu można uważać za wielkiego dobroczyńcę. A jeżeli moralność narodu polega tylko na harmonijnem podporządkowaniu jego zalet celom polityki i ujarzmieniu jednostki przez państwo, to religijni, waleczni i posłuszni Japończycy utrzymali się na poziomie wyższym, niż narody zachodnie.

Pod maską bezpieczeństwa i spokoju społeczeństwo Tokugawy uległo działaniu tych samych zjawisk i tych samych anomalij, które poprzedziły i wywołały upadek poprzedniego systemu rządowego. Tylko przezorność Yeyasu i mądrość Bakufu opóźniły naturalny bieg rzeczy.

Shôgun staje się osobą coraz mniej wyraźną, wreszcie znika po za postaciami ministrów. Dwór jego zniewieściały, gdzie wielcy panowie wycierają przedpokoje, a kochanki wprawiają się w sztukę panowania, zagarnia wszystkie skarby państwa i uczy młodych ludzi gardzić szablą i malować twarze. Yedo staje się miastem zalotnic, rônin'ów, słynie z rozrzutności i kosztownych nałogów. Wewnętrzne życie większej części daïmiotów daje nam po mniejszony obraz życia całego narodu. Daïmio otoczony jest opieką wybitniejszych samurajów.

Po za jego plecami zawiązują się intrzygi; koterje toczą spory o jego osobę lub dziedzictwo. W całej Japonii niżsi pilnują, śledzą, napastują, kontrolują wyższych, albo też nimi kierują. Jest to jedno z najniezmienniejszych praw życia japońskiego. Ale poszanowanie formy, troskliwość o zachowanie pozorów, obawa Bakufu, nieudolność umysłów stworzenia innego systemu rządu, powstrzymują i zasłaniają tę ukrytą anarchię.

Cesarz, któremu shôgun wypłaca stałą pensję, trzymany jest na uboczu, w swej rezydencji Kyôto. Rząd zapomniał już o rozporządzeniach Yeyasu, zaniedbuje biednego wnuka słońca i traktuje go ze skąpstwem pełnem szyderstwa. W początkach XIX w. jego Boska Mość nie posiadała ani jednego sous. Pałac opustoszał; przez dach dziurawy deszcz kroplami spadał na czoło monarchy. Z pomiędzy otaczających go książąt Kugé, niektórzy zmuszeni są w tajemnicy zarabiać na życie. Japończycy przytaczali takich, którzy wieczorami, incognito, służyli za kucharzy w największej uczęszczanych restauracjach miasta. Dopóki shôgun udawał się co roku do mikada dla złożenia mu publicznie hołdu, lud nie zwracał uwagi na poniżenie monarchy. Ale zaczynając od chwili, gdy bogate Yedo zerwało z tą tradycją grzeczności, wzrok ludu, którego już nie zaślepił dym wojny

domowej zaczął przeciwstawiać wspaniałości dworu shôguna ubóstwo dziedzica słońca. Pokój musiał doprowadzić Japończyków do zrozumienia, że już od kilku wieków paczyły się ich tradycje polityczne.

Ta myśl, grożąca obaleniem istniejącego porządku rzeczy, zbudziła się poraz pierwszy w głowie księcia Mito, należącego do rodziny Tokugawa. Książę ten dał na swym dworze przytułek filozofom chińskim, wygnanym z ojczyzny i pod ich wpływem zaczął gromadzić materiały do historii japońskiej. Podobna praca musiała rzucić światło na przywłaszczenie władzy cesarza przez jego wasalów. Możliwym jest także, iż Chińczycy przenikliwsi od Japończyków, wykładając im prawdziwą naukę Konfucjusza przyczynili się do zwrócenia w stronę ojca narodu tej wdzięczności, którą dotąd obdarzano shoôguna. Zasady Mito przedzierały się z wolna przez Japonię aż do prowincyi Chôshû i Satsuma, gdzie z zapalem podjęto myśl uleczenia ran zadawnionych.

Z drugiej strony szynotoizm, pogardzony przez Tokugawów, przyćmiony ceremoniami buddyjskimi, nakazujący wiarę w boskie pochodzenie Japonii i osoby cesarza, wytworzył poraz pierwszy egzegietów i teoretyków. Wypowiedzieli oni walkę cywilizacji chińskiej i moralistom z długimi warkoczami, „którzy wygłaszając piękne zasady mordowali swych panów”.

Wychwalając pierwotną prostotę życia mikadów zwracali uwagę na ich dzisiejsze poniżenie i wykazali w jaki sposób władza, pod wpływem idei cudzoziemskich przeszła z ich rąk w ręce służalców.

O ile mogę sądzić, filozofowie ci odznaczyli się ubóstwem logiki i dziecinną pretensjonalnością metafizyki. Ale zwrócili się do źródeł życia narodowego; zaznajamiali swych czytelników i słuchaczy z kroniką, która dzięki wyłącznym studjom nad ro-

cznikami, została zupełnie wykreśloną z pamięci. Ukryte znaczenie ich słów i wypływająca ztamtąd doktryna polityczna, dodawały tej staroświeczyźnie uroku młodości i żywości, które powoli opanowywały dusze. Próbowano nareszcie małym promykiem wiedzy oświecić ten chaos w letargu. Byli to ludzie dzielni i znaleźli posłuch u maluczkich.

W 1840 r. jakiś biedny samuraj, zwany Takayama przebył połowę kraju, ażeby oglądać pałac cesarza.

Przechodząc Yeddo zapalał oburzeniem na widok wspaniałości i szanów obronnych pałacu shôguna; a kiedy przybył do Kyôto i ujrzał siedzibę swego Boga opuszczoną, chylącą się do upadku, prawie w ruinach, upadł na kolana, uderzył czołem o ziemię i wrócił do domu tak boleśnie wzruszony litością, że wkrótce umarł z żalu. Przykład tej melancholii śmiertelnej wiele serc poruszył. Głody, zdzierstwa daímio'ów, częste pożary, klęski przyrodzone, rozluźnienie dyscypliny, które pociągało za sobą napady awanturników i rabusiów, objawy jakiejś nieokreślonej i tajemniczej agonii, wszystko to uspasabiało duszę gminu do wcielenia ;wszystkich swych nadziei w osobę cesarza, który uwięziony, nieznan, nieszczęściem swem obudzał większe współczucie, niż ich własne cierpienia.

Obudziło się nowe uczucie bojaźliwe, złożone z czułości i uwielbienia, jakaś miłość przedziwna, miłość uciśnionych dla boga słabego i męczonogo; uczucie to zaczęło ogarniać serca tłumu, ale okoliczności, niestety nie pozwoliły mu się rozwinąć.

Równocześnie z tą pracą powolną myśli japońskiej, która po ośmiu wiekach błakania się po manowcach znalazła wreszcie właściwą sobie drogę, oddziaływał na umysły wybrane niewidzialny wpływ idej europejskich. Ideje te przedostawały się przez wązką cieśninę Deshima. Holendrzy, których ciągle miano na oku i pogardzano, wzbudzali jednak



ciekawość, podnieconą obawą niebezpieczeństwa. Każdy, kto ich odwiedzał, stawał się podejrzanym. Rząd posługiwał się nimi w celach informacyjnych. Byli oni jego „oczami i uszami”, zapomocą których zapoznawał się z resztą świata. Chociaż osobom prywatnym zakazano było uciekać się do ich wiedzy szatańskiej, nowości, które razem z towarami wyładowywali w jadalniach erudytów, zaszczeniały w nich zasady nauki zachodniej. Uczniowie ich uczyli się astronomii, matematyki, medycyny, botaniki i t. p. Inteligencja japońska zaczęła podejrzawać, że wielki Nipon jest tylko małą częścią wszechświata i że tyranja shōguna pozbawiała ich skarbów nieoszacowanych.

Zaczawszy od końca XVIII-go wieku Anglicy, Francuzi, Rosyanie, Amerykanie ukazują się około wybrzeży japońskich i badają głębokość morza. Jak ptaki zwiastują żeglarzom bliskość ziemi, tak flagi te oznajmiły półsennym wyspom archipelagu o zbliżeniu się świata.

Władza Tokugawów zbliża się do kresu. Czy przyjdzie czas, że Japonia pozna te walki idei, które wyrabiają ducha jakiegoś narodu i wprowadzają światło niebios aż do rdzenia jego podstaw organicznych? Przybycie eskadry amerykańskiej pod rozkazami komandora Perry w r. 1852 przyspieszyło wypadki uzupełniając zamachem stanu ten niedokładny szkic rewolucyi.

---

## ROZDZIAŁ IV.

---

### Restauracya cesarska i jej skutki.

Groźna flota i wezwanie urzędowe komandora ukróciły pychę shōguna i zmusiły go do układów

z barbarzyńcami, dając dawnym wrogom, tj. klanom, zwyciężonym przez Yeyasu, powód do powstania, którego nie mogło wywołać dotychczasowe monotonne i zamknięte życie państwa. W klanach południowych, Satsumie, Chôshû, Tosa, zwanych ogólnie Sat-chô-to, rozpoczyna się wrzenie.

I, jak zwykle bywa na tej ziemi, pełnej dwuznaczników, idee rozszerzają się szybko. Shôgunat bezwiednie sprzyjający Europejczykom, prowadził politykę przychylną Zachodowi, dzięki jednemu ze swych najzdolniejszych ministrów, którego wkrótce zamordowano; przeciwnikami shôgunatu byli ludzie, którzy po dokonanym zwycięstwie okazali się gorliwymi zwolennikami cywilizacji europejskiej. Stary cesarz, zacięty w swych przesądach, nienawidzący wszelkiej cudzoziemszczyzny, powierzył rządy książętom, którzy pod pozorem przywrócenia mu władzy, myśleli tylko o tem, w jaki sposób wyzyskać na swoją korzyść jego dziedzictwo. Książętami temi kierują samurai'owie, którzy już spostrzegli nieudolność i ciemnotę swych panów.

Od 1852 — 1868, t. j. przez lat szesnaście, rząd się uzbraja w przewidywaniu strasznej walki. Klany południowe napływają do Kyôto i otaczają rezydencję cesarską, w której się zaczynają budzić i ruszać książęta Kugé, ci majordomowie pałacu zaczarowanego. Bandy rôninów, zwabione rozpoczynającym się ruchem, zajmują sąsiednie równiny. Dwór w Yedo się wyludnia. Gaśnie wielka niegdyś potęga Tokugawów, a jednocześnie rządy i nagle śmierci stają się udziałem jej ostatnich przedstawicieli. Shôgun oddaje swych zakładników, księżniczki, żony i córki samurai'ow wracają do swych daimiatów skwaszone i niezadowolone. W restauracjach urządzają się schadzki polityczne. Nałożono kontrybucję na naukę zachodnią. Kiedy rząd w Yedo sprowadza z Zachodu nauczycieli wojskowych, klany południowe przywołują cudzoziemców

tylko po to, aby się nauczyć od nich sposobu zwyciężania, a potem pożegnać co prędzej. Europejczycy przeważnie nie rozumieją ogólnego nastroju.

Japonia wysłała do Europy poselstwa; ludzie, biorący w nich udział, zdają sobie dokładnie sprawę z niższości swej ojczyzny; po powrocie jednak do kraju cześć dla złudzeń narodowych, młodość, brak sił do zwalczania dzielnych i odważnych junaków, a także perspektywa zajęcia w państwie stanowisk pierwszorzędnych i powetowania nadziei zawiedzionych i błędów przeszłości, zamykają im usta, zaciągając pod sztandar polityki, której hasłem jest tylko obalenie shōgunatu i wygnanie cudzoziemców. Shōgunat upadł w pierwszej bitwie. Ostatni Tokugawa, Keiki, człowiek inteligentny, zdolniejszy do uprawiania poezji chińskiej, niżeli do kierowania ruchem wojsk, znużony walką przed jej zaczęciem i uszczęśliwiony, że słabość jego mogła się zasłonić imieniem patriotyzmu, opuścił swych wasali północnych i złożył broń, nie troszcząc się ani o swe okręty, ani o pułki rozproszone. Rewolucya się skończyła ku wielkiemu zdumieniu rewolucjonistów. Sądziłi oni, że shōgunat jest potężny; tymczasem ta olbrzymia spróchniała maszyna zawałiła się i rozpadła sama, a ziemia nie zdrząła pod ciężarem jej gruzów. Podniósł się tylko tuman kurzu, a gdy on się rozwiał zobaczono na wybrzeżach potęgę europejskie, które spokojnie, ale energicznie domagały się od młodego cesarza wypełnienia obietnic shōgunalnych.

Miałem zaszczyt rozmawiać z kilku przywódcami stronnictwa cesarskiego, którzy kierowali tym zamachem Stanu i ze zwykłych samurajów stali się później wielkimi politykami i dygnitarzami państwa, np. markiz Itō, marszałek Yamagata, hrabia Okuma. Wszyscy zgadzali się na to, że nagłe zwycięstwo oszołomiło całą partycję. Wniosek, który się mimowoli narzuca naszemu umysłowi, zawiera się w słowach innego Japończyka:

— Na nasze nieszczęście—mówił mi—rewolucya trwała zbyt krótko. Małe rybki z łatwością wypływają na powierzchnię; ale potrzeba dłuższego wstrząśnienia, ażeby się mogły ukazać wielkie ryby, drzemiące w bezdniach wód.

Ludzie, oczekujący huraganu, musieli się zadowolić zwykłą krótkotrwałą burzą. Najdziwniejsza z rewolucyj nowoczesnych odbyła się z pośpiechem, a ci, którzy ją wywołali, nie mieli pojęcia o jej rozmiarze.

Idee nie odgrywały tu roli żadnej; jedyna, z której zdawano sobie sprawę: wygnanie cudzoziemców, okazała się nieziszczalną. Nawet książęta Chôshû i Satsuma ulegli potędze cywilizacyjnej artyleryi europejskiej.

Samurajowie należący do stronnictwa cesarskiego, którym uroczyście obiecano wypędzenie żywiołu obcego z ziemi bogów, zapytują co rano, czy fakt ten radosny nastąpi dzisiaj. Zachęcają ich do cierpliwości. Tymczasem nieznacznie i niepostrzeżenie intruzi stają się żywiołem koniecznym dla przeprowadzenia Restauracyi Cesarstwa. Gdyby nie oni, wybuchnęłaby niezgoda między klanami południowemi; sprzymierzone ze sobą w walce przeciw Shôgunowi, byłyby one mniej solidarne przy podziale jego spuścizny. Lęk przed Europą ratuje cesarza. Ten ferment kosztowny wytwarza w duszy japońskiej nowe pojęcie ojczyzny. Dotąd była nią wieś, klan, prowincya. Nagle pojęcie to się rozszerza i ogarnia cały archipelag. Od 1868—1875 pod wpływem samej tylko obecności Europejczyków, cała grupa ministrów nieodpowiedzialnych, książąt kugé i samurajów, zburzyła system feudalny, zniósła różnice klasowe.

Zadanie ich nie było trudnem. Lud apatyczny, albo tendencyjnie zobowiązany, nie dawał znaku życia. Większa część daimiów poświęciła swe przywileje z tak lekkim sercem, z jakim



więźniowie zrzucają swe kajdany; nie tylko dawano im swobodę, ale jeszcze za nią płacono. Odtąd będą mieli pełne sakiewki i wyzwolą się z pod ciężkiej kontroli podwładnych. Nigdy nie widziano baronów więcej skrupowanych swoją godnością; szło o to, kto najpierwszy jej się wyrzeknie.

Na nieszczęście, czterysta tysięcy samurajów, żyjących kosztem tych daimiów i będących „panami czterech klas”, okazało usposobienie mniej powolne. Rewolucya, której oczekiwanie podniecało ich przez lat piętnaście, a zwycięstwo upoiło tylko na chwilę, zwraca się przeciwko nim; wczoraj jeszcze byli jej narzędziem, a dzisiaj stanowią zawadę niepotrzebną. Już od dziesięciu wieków przedniejsi z pomiędzy nich rządzą archipelagiem, jego historię i podania zapisują krwią własną. Szabla, zwieszająca się u boku, jest „ich duszą żyjącą.” Wszystkie pierwiastki subtelności i bezinteresowności, ożywiające cywilizację japońską, składają się na to określenie. Podczas sporów wywołanych skargami powszechnymi i reformami rządu, samurajowie zastrzegają sobie przywilej rozpruwania brzucha. W czasie najpełniejszego rozkwitu rewolucyi, gdy wszystkie stronnictwa walczą o prawo do życia, oni domagają się zagwarantowania świętego obowiązku samobójstwa. Biedni ludzie!

Z wyjątkiem kilku książąt, wszyscy ludzie, stojący u steru władzy, wyszli z ich łona: Okubo, Kido, Ito, Okuma, wszyscy ci parweniusze pochodzą z klanów południowych; ale znajomość stosunków europejskich, ambicya i patriotyzm wykształciły ich politycznie. Wszyscy rozumieją, że nie można zorganizować państwa nowożytnego bez armii narodowej. Zaciąganie kupców i wieśniaków pod sztandar szlachecki zabija w samych podstawach kastę samurajów.

Pozbawieni szabli, ograniczeni w swych dochodach do pensyi, którą rząd stara się jaknajrychlej

zlikwidować, podwójnie oszukiwani, wyzyskiwani przez polityków, spekulujących na ich ciemnocie i dumie, nieszczęśliwi ci daremnie próbowali buntu; rozdzieleni jednak murami feudalnymi, nie umieli zwyciężyć wojsk, dla których nie istniały granice wewnętrzne. Zmuszeni zostali do układów z nowym porządkiem rzeczy.

Po stłumieniu rewolucyi okazało się, że większość tych, którzy ją przygotowali, mogła zdobyć tylko niższe urzędy i tytuły. Rewolucya wywołała w pojęciach ogółu przewrót zupełny. W nowym społeczeństwie, gdzie ciekawość umysłowa zaczęła zwyciężać purytanizm szlachecki, surowi samurajowie utracili dawne znaczenie. Tylko wchodząc w układy z dawnym ideałem, mogliby znaleźć jakieś pole działania.

Nowa Japonia zatem rozpoczęła swoje istnienie bankructwem, jeżeli nie honoru wogóle, to przynajmniej pewnego pojęcia o honorze, przez długie wieki będącego ostoją dla dusz. Zwykle narody głucho i cierpliwie dążą do zdobycia swych praw. Tutaj zasady sprawiedliwości społecznej, równości, swobody, spadły z pod nieba obcego, równie mało odpowiadały potrzebom umysłów, jak mało importowany zwyczaj palenia tytoniu mógł zaspokoić potrzeby serca. Nie twierdzę bynajmniej, że owe idee nie przyczyniają się do wielkości jakiegoś narodu. Tylko naród powinien ich pragnąć i na nie zasłużyć, w przeciwnym razie nie odniesie ani korzyści, ani sławy. Klasy długo uciskane skorzystały z przyjaznego kaprysu jakiejś niewyraźnej opatrności. Pewien Japończyk wypowiedział kiedyś wobec mnie takie zdanie:

— Bardzo to piękna rzecz cywilizacya; od czasu, gdy ją posiadamy, klimat nasz stał się łagodniejszym; zimy są mniej śnieżne i mniej surowe.

Naiwność jego nie zastosowała do ludzi tej

łagodności, której dobrodziejstwa odczuwał niewyraźnie. I, w rzeczy samej, dusze ludzkie niewiele z rewolucyi skorzystały.

Pojęć humanitarnych, równowagi praw i obowiązków, do których my doszliśmy z trudem, po drogach urwistych, wytkniętych krzyżami, Japończycy pragnęli osiągnąć lotem ptaka. Od naszej filozofii i naszej nauki żądali tylko zastosowania praktycznego i korzyści bezpośrednich. A przede wszystkim — i to było, może, w początkach jedynym celem ich polityki—wyobrażali sobie, że za ich pomocą odkryją nasze słabe strony i obudzą nasz szacunek.

Pewnego razu, kiedy w parlamencie mówcy przytaczali na poparcie swych słów Grecyę, Rzym, rewolucyę francuską, historyę amerykańską, jeden z posłów przerwał z niecierpliwością: „Dawajcie nam przykłady japońskie”. I miał słuszość! Ale mówcy mieli ją także, nie mogli bowiem oprzeć swej tezy nowożytniej na przeszłości Japonii. Wolność, sprawiedliwość, poszanowanie praw jednostki, to ideały Zachodu!

Od r. 1875 Japonią urzędownie kierowali ludzie, których pewien przemysłowiec japoński nazywał kiedyś „studentami”. Pewien samuraj z Tosa, Itagaki—jeden z tych rzadkich mężów politycznych, którzy przez jakąś dziką kokieterę pozostają biednym i—umysł trochę mglisty, zdaniem najbliższych przyjaciół jednakowo czytany w dziełach Rousseau'a, jak i w filozofach chińskich, zużytkował cały swój zapal południowca i doświadczenie sôshi dla osiągnięcia tryumfu idei reprezentacyjnej. Drażnił ministrów, błagał usilnie cesarza, wydeptał wszystkie drogi Japonii, wreszcie stojąc na czele partyi, która przybrała nazwę liberalnej, przekonał „studentów”, stojących u steru władzy, że zaprowadzenie parlamentaryzmu stanowić będzie postęp znaczny w stosunku do monarchii absolutnej. Ce-

sarz, pomimo całego swego wstrętu, musiał obiecać konstytucyę i wyznaczyć termin dziesięcioletni ministrom na jej zredagowanie, a ludowi na zasłużenie.

W przeciągu tych lat dziesięciu przyszedł parlamentaryzm zdobył ostrogi w zgromadzeniach chaotycznych Rady Generalnej. Ale historia jego rozwoju, posiedzenia burzliwe, zepsucie, walka nierozumna przeciwko ministeryum, niezależnie od tego, jakim jest ono, hałaśliwa wierność, do dziś dnia są tylko pantomina, przedrzeźniającą Enropę. Posłowie wysilają się na utworzenie gabinetu odpowiedzialnego, aby go częściej mogli obalać. Naród nie odczuwa jeszcze potrzeby, ażeby jego uczucia i przekonania były reprezentowane. Ale przyjdzie godzina, kiedy narzędzie stworzy czynność. W tłumie tym, pod wpływem potrójnym dawniejszych zwyczajów, idej cudzoziemskich i warunków ekonomicznych odbywa się praca, której ważność możemy już przeczuwać.

Restauracya cesarska stworzyła raczej nowy, niż odnowiła dawny porządek rzeczy; nie mogła jednak zmienić praw fatalnych; rządzących umysłem japońskim. Zgniecenie samurajów i dawnego ustroju społecznego nie przeszkodziło ludziom, którzy teraz stanęli na świeczniku, popełniać błędów przeszłości. Samuraj, któremu książe dawał utrzymanie, wzamian za wierne posłuszeństwo swej woli, uwolniony od trosk materyalnych, przejęty jedynie myślą zrobienia kariery, stał się w czasach pokoju typem urzędnika. Książę ustąpił miejsca państwu: dopominają się więc od państwa tego, czego żądano od księcia. Wszyscy Japończycy chcą być urzędnikami. I dzisiaj, tak samo jak w przeszłości, władza spoczywa nie tam, gdzie się zdaje przebywać. Szukasz jej daremnie, wymyka się ciągle. Cesarz ulega swym ministrom i nie rządzi samodzielnie. Ministrowie, nieodpowiedzialni za swe



czyny przed parlamentem, zależą jednak od jego dobrej woli. Mianowani przez nich urzędnicy zajmują swe urzędy tak długo, jak długo się to podoba ich podwładnym. W szkołach dyrektor może być przeniesiony na żądanie profesorów, tych ostatnich zaś usuwają, jeżeli nie mają szczęścia podobać się uczniom.

Rozkazy wydane. Ale zkąd płyną? Doznaje się wrażenia, że wychodzą z ust bezimiennych. Podwładny zachował przy nowym systemie rządu tę samą siłę przyciągającą i pochłaniającą, którą go uzbroidła dawna cywilizacja japońska przeciw grozie absolutyzmu. W Japonii władza idzie z dołu.

Lecz jeżeli niegdyś poszanowanie formy i surowych tradycji uzupełniało to, co w tym stanie było niezwykłego i niebezpiecznego, dziś, kiedy moralność utylitarna i indywidualizm przesiąkają do umysłów tłumu, dzieje się inaczej. To, co było tylko instynktem zachowawczym, zręcznie ubarwionym, otrzymuje wkrótce sankcję prawa cywilnego. Powaga odarta z uroku imienia, które ją podtrzymywało, staje się dziś marą zwodniczą. Wiara w boskie pochodzenie cesarza — wiara nieokreślona narodu, który się nigdy nie starał o jej rozjaśnienie i którego religijność nie wykreśliła między bóstwem i ludzkością granic ściślejszych, niż między zwierzęciem i rośliną — w świetle zimnego rozumu mąci i błędnie. Razem z przesądem umiera sama zasada lojalizmu.

Japończyk szanuje prawdziwie tylko to, co się otacza tajemniczością. W czasach kiedy prawo spadało na ludzi, jak piorun z nieznanego nieba, zamknął się ostrożnie w ciasnym kółku swych obowiązków i nie ruszał się z niego wcale; wśród gęstych ciemności, które go otaczały, odróżniał tylko jakąś plamę świetlną. Dziś, kiedy znajomość prawa dostępną jest dla wszystkich, odkrywa ze zdumieniem, że każde z nich zajmuje w przestrzeni ja-

kiś punkt stały. Można je omijać, przyswajać, witać, obalać, dokoła nich krążyć. Prawa wyzwalają go od prawa.

Czy jest przez to szczęśliwszym? Nie sędzę. Dawne prawo niepisane przekształciło się znacznie. Nie idzie już o posłuszeństwo kodeksowi, którego przepisy spoczywały na dnie sumienia, a zatwierdzenie zostawione było uznaniu sędziów. Dziś trzeba żyć i pracować na życie, nie tak, jak dawniej w godzinach określonych, będąc prawie zawsze pewnym jutra; dzisiejsza praca pochłania wszystkie siły i nie zabezpiecza przyszłości. Ceny produktów spożywczych podniosły się niesłychanie. Poczucia nierówności społecznej, której niesprawiedliwość, przynajmniej pozorną, oddziaływa tak silnie na serca ludzkie, obudzić nie mogły strasznych głodów dawniejsze, kiedy mieszkańcy kantonów widzieli dokoła siebie twarze konających; poczucie to rozniecił dzisiaj przemysł europejski i rewolucya ekonomiczną, jątrząc je nieustannie widokiem przepaści olbrzymiej, istniejącej między fortunami bogaczy a nędzą biedaków, żyjących z zarobku. Dawne gminy feudalne prowadzą do syndykatów i do socjalizmu, ktorego wyklucie przyspieszyła wojna z Chinami.

W historii Japonii nie widzę wypadku ważniejszego. Wojna ta, w grucie rzeczy dosyć nieznacząca, prawie przechadzka wojskowa, której stacye przygotowane były od lat dwudziestu, w skutkach przewyższyła przewidywania przywódców politycznych. Widzieli oni w niej zbawienie konstytucyi, skompromitowanej napadami członków parlamentu. Wojna ta dała ojczyźnie japońskiej chrzest dumy i niepokoju.

Ocknęły się dawniejsze tradycye wojenne. Japończyk odnalazł swą cierpliwość, a boska idea ojczyzny ożywiła i oczyściła dawny kult śmierci. Stronnictwo wojskowe wzmocniło się, a ponieważ,

mimo rywalizacji klanów, jest ono jedynem dobrze zorganizowane, jedynem, które w oczach tłumu nosi równość cnwilną, zaczęto pokładać w niem wielkie nadzieje.

Świeżo zdobyta sława obudziła godność osobistą. Japończycy doznali rozkoszy solidarności narodowej. Pola bitew chińskich pozbawiły rewolucję fałszywej ideologii, czyniąc ją uczuciowo bardziej zrozumiałą. Wyśmiewano próżność zwyciężkich Japończyków; skarżono się na ich arogancję; skonstatowano, że klasy niższe, rzemieślnicy, sklepikarze, służba domowa, kurumaya'owie powzięli o swej wartości przekonanie wygórowane. Plebejusz, zaciągnięty do wojska, przyczynił się do wzrostu Japonii. Ogarnęło go więc uczucie dumy, podobne do tego, jakiegoby doznał w czasach dawniejszych, gdyby go wyniesiono do godności samuraj'a. Uczuł, że w nim się rodzi człowiek. Życie stało mu się droższe. Prawa swe zrozumiał wyraźniej.

Restauracja cesarstwa, o ile mogę sądzić, przyczynia się do uświadomienia ojczyzny nowożytnej.

Tłum, którego czyny przedstawiają szereg reakcji, gdzie tyłu zrezygnowanych pobożnie i bezużytecznie pielęgnuje jeszcze dawną etykietę i wolność cichego poświęcenia — z trudnością i dziwną częstokroć słodyczą przyucza się do objawiania swej woli. Szamocze się ona z atawistycznym popędem do poddaństwa, który wskutek braku świadomości, stał się prawie instynktowym. Ręka gubernatorów silniej ciąży nad ludem w czasach liberalizmu, niż niegdyś za panowania tyranii.

Centralizacja polityczna, dokonana pod opieką armii, przez zmonopolizowanie absolutne przemysłu, szkół, pracy i inteligencji, byłaby może szczęściem dla tego narodu, który się sam zaczyna przerażać swemi pomysłami emancypacyjnymi.

Tego samego wieczora, kiedy pod wrażeniem

całodziennych uroczystości spróbowałem uporządkować wrażenia, odnoszące się do Japonii nowożytnej i wiadomości historyczne, przeszedłem w towarzystwie pewnego Japończyka po za obręb starych, feudalnych murów; rozmawialiśmy o przyszłości jego ojczyzny. Czerwona kula zachodzącego słońca przesuwiała się nad parkiem cesarskim, tworząc na bladym niebie olbrzymi sztandar japoński. Mój towarzysz, osobistość dosyć znana, wskazując palcem pałac niewidzialny, nad którym słońce zdawało się krążyć wolniej, rzekł do mnie z pewnym odcieniem smutku, który może się powiększał tą zdumiewającą fantasmagorią:

— Japonia będzie szczęśliwą tak długo, dopóki w gmachu tym przebywać będzie gość tajemniczy, mieszkający tam obecnie. Drżę jednak o los mojej ojczyzny nazajutrz po jego śmierci.

I dodał:

— Narodem naszym łatwo rządzić wtedy, jeżeli ulega on władzy bezimiennej i nieosobowej; przedewszystkiem więc obawiam się tego, ażeby kiedyś na jego czele nie stanął cesarz zbyt inteligentny.

---



## KSIEGA IV.

### *Duch religijny.*

#### ROZDZIAŁ I.

#### Czy Japończycy są religijni?

Państwo Japońskie liczy około trzystu tysięcy świątyń, kaplic, przybytków buddyjskich albo szyn-toistycznych i sto pięćdziesiąt tysięcy duchownych, zakonników, kaznodziei, wielkich kapłanów i wielkich kapłanek. Drogi są przepelnione pielgrzymami i żebrakami; jedni noszą dzwonki, drudzy małe bębny. Na polach i wzgórzach Niponu widzimy posągi Buddy rzeźbione w drzewie lub kamieniu. Sakja-Muni z mitrą na głowie i pastorałem w ręku, przypomina często naszych biskupów z epoki gotyckiej. Wszędzie, w cichych uliczkach, na szczytach samotnych, między herbaciarniami, wzdłuż pól, około łąk ryżu, na nadprożkach drzwi, na gałęziach drzew albo na kiju wbitym w ziemię widzimy *gohei*; jest to koronka papierowa, straszdyło na szarańcze i ptaki, symbol bóstwa i samo będące

bóstwem; odpędza ono kruki i złe duchy, opiekuje się żniwami i duszami.

Wieczorem w Tôkyô, w środku zimy, w deszcz i błoto, spotykałem ludzi prawie nagich, którzy dla wypełnienia jakiegoś ślubu, biegali z dzwoneczkiem w rękę. Tłum i kurumayowie usuwali się z drogi przed temi fanatykami spoconemi, obryzganemi błotem aż po same ramiona, a odgłos szybko poruszanych dzwoneczków słabł i ginął w cieniu, gdzie kupcy makaronów wykrzykiwali swą piskliwą melodyę. Każdy dom, bogaty czy ubogi, posiada ołtarz poświęcony pamięci przodków: laski, kadzidła, kubki z saké, ofiary z ryżn, kwiaty stoją na tabliczkach ozdobionych pismem chińskim i opatrzonych imionami nieboszczyków; w tabliczkach tych przechodują się dusze przodków umarłych. Niemożliwa zanoszą zwykle do świątyni w trzydzieści jeden dni po urodzeniu chłopca, a w trzydzieści i trzy po urodzeniu dziewczynki. Każde dziecko poświęca się jakiemuś bóstwu, które odtąd staje się jego aniołem stróżem. Wszystkich umarłych z rękami złożonemi sadzają na piętach w skrzyni pogrzebowej i odprowadzają na cmentarz bonzowie albo ich kannushi. Bogowie towarzyszą ludziom we wszelkich uroczystościach. Niema tygodnia, żeby jakiś kwartał miasta nie oświetlił rzęsiście swej świątyni na cześć jakiegoś patrona. Najpiękniejsze miejscowości wybrane są na miejsca modlitwy. Człowiek na każdym kroku spotyka jakiś portyk, ołtarz, sznur słomy, kamień poświęcony, który do uśmiechu przyrody dodaje obecność jakiegoś gościa nadziemskiego. Kiedy drzewa wiśniowe okryją się kwiatem, a radość ogarnie ludzi i całe miasto rozsypie się po parku Uyeno, świątynie buddyjskie otwierają swe podwoje. W mroku pochłaniającym kontury posągów i łagodzącym wspaniałość bronzów i laki, płonące świece iskrzą się jak gwiazdy; na łono ulud wiosennych padają wonne półcie-

nie, płynące ze świątyń, zkaąd się rozlegają dźwięki bębnów i fletów, poświęconych Panu, kapłani przesuwiają się przed ołtarzami jak cienie wspaniałe. Nieco dalej, na estradzie, otoczonej ogrodzeniem i przeznaczonej przez szyntoizm na miejsce tańców, małe kapłanki z ruchami powolnemi odprawiają swe tajemnice religijne; tłum się modli, bankietuje, szepce zaklęcia wśród olśniewającej obfitości kwiatów, upajając się ich wonią, przypominającą lekki zapach gorzkich migdałów. Młodzi chłopcy i dziewczęta w maskach papierowych śmieją się i ścigają w świetle latarek śnieżnej białości. Rozkosz świecka splata się z dawnymi obrządkami religijnymi, naginając swe mody, zwykle niestałe, do ich trwałości niezmiennej. Wieki minęły, a na ziemi japońskiej nic się nie zmieniło, ani kwiaty, ani ich kult, ani muzyka, ani tańce, ani maski, ani bogowie.

A jednak przeniknął tu i chrześcjanizm i filozofia europejska. Katolicyzm w dwuwiekowym popiele odnalazł słabe iskiery, któremi zapalił lampki przed Przenajświętszą Dziewicą. Parafie w Tôkyô mają już swe kościoły. Krzyż Rzymski panuje na północy i południu cesarstwa, w portach Hakodaté i Nagasaki. Oprócz naszych misyonarzy, starających się gorliwie o zdobycie dusz dla wiary, uświęconej krwią Męczenników, duchowni prawosławni i pastrowie protestancy prowadzą też propagandę pobożną. Anglikanie, presbiterianie, metodyści, anabaptyści, unitaryanie, wszystkie sekty protestanckie prześcigają się w gorliwości, zadziwiając urozmaiceniem kultów i odrębnością architektury swych świątyń. Około osiemdziesięciu tysięcy Japończyków nawrócono na Ewangelię. W tym kraju, gdzie chrześcjanie doznali tak ciężkich prześladowań politycznych, nietylko apostołowie z wszelką swobodą zdobywają sobie owieczki, ale nawet wyuzdane praktyki najgrubszego mistycyzmu odbywają się

spokojnie; nikt się nimi nie wzrusza. Kuglarze i epileptyczni muzykanci Armii Zbawienia zaledwie wywołują lekkie zdumienie wśród tłumu japońskiego.

Opierając się na powyższych przykładach wnioskuje powszechnie o religijnej obojętności Japończyków. Zdaniem ogółu utrzymują oni z bóstwem stosunki etykietalne. Pozdrawiają je niezależnie od postaci, w jakiej się im ukaże; a nawet chcąc uniknąć skrępowania, wciągają je do swych przyjemności i szaleństw. Chęć spróbowania wszystkiego, pędzi ich do nowych bogów; po zaspokojeniu jednak swej ciekawości, odchodzą szybko, wracając do dawnych zabobonnych obrządków i praktyk, które osłaniają ich ateizm. Do bóstwa, przed którym palą kadzidła, szepnęliby chętnie, jak mały Żyd Woltera: „Wybacz mi... ale, zdaje mi się, między nami mówiąc, że nie istniejesz wcale...” Tak myślą; nie są jednak zupełnie przekonani i w obec tej wątpliwości palą kadzidła. Ich niezliczone kaplice są właściwie tylko gromochronami przeciw burzy problematycznej. Starają się je wznosić w miejscach, gdzie słabość ludzka nie zwykła się opierać pokusom. Pielgrzymi podczas swych pielgrzymek wydają więcej na wino, niż na wosk, a liczni bogowie są pokrywką równie licznych słabostek.

Nie wiedzą sami, czy są budystami, czy też szyntoistami; właściwie są jednym i drugim po troszę, albo też jednym lub drugim, zależnie od chwili i okoliczności. Wierni zdają się być mniej przywiązani do bogów, niż do ich przybytków. Świątynia, zmieniając patrona, nie zmienia klienteli. Wczoraj tu panował buddyjski Amida; dzisiaj zwierciadło szyntoistyczne odbija bóstwo słońca, mimo to, ci sami zwykli goście miauczą swe modlitwy i uderzają we dzwony.

Zresztą Japończycy postępują z nieśmiertelnymi bardzo dowolnie. Ich pobożność nie krę-



puje się wcale długimi formułami wyszukanych grzeczności ludzkich.

Hołdy swoje czasem przesyłają. Od czasu, kiedy zapożyczyli od nas bilety wizytowe, znajdujemy je wszędzie, przed ołtarzykami, u stóp posągów, nawet na grobowcach sławnych ludzi. Dobrze wychowany Japończyk rzuca swą kartę panu Buddzie, bogowi Hachimanowi, albo duszom Czterdziestu Siedmiu Roninów.

Istnieje przekonanie jednomyślne, usprawiedliwione wielu faktami, że obojętni, uprzejmi, ironiczni i przesądni Japończycy, udzielają swym bóstwom tym więcej miejsca na ziemi, im mniej o nich myślą. Nie szczędzą im ani ogrodów, ani wód, ani wzgórków, ani lasów, niezwykłą hojnością okupując prawo nie zajmowania się temi bogami wcale. Ten poganizm przesiąknięty jakąś dziwną słodyczą, przywodzi nam na myśl czasy dawne, kiedy filozofowie z lekkim uśmiechem na ustach poświęcali koguta Eskulapowi.

Zdanie zabawne i pozornie słuszne. Obawiam się tylko, że ci, którzy ich określają w ten sposób, dają się uwieść pozorom i sądzą wszystko z punktu widzenia idei zachodnich. Im więcej poznawałem ludzi, mieszkających pod innym niebem, tem więcej się przekonywałem, że często całą różnicę stanowił sposób pojmowania Istoty niepoznawalnej i składania Jej czci należnej. Na każdym kontynencie istnieją te same grube namiętności, budzące w nas zwierzę pierwotne i drobne interesy społeczne. Skoro się tylko wnuknie w życie zewnętrzne jakiegoś narodu, dostrzega się blask i jakby ciepło jakiegoś promieniowania mistycznego, ale oczy nasze nie przyzwyczajone do takiego światła, źle rozróżniają jego odcienia i własności. Nigdy się nie czułem więcej chrześcianinem, niż żyjąc między budystami.

Jeżeli Europejczycy, których spotykałem w Ja-

ponii, niezależnie od tego, czy byli wierzącymi lub niewierzącymi, uważali najczęściej Japończyków za zwykłych niedowiarków, to tylko dlatego, że religia, która nie rości praw do monopolu zbawiania dusz, nie wydawała się w ich oczach religią. Naród japoński zadziwia zupełnym brakiem fanatyzmu. Tolerancja, która zaledwie dzisiaj przenika do naszych obyczajów, więcej jeszcze, niż do naszych umysłów, jest jednym z najdawniejszych przyzwyczajęń Dalekiego Wschodu. Uważam ją nawet za cechę wybitną rasy żółtej, która doszła do niej nie drogą zwątpienia, obojętności albo względnego poszanowania myśli ludzkiej, ale tylko dzięki zupełnej nieudolności pojmowania prawdy absolutnej. Cnota, którą my cenimy tak wysoko, ponieważ zdobywamy ją szeregiem wysiłków i zwycięstw wewnętrznych, wypływa u Japończyków z braku metafizyki. Obcą im jest zupełnie nasza miłość prawdy, której posiadanie okupiliśmy wiekami nietolerancji.

Nie przystrajają swej religii w szatę idealnej i niezłomnej piękności. Ich praktyki religijne nie pociągają za sobą gwałtownego oddania się całej istoty; słowu „wierzyć” nie nadają takiego, jak my, znaczenia.

Nie pytajcie nigdy Japończyka o jego przekonania religijne. Postawicie mu pytania, których może jeszcze nigdy nie zadał sam sobie. I jeżeli tylko sumienie jego jest spokojne, to cóż nas mogą obchodzić jego uczucia religijne? Dogadzają mu i jemu tylko są właściwe.

Pobożność jego nie odczuwa żadnej potrzeby obcowania z duszami otaczających go ludzi. Ma ona w sobie coś milczącego i ostrożnego.

W Tōkyō często bywałem w świątyniach ludowych: nigdy nie zrobiły na mnie wrażenia zgromadzenia wiernych zebranych dla wspólnej modlitwy do jednego i tego samego Boga. Każdy przy-

chodzi, wchodzi, wypełnia obrządki, które się mu podobają, odsłania głowę, lub nie, pozostaje w kapeluszu, kłeka, kłania się, zatrzymuje się, idzie, wyrażając swoją postawą większą lub mniejszą ufność względem bóstwa. Nic nie zdradza tkliwego i cichego wylania serc, jednakowo wierzących i wzruszonych. Ale nikt też tam nie śledzi szczerości modlitw. Przymknięte powieki nie rozglądają się dookoła, krytykując ostro stopień pobożności innych. Swarliwe spory sekt buddyjskich tak mało obchodzą szerszy ogół, jak mało współzawodnictwo kupców wzrusza kupujących. Apostołowie Japonii są to przeważnie iluminaci samotni; bigoci jej odznaczają się uporem i zaciętością; wątpiący są właściwie niedbałymi. Niema tam błędów, godnych potępienia, gorących herezyj, schizm namiętnych, ani ateizmu wojującego.

Suma prawdy boskiej, której się domaga rozum japoński, zawiera się w tradycyi; ale tradycya nie ukazuje mu się w formie dogmatycznej. Można ją przyjąć, albo odrzucić. Można nawet coś do niej dodać.

Religia należy do dziedziny fantazyi i uczuciowości. Nie narzuca się rozumowi, nie pragnie go zwyciężyć i upokorzyć. Zresztą, rozum japoński nie rozumuje w podobny sposób, jak nasz. Jest więcej sprytny, niż głęboki, więcej subtelny, niż uparty; interesują go wielkie niewiadome, ale nie dręczy się niemi. Zagadki świata podniecają jego ciekawość mniej więcej tak, jak rebusy. W swej argumentacji, podobnie jak w przyjemnościach, Japończycy lubują się najwięcej w niespodziankach.

Dyalektyka ich pełna jest zwrotów i zdań nieprzewidywanych.

Najlepiej przekonywa tych ludzi argument nieoczekiwany. Z rozkoszą poddają się wszystkiemu, co się nie daje wytłumaczyć. Nasza logika wyda-

łaby się im brutalną, mogącą spaczyć subtelną złożoność wszechświata.

Harmonia czysto ludzka, którą geniusz grecki umiał wyrazić za pomocą politeizmu, dla nich pozostałaby zupełnie niezrozumiałą. Żyją w atmosferze tak przejrzystej i łagodnej, jak powietrze ich kraju i nie zapytują siebie wcale, czy są religijnymi.

Zarzucają im przesady, ich oplakane przesady! Istotnie, jest to wielki przesąd, że się lisowi przypisuje władzę oczarowywania ludzi, a baranowi zdolność bicia w bęben przy świetle księżyca. Ale i u nas, chrześcijan katolików, lub protestantów, czyż mało podobnych cudów istnieje po wsiach? I jeżeli jasno widzę, to czasem się religia różni od przesądu, to ich linia graniczna wydaje mi się bardzo niewyraźną.

Japończycy mają w wysokim stopniu rozwinięte poczucie świata niewidzialnego. Wyraża się ono przez panteizm więcej instynktowy, niż rozumowany. Ich przesady z wyjątkiem niektórych wypadków opętania przez dyabła, nie prowadzą wcale do zgubnych obłędów. Nie są one ani okrutne, ani złe, ale fantastyczne, niby stare przykręcane pnie drzew i nieszkodliwe, jak zwierzęta, które karmi i ogrzewa ich ziemia rodzinna. Za świętość uważają nieznaną sen rośliny i siłę uśpioną w kamieniu. Kult przedmiotów martwych miesza się z kultem bogów i umarłych i nawet sceptycy nie ośmieliliby się targnąć na jakiś kamień lub roślinę pod wpływem myśli, że jednak może się w nich ukrywać coś świętego. I tak tolerancyjni, wyłamujący się z pod władzy bogów wyłącznych, pozornie oderwani od tajemniczości ogarniającej całe nasze życie, ale w gruncie rzeczy pełni dla niej szacunku, Japończycy nie podnoszą swych wierzeń do znaczenia pewników moralnych, a niedowiarstwa nie posuwają do negacyi. Umieją się urządzić tymczasowo i w reli-



gii, jak w polityce. opierają spokój wewnętrzny na dwuznacznikach.

Od tysiąca pięciuset lat szytoizm i buddyzm ciągną sumienie japońskie w dwie przeciwne strony, ale dotąd go jeszcze nie rozdarły. Mówią, że oba te kultury uzupełniają się wzajemnie; uzupełniają się one istotnie, ale tylko w umysłach, dla których obydwaj wyznania mają jednakową wartość. Jeden ubóstwia naturę i widzi w nas tylko ciała, które należy oczyścić; drugiemu świat się ukazuje w mgłę znikomych i zwodniczych złudzeń. Szytoizm oddycha niewinnością pierwotną i doskonałością wszechrzeczy, buddyzm tchnie smutkiem bezgranicznym i wonią popiołów.

Japończycy nie zrobili wyboru, ale zdumiewający spokój, który zachowują zawsze wobec najsprzeczniejszych idei, oddał im wielką usługę. Dzięki paradoksalnemu pogodzeniu dwóch religii ich życie moralne wydaje się złożonem, a inteligencya powierzchowna robi chwilami wrażenie głębokości.

Jemu też zawdzięczają nieustanne przeskoki od nadzwyczajnej prostoty do subtelności najwznioślejszej, mistycyzm naiwny, naturalizm melancholijny, oraz pojęcia szczytne obok bardzo poziomych.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.













Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie

324034

7.1

1000072534

